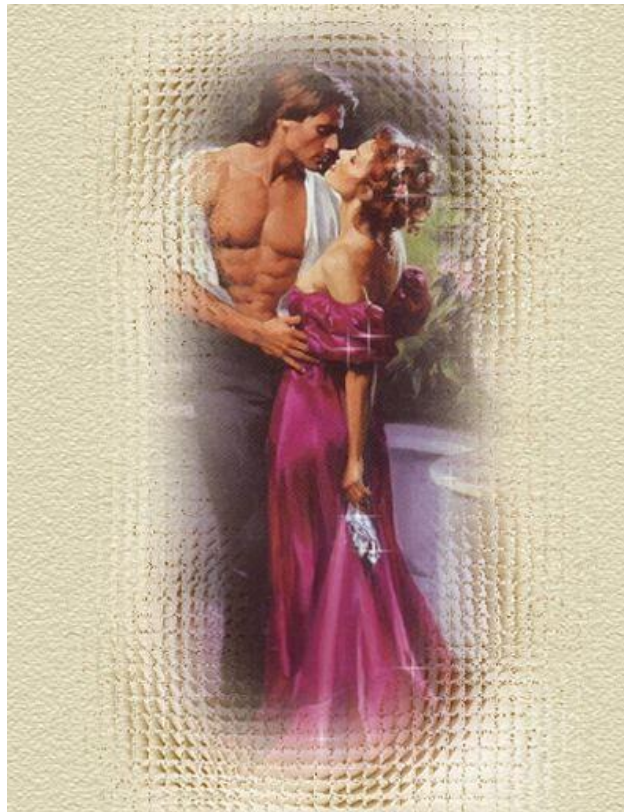




*Margaret
Summerville*



**URODZAJ
NA PIĘKNE
KOBIETY**

ROZDZIAŁ 1

Lord Benbrook coraz częściej żałował, że był tak pobłażliwy dla swej córki Verity. Rozmyślał nad tym jedząc śniadanie w jednym z przestronnych pokoi w pałacu Benbrooków i spoglądał poprzez stół na własną latorośl. Twarz Verity wyrażała upór i niezłomność, co często drażniło jego lordowską mość.

— Nie postępujesz rozsądnie — odezwał się do córki.

— Ojciec ma rację — wtrąciła hrabina Benbrook, atrakcyjna kobieta w średnim wieku, również z dezaprobatą patrząca na córkę.

Verity wlepiła wzrok w stojący przed nią talerz, po czym podniosła głowę i spojrzała na ojca. Wydawał się czymś zasepiony, ale przecież zawsze miał poważny wyraz twarzy i z rzadka się uśmiechał. Wysoki, dystyngowany, o przyprószonej siwizną włosach lord wzbudzał respekt. Verity bynajmniej się go nie bała.

— Tato — przemówiła — nie możesz oczekiwać, że będę zadowolona, skoro wyrzucasz mnie z domu, zmuszając do małżeństwa z człowiekiem, z którym nigdy nie będę szczęśliwa. Czy aż tak bardzo mnie nienawidzisz, że nie możesz już znieść dłużej mojej obecności?

Ostatnie zdanie wypowiedziała z tak melodramatyczną miną i teatralnymi gestami, że lord Benbrook odczuł zupełnie dla siebie nietypową ochotę do wybuchnięcia śmiechem.

— Wielkie nieba! Dziewczyno! Przestań być śmieszna! Masz dwadzieścia dwa lata i powinnaś już wyjść za mąż. Za Dorchestera oczywiście.

— I, bardzo proszę, przestań zachowywać się tak, jakby Gerald był jakimś potworem. To ujmujący młodzieniec — wtrąciła hrabina.

— Tak. To dobry chłopak. Jest nieco drażliwy, mogłaś jednak trafić dużo gorzej. Na honor, nie możesz dłużej zwlekać. Jesteście zaręczeni już od dwóch lat. Wiele osób uważa go za świetną partię, o czym ostatnio przypomniał mi jego ojciec.

W oczach Verity zabłyśły łzy.

— Czyż moje uczucia obchodzą cię tak niewiele?

— Do licha! — mruknął lord. — Verity! Nie zwiedzisz nas swoimi aktorskimi popisami. Możesz sobie płakać ile chcesz, bo i tak twoje krokodyle łzy na nic się nie zdadzą.

— Krokodyle łzy! — Verity zerwała się od stołu. — Nie wiem, czym sobie zasłużyłam na takie traktowanie. Odchodzę. Jestem zbyt zrozpaczona, żeby jeść! — wybuchnęła, oskarżycielsko spoglądając na rodziców. — Zapewne nie zwrócilibyście nawet uwagi, gdybym zagłodziła się na śmierć! — Po tych słowach z dramatycznym gestem opuściła pokój.

Lord mruknął coś do siebie i ponownie zabrał się do konsumpcji swego łososia. Hrabina pokręciła głową, zastanawiając się, jak to się stało, że mają tak krnąbrną córkę.

Rozdrażniona i sfrustrowana Verity pokonała kręte korytarze pałacu Benbrooków i z grymasem niezadowolenia na twarzy weszła na kamienne schody, prowadzące do jej pokoi. Coraz trudniej będzie wzbudzać współczucie rodziców, pomyślała. Łzy i protesty nie dawały spodziewanych efektów, ponieważ lord i hrabina uodpornili się już na jej egzaltowane wybuchy.

Zanim Verity dotarła do sypialni, łzy dawno zniknęły z jej policzków. Były przeznaczone wyłącznie dla rodziców. Na jej twarzy pojawił się wyraz zadumy. Należy zmienić strategię — zdecydowała. Musi przecież coś zrobić, aby opóźnić datę swego ślubu.

Niechęć, jaką wzbudzało w Verity to małżeństwo stanowiła dla wielu zagadkę, tym bardziej, że jej narzeczony był postacią bardzo szanowaną w najwyższych sferach. Markiz Dorchester, młodzieniec znakomitego pochodzenia, dziedzic olbrzymiej fortuny i spadkobierca księstwa, stanowił obiekt marzeń wielu matek mających córki na wydaniu. Był człowiekiem solidnym i godnym zaufania, a co najważniejsze — wolnym od nałogów, tak typowych dla ludzi z jego pozycją i pieniędzmi. Nie utrzymywał kochanki, unikał domów gier i alkoholu, miał wspaniałe maniery. Natura obdarzyła go wielką urodą. Pozornie znalezienie jakiegokolwiek wady w markizie wydawało się wręcz niemożliwe. Jednakże krytyczni obserwatorzy widzieli w nim snoba, człowieka przesadnie przejmującego się każdą drobnostką, dotyczącą własnej osoby i absolutnie pozbawionego poczucia humoru. Jego lordowska mość niewątpliwie nie posiadał też szczególnie rozwiniętego intelektu, ale w arystokratycznych kręgach nie uważano tego bynajmniej za wadę.

Verity знаła go od dzieciństwa. Mimo różnic temperamentów nigdy nie było między nimi nieporozumień, wręcz przeciwnie — Dorchester od najmłodszych lat się nią interesował. Ona natomiast, choć nie żywiła do niego niechęci, wiedziała, że nigdy nie byłaby w stanie go pokochać. Dlatego właśnie wizja małżeństwa z Geraldem była tak obca jej romantycznej naturze. Nie obrażała sobie bowiem życia u boku człowieka, którego nie mogłaby darzyć bezgranicznym uwielbieniem.

Zbliżywszy się do okna Verity spojrzała na pogodny krajobraz Lancashire. Z wysokości drugiego piętra widać było rozległy park, otaczający zamek. Był piękny kwietniowy poranek. Na trawie błyszczały kropelki rosy, a na drzewach zieleniły się młode listki. Piękno dnia nie miało jednak teraz dla niej najmniejszego znaczenia. Odwróciła się od okna i zasiadła za eleganckim biurkiem, w rogu pokoju. Otworzyła szufladę i wyjęła plik papierów. Przejrzawszy parę stron wzięła do ręki pióro i zanurzwszy je w kałamarzu zaczęła pisać.

Każdy, kto zobaczył lady Verity po raz pierwszy, musiał oddać sprawiedliwość jej urodzie. Będąc trochę więcej niż średniego wzrostu, miała doskonałą figurę, owalną twarz i ładne, regularne

rysy. Mimo że niektóre kanony urody kobiecej mogłyby nie pozwolić na zaakceptowanie jej lekko zadartego nosa i zbyt pełnych, wydatnych ust, uznawana była — nawet przez najsurowszych krytyków — za bardzo atrakcyjną młodą damę. Największy podziw wzbudzały jednak jej olbrzymie niebieskie oczy, okolone niezwykle ciemnymi rzęsami, i kruczoczarne włosy, swobodnie wijące się wokół twarzy — obiekt zazdrości wielu jej przyjaciółek.

Całą energię poświęcając pisaniu dramatów, Verity nie przywiązywała zbytnej wagi do własnego wyglądu. Wybór fryzur i sukien pozostawiała swej pracowitej pokojówce — Nell Dawson. Ona to właśnie pojawiła się niebawem w pokoju. Była dziewczęciem pulchnym i jasnowłosym. Jej wieczną wesołość podkreślały jeszcze dołeczki, pojawiające się na policzkach przy każdym uśmiechu.

— Słyszałam, że odeszłaś od śniadania, pani. Przyniosłam ci kilka grzanek.

— Jesteś cudowna, Nell — powiedziała Verity. — Umierałam już z głodu.

— Nie będę ci teraz przeszkadzać, pani. Widzę, że pracujesz.

— Zostań, Nell. Potrzebuję twojej opinii.

— Opinii?

— Zamordowałam Sandora!

— O Boże! — wykrzyknęła służąca. — Dlaczego?

— Wyprowadził mnie z równowagi. Ale teraz myślę, że to dobry pomysł.

Verity wręczyła Nell kilka stron. Dziewczyna przeczytała je uważnie, a potem pokiwała głową.

— Biedna księżniczka Thalia. To takie smutne, pani.

— To tragedia, Nell. Musi być smutna. Publiczność powinna zalać się łzami po wysłuchaniu ostatnich słów księżniczki. — Verity przerwała na chwilę, po czym dodała: — A gdyby tak Thalia przebiła się na koniec sztyletem?

— O Boże! — krzyknęła Nell. — Nie zrobisz chyba tego, pani!

— Nie jestem pewna — odparła Verity, wyjmując kartki z rąk służącej. — Chciałabym jednak usłyszeć twoje zdanie na temat ostatniej kwestii księżniczki.

— Jest wspaniała, pani — odparła Nell z odrobiną wahania.

— Daj spokój, Nell. Nie udawaj. Powiedz po prostu, co myślisz.

— Pomyślałam sobie, że może mogłabyś, pani, przerobić rymy w samym zakończeniu.

— O, właśnie. Miałam z tym problemy — wyznała Verity. — Może masz rację, Nell. Przerobię je.

Fakt, iż lady de Lacy prosiła o literackie porady swoją służącą, prostą młodą kobietę z niższych sfer, mógłby kogoś nieco zaskoczyć. Lecz Nell była dla Verity kimś więcej niż tylko poko-

jówką. Stała się przyjaciółką i powiernicą, jedyną, która знаła jej wielką tajemnicę. Nikt inny nie podejrzewał nawet, że lady Verity pisała sztuki teatralne i uważała się za niezłego dramaturga.

Swe aspiracje w tym właśnie kierunku Verity zaczęła przejawiać jeszcze w dzieciństwie. Kiedy miała siedem lat, rodzice zabrali ją wraz z rodzeństwem na przedstawienie trupy objazdowych aktorów, którzy przybyli do pobliskiej wsi. Podczas gdy na jej braciach, Walterze i Edwar dzie, sztuka nie zrobiła najmniejszego wrażenia, Verity była zauroczona nierealnym światem, jaki się przed nią roztoczył.

Niedługo potem, ku wielkiemu niezadowoleniu własnej guwernantki, zaczęła sama pisać dramaty. Nauczycielka jednak wołała, aby jej uczennica była bardziej sumienna w rachunkach i wkuwaniu francuskich słówek. Kiedy Verity wkroczyła w wiek dojrzewania, uznała, że najlepiej zrobi nie mówiąc nikomu o swej pasji. Od kilku lat ukrywała więc napisane przez siebie sztuki przed każdym, z wyjątkiem lojalnej Nell. W bibliotece nieświadomych jej zainteresowań rodziców schowane były ponad dwa tuziny dzieł Verity — komedie i tragedie, niektóre bezwartościowe, inne zaś zaskakująco dobre. Wszystkie jednak spoczywały tam przez nikogo nie czytane.

— Myślę, że „Wojownicza księżniczka” będzie najlepszą twoją sztuką, pani — powiedziała Nell.

— Tak sędzę — westchnęła Verity — choć muszę złożyć ją z pozostałymi moimi dziełami w zapomnieniu zakurzonej szafy.

— To przerażające, pani — jęknęła Nell. — Nie wolno ci tak postąpić. Twoja najnowsza sztuka musi być wystawiona.

— Och, Nell, nie bądź głupia. To przecież niemożliwe.

— Nie rozumiem dlaczego, kiedy jest tak świetna!

Verity uśmiechnęła się.

— Jesteś bardzo miła, Nell. Ja sama też czuję, że to mój najlepszy utwór. Ale czy nadaje się do teatru? Ktoś taki jak lord Ranley wyśmiałby mnie z pewnością.

— Raczej nie — dobitnie powiedziała Nell.

— Ależ na pewno, Nell. Nie sądzisz chyba, iż najlepszy dramaturg Anglii zaakceptowałby moje nieśmiałe próby?

— Oczywiście, że tak. — Nell przekonana była o swojej racji. Przerwała i zastanawiając się nad czymś położyła palec na ustach. — Wpadłam na pewien pomysł. Kiedy skończysz, pani, „Wojowniczą księżniczkę” — musisz wysłać ją do lorda Ranleya z prośbą o opinię.

— Och, Nell. Nie jestem aż tak próżna, by prosić lorda Ranleya o lekturę moich nieudolnych prób. — Verity kategorycznie pokręciła głową, ale Nell zauważyła, iż przedstawiony pomysł

ją zainteresował. — Czy naprawdę wierzysz, że mógłby przeczytać sztukę i poinformować mnie, co o niej sądzi?

— Oczywiście! Powinnaś spróbować, pani. Prześlij mu swój dramat.

— Ale co będzie, jeśli mu się nie spodoba, Nell? Jeśli napisze mi, że sztuka jest okropna?

— Gdyby tak zrobił, oznaczałoby to, iż nie zna się na dramatach.

Verity zaśmiała się.

— Obawiam się, że lord Ranley jest dużo surowszym krytykiem niż ty. Ale może masz rację. Nic się nie stanie, jeśli do niego napiszę. W najgorszym wypadku poinformuje mnie, że nie mam talentu i powinnam pozostawić pisanie dla teatru osobom bardziej kompetentnym. — Verity podniosła się z krzesła. — A wtedy, moja droga Nell — ciągnęła dramatycznym tonem — pożyczę sztylet od księżniczki Thalii i zakończę to wszystko!

— Ależ tak nie można! — wykrzyknęła przerażona służąca, a Verity wybuchnęła śmiechem.

T
L
R

ROZDZIAŁ 2

Jan Karol Ranley, piąty baron Ranley z Rotherfield, stał przy oknie w swoim salonie i ze smutkiem obserwował londyńską ulicę, ciągnącą się pod jego piękną rezydencją. Po chwili odwrócił się i zasiadł za biurkiem, na którym panował niesłychany bałagan. Nalał sobie z karafki kieliszek wina.

— Przepraszam, lordzie — przerwał ciszę jakiś głos. Ranley podniósł głowę i pytająco spojrzął na wchodzącego do pokoju lokaja. — Pan Hawkins jest tutaj — ciągnął dalej służący — i prosi waszą lordowską mość o chwilę rozmowy.

— Wyrzuc go, Perkins — powiedział baron, opróżniając kieliszek i niemal natychmiast napelniając go ponownie.

Służący uklonił się z szacunkiem i wyszedł. Ranley odprowadził go wzrokiem i powrócił znów do swych rozmyślań.

„Śmieszne — pomyślał — że czasami jestem zdziwiony, kiedy tytułują mnie lordem”.

Fakt zasiadania w Izbie Lordów oraz wszelkie związane z nową pozycją przywileje były dla Ranleya ciągle jeszcze zaskakujące. Mimo że już dwa lata upłynęły od czasu, kiedy to odziedziczył tytuł po zmarłym stryju, wszelkie zmiany, jakie zaszły w jego życiu, wydawały mu się niezupełnie realne. Przed śmiercią stryja był zwykłym panem Ranleyem, dramaturgiem i aktorem, znanym ubóstwiającej go publiczności jako „Brutus” Ranley. Przewisko to przyłgnęło doń dziesięć lat temu, gdy jako niespełna dwudziestoletni młodzieniec po raz pierwszy zagrał Brutusa w „Juliuszu Cezarze”. Rola owa przyniosła mu sukces i pieniądze, rozpoczynając jego wspaniałą karierę teatralną. W miarę upływu czasu Ranley coraz więcej uwagi poświęcał dramaturgii. Pisał coraz to nowe sztuki, w których główne role przeznaczał dla siebie. Młody dramaturg nie spodziewał się wcale, że odziedziczy kiedykolwiek tytuł swego stryja, dżentelmena nader żywotnego. Pięćdziesięcioletni, czerstwy i pełen werwy lord Ranley ożenił się ponownie z młodą kobietą. Jednakże wypadek w czasie konnej przejażdżki gwałtownie zakończył jego życie, zanim żona zdążyła obdarzyć go dziedzicem. W ten oto sposób znany i uwielbiany aktor sceny londyńskiej, Brutus Ranley, stał się członkiem poważanej i wzbudzającej szacunek sfery społecznej. Jak na ironię zmarły baron nie znosił bratanka z całego serca, podobnie jak nie lubił jego ojca, a swego młodszego brata. W rzeczy samej bracia nie rozmawiali ze sobą od czasu, kiedy ojciec Ranleya poślubiając aktorkę naraził na szwank dobre imię rodziny i ruszył w świat w poszukiwaniu szczęścia. Brutus nigdy nie poznał osobiście stryja, gdyż ów uparcie odmawiał przyjęcia go w swoim domu, a także dbał o to, by do kontaktu z synem znienawidzonego brata nie doszło w żaden inny sposób.

Przyjęcie tytułu lorda przyniosło Brutusowi wiele korzyści. Mimo że jego stosunek do szacunku okazywanego mu z racji zajmowanej pozycji był pełen cynizmu, to jednak potrafił docenić wygody związane z przeniesieniem się do starej rezydencji rodzinnej w Rotherfield. Korzystanie z dochodów płynących z nowych posiadłości pozwalało baronowi na robienie wszystkiego, co sprawiało mu przyjemność i przynosiło satysfakcję.

Oczywiście przynależność do Izby Lordów przecięła jego aktorską karierę, jako że lordowi w ogóle nie wypadało pokazywać się na scenie. Choć zamierzał kontynuować pisanie dramatów, wydawał się zadowolony z nieograniczonej ilości wolnego czasu, spędzając go na hazardzie i piciu alkoholu. Bezczyność Ranleya przerażała jego przyjaciela i współpracownika — Williama Hawkinsa, dyrektora teatru — który wciąż liczył na dalszą twórczość literacką barona. Prawdą jednak było, że aktywność pisarska Brutusa skończyła się, a on sam unikał pracy za biurkiem.

William Hawkins stanął właśnie w drzwiach salonu Ranleya, z naganą patrząc na barona.

— Brutus! Ty łajdaku, jak śmiałeś kazać mnie odprawić?

Baron skrzywił się na widok przyjaciela.

— Powiedziałem służącemu, żeby cię wyrzucił, Billy. Najwyraźniej jednak mu się to nie udało.

— Najwyraźniej.

Hawkins wkroczył do pokoju. Był to wysoki, krzepki mężczyzna w średnim wieku, o siwiejących włosach i poważnym spojrzeniu, bardzo elegancko ubrany. Wymachując laską o srebrnej gałce, rozglądał się po zabałaganionym pokoju. Z niesmakiem zmarszczył brwi, widząc, jak nieporządnie wygląda rozczochrany Ranley. Rzeczywiście w swej srebrzystej koszuli nocnej Brutus wyglądał tak, jakby dopiero co wstał z łóżka. Włosy miał w nieładzie, a jego pociągłą twarz pokrywał kilkudniowy zarost. Obecny wygląd barona nie mógł jednak ukryć, że był on wyjątkowo przystojnym mężczyzną. Twarz lordowskiej mości — o doskonałych, klasycznych rysach — charakteryzowała się lekko wysuniętą dolną szczęką, co było dziedzictwem po przodkach i oznaczało silny charakter. Jego brązowe oczy błyszczały, a ciemne włosy opadały w falach na szerokie i szlachetne czoło.

— Spójrz na siebie, Brutusie — rzekł zde gustowany Hawkins. — Niech mnie diabli wezmą, jeżeli nie jesteś pijany. Co się z tobą dzieje?

— Billy, przestań się ze mnie wyśmiewać, bo osobiście wyrzucę cię za drzwi.

— Wyrzucisz mnie? — zakpił dyrektor teatru. — Spróbuj, mój chłopcze, a zobaczysz, kto to jest Billy Hawkins!

— Wiem, kim jest Billy Hawkins — odparł ze znużeniem Ranley. — A teraz usiądź i przestań być taki niemiły. Napij się wina. Perkins zaraz poda ci kieliszek. Perkins! Kieliszek dla pana Hawkinsa!

Rozkaz barona został natychmiast wykonany.

— No, napij się, Billy. To ci poprawi humor.

Hawkins usiadł przy Ranleyu i ze złością spojrzął na podawany mu kieliszek.

— Nie będę owijał w bawełnę. Przyszedłem po sztukę, Brutusie.

— A po jakąż to sztukę, drogi Williamie? — zapytał baron.

— Daj spokój. Dobrze wiesz. Po sztukę, jaką obiecałeś dla mnie napisać. Byłem bardzo cierpliwy, czekając aż tak długo, ale teraz muszę ją mieć. I to zaraz.

Ranley wzruszył ramionami.

— A więc obawiam się, że będę musiał cię rozczarować. Nie mam żadnej sztuki.

— Na pewno masz chociaż początek. Wezmę pierwszy akt.

Ranley podniósł się niepewnie.

— Nie rozumiesz mnie, Billy. Nie napisałem jej. Ani jednego aktu, ani jednej strony, ani jednego słowa.

— Żartujesz chyba!

— Wcale nie żartuję. Nic dla ciebie nie mam, Billy.

Hawkins ze złością spojrzął na młodszego od siebie Ranleya.

— Co ja mam zrobić? Wszyscy czekają na twoją sztukę!

— Mój drogi przyjacielu. Jest mnóstwo dramatów, które możesz wystawić, i to dużo lepszych niż te, jakie kiedykolwiek napisałem. — Ranley chwiejnym krokiem podszedł do obitej pasiastym jedwabiem sofy i ciężko na nią opadł. — A teraz, błagam cię, przestań mnie nękać. Jestem bardzo zmęczony — ziewnął przeciągając się. — No, idź już sobie, Billy.

— Nie odejdę, zanim ci nie powiem, co o tym wszystkim myślę. Rujnujesz sam siebie, prowadząc tak hulawczy tryb życia. Szalejesz po nocach, zadajesz się z najgorszymi rozpustnikami, uprawiasz hazard i upijasz się jak jakiś lord!

Ranley parsknął śmiechem.

— Czyli postępuję tak, jak powinienem. Bo ja jestem lordem, Billy.

— Byłoby dla ciebie o wiele lepiej, gdybyś nim nie był — mruknął Hawkins. — Musisz wziąć się w garść. Na Boga, Brutusie, czy nie widzisz, do czego się doprowadzasz?

Pytanie to, tak pełne rozpaczy i troski o barona, nie sprowokowało go jednak do odpowiedzi, gdyż zamknąwszy oczy i ułożywszy głowę na oparciu sofy, zapadł natychmiast w sen.

— Niech to diabli! — wściekł się Hawkins, wstając z fotela i podchodząc do Ranleya. — Obudź się! Jeszcze nie skończyłem!

Ranley zamruczał coś i zapadł w jeszcze głębszy sen. Hawkins złożył ręce na piersi i pokiwał głową. Bardzo lubił swego przyjaciela, mimo zmartwień, jakie ten mu przysparzał. Tym trudniej więc było mu patrzeć na powolne samounicestwienie się barona, marnującego zdrowie i majątek na hulaszczcze zabawy. Co prawda Brutus zawsze charakteryzował się żywym temperamentem. Już w początkach swej aktorskiej kariery zamieszany był w kilka wydarzeń, które przyniosły mu opinię człowieka nie stroniącego od alkoholu i kobiet. Mimo to ani razu podczas swej pracy w teatrze nie opuścił żadnego przedstawienia, ani też nie pojawił się na scenie pijany.

Ranley napisał w przeszłości wiele dramatów. Tworzył je z niewiarygodną regularnością. To właśnie sztuki Brutusa i jego talent przyczyniły się do sukcesu prowadzonego przez Hawkinsa Teatru Królewskiego, zwyciężającego w rywalizacji ze słynnymi teatrami Drury Lane i Covent Garden.

Odziedziczenie lordowskiego tytułu przez Ranleya było wielkim ciosem dla Hawkinsa, który stracił nie tylko swego najlepszego aktora, ale i najwartościowszego pracownika. Chociaż gryzmolenie sztuk nie było najelegantszym zajęciem dla lorda, Brutus oświadczył, że nie zamierza porzucać dramaturgii, co znacznie pocieszyło dyrektora teatru. Początkowo wszystko układało się dobrze. Niestety, jakiś rok temu, ostatnia sztuka Ranleya została ostro wyśmiana przez krytykę w „Kronice Porannej”. To, co dawniej nie zrobiłoby żadnego wrażenia na Brutusie Ranleyu-aktorze, teraz sprawiło ogromną przykrość lordowi Ranleyowi z Rotherfield. Stopniowo zaczął tracić zainteresowanie dramatem i teatrem. Coraz chętniej oddawał się beztroskim zabawom, modnym w świecie wyższych sfer. Zerwał kontakty z większością przyjaciół z teatru, wyraźnie preferując nowe, bardziej arystokratyczne znajomości.

Przyglądając się Ranleyowi, Hawkins poczuł się dotkliwie rozczarowany. Pomimo tego, że baron wielokrotnie odkładał termin ukończenia nowej sztuki, tłumacząc się brakiem natchnienia, dyrektor teatru wciąż na nim polegał. Teraz właśnie odwrócił się od swego śpiącego przyjaciela, by raz jeszcze rozejrzeć się po salonie. Biurko Ranleya zawałone było bezładnie rozrzuconymi papierami.

— Musi chyba coś pisać — powiedział Hawkins sam do siebie. — Może znajdę coś wśród tych szpargałów.

Zdecydowawszy się przeprowadzić śledztwo w powyższej sprawie, zasiadł za biurkiem i zaczął przeglądać papiery. Znalazł dużo listów, przede wszystkim miłosnych bilecików od porzuconych kobiet. Po przeczytaniu kilku z wielkim zainteresowaniem, odrzucił je na bok. Potem prze-

rzał rachunki od handlarzy i liczne zaproszenia. Nie znalazł jednak niczego, co świadczyłoby o pracy Ranleya, z wyjątkiem kilku fragmentów niedokończonych wierszy.

— A cóż to? — zapytał sam siebie, kiedy jego oczy padły na rękopis porzucony na brzegu biurka. Schwycił go łapczywie i nerwowo przerzucił kartki. — Dzięki Bogu! Ten szelma jednak coś napisał — wykrzyknął uradowany, widząc, że to jakiś dramat.

Sztuka, którą trzymał w ręku, była skrupulatnie wykaligrafowana czytelnym charakterem pisma. Na karcie tytułowej widniał napis: „Wojownicza księżniczka. Tragedia.” Hawkins przeczytał dwie pierwsze strony i doszedł do wniosku, że dramat zapowiada się interesująco. Czytał dalej, a kiedy doszedł do końca, wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł łzy. Miał przed sobą wspaniałe dzieło, pełne zażartych sporów i patosu, tak uwielbianych przez publiczność. Wiedział, że to byłby wielki sukces.

Spojrząwszy na Ranleya, który wciąż głośno chrapał, Hawkins zaczął zastanawiać się, dlaczego baron nie dał mu swego utworu. To bardzo dziwne, pomyślał. Nagle zauważył na biurku jakąś kopertę.

„Drogi Panie — zaczynał się list — byłoby dla mnie wielkim szczęściem, gdyby zechciał pan przeczytać moją sztukę »Wojownicza księżniczka«.

— Do diabła! — zaklął głośno Hawkins.

Pod listem widniał podpis: V. de Lacy z Lancashire. A więc to nie jest sztuka Ranleya, ale dzieło jakiegoś niedoszłego dramaturga z północy, pomyślał ze smutkiem.

— Jaka szkoda — westchnął.

Jako dramat Brutusa dzieło to byłoby rzeczywiście coś warte, ale będąc utworem kogoś nieznanego nie miało większych szans na sukces. Ranley miał wielki autorytet, zwłaszcza teraz, kiedy jego liczni wielbiciel nie mogli oglądać go na scenie, a chcieli podziwiać jego sztuki. Z tego też powodu publiczność w teatrze stała się ostatnio dość niesforna. Głośno domagała się, że chce obejrzeć nowy dramat. Nowy dramat Ranleya oczywiście. Hawkins musiał wielokrotnie oznajmiać widzowi, iż lord Ranley ciężko pracuje nad nową sztuką i wkrótce ją ukończy.

Gdybyż tylko ta tragedia była autorstwa barona! — dyrektor teatru zamyślił się na moment. Nagle, gdy patrzył na tytułową stronę „Wojowniczej księżniczki”, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. To nie jest dzieło Ranleya, ale kto oprócz niego o tym wie? Można by ją trochę przerobić i nikt nie dowiedziałby się prawdy. Kimże w końcu był jakiś tam V. de Lacy? Gdyby zmienić tytuł, nikt by się nigdy nie domyślił, że autorem może być ktoś inny niż baron. Jedyne, co należało w obecnej sytuacji zrobić, to zlecić komuś przepisanie sztuki z kilkoma drobnymi poprawkami. Hawkins rozpromienił się. Będzie miał nową sztukę Ranleya i wszyscy się ucieszą. Rzucił spojrzenie na śpiącego Brutusa i uśmiech natychmiast znikł z jego twarzy. A co na to powie baron? Na

pewno nie będzie zachwycony. Hawkins wzruszył ramionami. W sumie nie zależało mu specjalnie, co sobie pomyśli lub co zrobi Ranley. Zresztą, dlaczego lord miałby się tym przejmować, kiedy i tak od jakiegoś czasu sam nie wiedział, co się wokół niego działo.

Hawkins pogrzebał w szufladach biurka, znalazł kawałek papieru i zaczął pisać:

„Drogi Panie de Lacy,

przeczytałem pański dramat. Z przykrością stwierdzam, że nie przedstawia on — zawahał się przez chwilę, a potem dopisał — żadnej wartości. Śmiem sugerować, aby porzucił pan twórczość dramatyczną. Otwarciem mówiąc, nie potrafi pan sprostać wymogom dramaturgii.

Pański sługa, lord Ranley”

Hawkins osuszył kartkę bibułą i bardzo z siebie zadowolony złożył ją na pół. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na pogrążonego we śnie Ranleya, wziął manuskrypt i wyszedł.

ROZDZIAŁ 3

Życie w pałacu w Lancashire stawało się dla hrabiny Benbrook coraz bardziej nieznośne. Nigdy nie lubiła tej ciemnej, niewygodnej rezydencji, wybudowanej na wrzosowiskach. Jej marzeniem było udać się do Londynu, gdzie mogłaby rzucić się bez opamiętania w ekscytujący wir życia towarzyskiego, obfitującego w bale, przyjęcia i plotki.

Kiedy siedziała zamyślona w salonie z książką na kolanach, zdała sobie sprawę, że niestety tylko ona jedna z taką niecierpliwością oczekiwała wyjazdu do miasta. Hrabia wolał życie na wsi, a Verity, choć zawsze ubóstwiała Londyn, w tym roku z zadowoleniem pozostała w domu. Przyczyną była oczywiście jej niechęć do spotkania się z Dorchesterem i jego rodziną. Hrabina zmarszczyła brwi, pomyślawszy o swojej córce. Verity była najtrudniejszym z jej dzieci. Dwóch młodszych synów Benbrooków nie sprawiało im najmniejszych kłopotów. Zresztą przebywali głównie poza domem, w Eton. Verity natomiast od najmłodszych lat kierowała się jedynie własnymi upodobaniami, wykazując przy tym niesłychany upór. Dlatego też, z bliżej nie wyjaśnionego powodu, zdecydowanie nie zgadzała się na małżeństwo z Dorchesterem. Lady Benbrook westchnęła i powróciła do czytania. Chwilę później lekturę przerwała jej córka.

— Nie chciałam ci przeszkadzać, mamo.

— Ależ kochanie, wcale mi nie przeszkadzasz. Tak naprawdę to jestem trochę znudzona i chętnie z tobą porozmawiam.

Verity usiadła na sofie, obok matki. Lady Benbrook przyjrzała się jej uważnie. Wyglądała prześlicznie w porannej sukni z niebieskiego muślinu.

— Co czytasz, mamo?

— Och, książkę pani Radcliff. Wciąż nie mogę jej skończyć.

Verity uśmiechnęła się. Matka usiłowała przeczytać tę powieść już od roku, ale nigdy nie wyszła poza kilka pierwszych rozdziałów.

— Co robiłaś rano, Verity? — zagadnęła po chwili hrabina. — Jak zwykle zamknęłaś się w swoim pokoju. Spędzasz w nim mnóstwo czasu. Będę szczęśliwa, kiedy wreszcie wyjedziemy do Londynu. Znajdziesz tam mnóstwo rozrywek.

Verity spuściła głowę. Myśl o Londynie przypomniła jej sztukę, którą wysłała do lorda Ranleya ponad trzy tygodnie temu. Nie otrzymała jeszcze odpowiedzi. Wiedziała co prawda, że nie upłynęło wiele czasu, ale trudno jej było zachować spokój. A jeżeli Ranleyowi w ogóle nie spodobał się ten dramat? Co będzie, jeśli wcale nie odpisze?

Lady Benbrook zaniepokoiła się bardzo wyrazem twarzy córki.

— Czy coś się stało, kochanie?

— Nie, mam. Nic się nie stało.

— Nie rozumiem, dlaczego ojciec upiera się przy pozostaniu w Lancashire. Sezon już się rozpoczął. Wszyscy są w mieście. I Dorchester też tam jest.

— Mamo! — jęknęła Verity. — Czy musisz teraz o nim mówić?

— Na Boga, kochanie! Przecież to mężczyzna, którego masz wkrótce poślubić. Przypuszczam, że nieraz jeszcze będę miała okazję o nim mówić.

— Mamo, błagam cię, zmień temat albo dojdzie do kłótni!

— Wiesz, że nikt tak jak ja nie unika sprzeczek, ale o tym musimy jednak porozmawiać. Niedługo pojedziemy do miasta. Zobacysz się z Geraldem i mam nadzieję, iż będziesz dla niego miła. Poza tym należy już ustalić datę waszego ślubu. Tylko nie protestuj, Verity! Wszystkie kobiety wcześniej czy później wychodzą za mąż. Takie jest nasze przeznaczenie.

— Byłabym o wiele szczęśliwsza, nigdy nie biorąc z nikim ślubu!

— Verity! — zawołała z oburzeniem lady Benbrook. — Co ty mówisz?! Każdego to czeka. Takie są prawa obowiązujące w społeczeństwie.

— Nic mnie one nie obchodzą — oznajmiła z samozaparciem Verity.

— Bzdury! — obruszyła się hrabina. — Nie twierdzą, że wszystkie kobiety są zachwycone swoimi mężami. Można mieć z nich jednak duży pożytek — szczególnie kiedy są zamożni. A Gerald jest przecież bogaty jak Krezus i na pewno nie jest skąpy. U jego boku będziesz prawdziwą damą, a pewnego dnia zostaniesz księżną.

— Mamo! Dlaczego nie chcesz mnie zrozumieć? Ja nie kocham Geralda! Nie mogę wyjść za mąż za kogoś, kogo nie kocham.

Hrabina potrząsnęła głową.

— Verity — powiedziała ostro — czas już, abyś porzuciła swe dziecięce fantazje. Nie uważam, że poślubienie kogoś, kogo się kocha jest niemiłe. Po prostu to rzadko kiedy bywa praktyczne. Za jakiś czas pokochasz Geralda.

Verity miała właśnie wykrzyknąć, że nigdy nie obdarzy go miłością, ale nie zdążyła. W salonie pojawił się lokaj.

— Poczta! — radośnie wykrzyknęła lady Benbrook, zadowolona z możliwości zmiany tematu rozmowy. — Mam nadzieję, że są jakieś wieści z miasta. Marzę o poznaniu najnowszych plotek.

Lokaj zbliżył się, podając swej pani srebrną tacę pełną listów. Hrabina wzięła je pośpiesznie.

— O! Jest list od lady Cowper. Ona zawsze ma najświeższe informacje. Widzę też coś dla ciebie, Verity. Nie wiem, czyj to charakter pisma, ale z pewnością nie Geralda. Niestety, nie jest on naszym wiernym korespondentem.

Verity przyjęła pojawienie się poczty z mieszaniną strachu i radości. Biorąc kopertę z rąk matki, złamała pieczęć i zajrzała do środka. Jej wzrok natychmiast powędrował na dół krótkiego listu. Podpis Ranleya! A więc w końcu odpisał!

Z początku odczuła dreszcz emocji. Po chwili jednak przykre wrażenie odbiło się na jej twarzy. Słowa: „nie przedstawia żadnej wartości” oraz „nie potrafi pan sprostać wymogom dramaturgii” poraziły ją jak grom. „Śmiem sugerować, aby porzucił pan twórczość dramatyczną” — przeczytała kilkakrotnie. To nie mogła być prawda! Najlepszy dramaturg Anglii odradzał jej zajmowanie się właśnie tym, co kochała najbardziej na świecie!

Lady Benbrook, z zapałem czytająca wieści od przyjaciółki, nie zauważyła, co działo się z córką. Kiedy jednak spojrzała na nią, zaskoczona ujrzała rozpacz malującą się na jej twarzy.

— Co się stało, Verity?

— Stało się? — powtórzyła bezwiednie dziewczyna, usiłując wziąć się w garść. — Nic się nie stało, mamó.

— Jesteś jakaś smutna. Zmartwił cię pewnie ten list. Od kogo?

— To nic ważnego. Po prostu wiadomość od Karoliny Billingham.

— Biedna Karolina — westchnęła hrabina. — Jest taka brzydka. Na szczęście dostanie hojny posag. Mam nadzieję, że wszystko u niej w porządku?

— O tak, mamó. — Verity podniosła się z sofy. — Przepraszam cię na moment. Powinnam jej odpisać.

— Nie musisz chyba robić tego natychmiast, kochanie.

— Ale chciałabym. To potrwa bardzo krótko — rzuciła pośpiesznie i wybiegła z pokoju, nie czekając, co powie hrabina.

Lady Benbrook wzruszyła jedynie ramionami i powróciła do lektury listu od lady Cowper.

Verity wbiegła do sypialni i rzuciła się na łóżko, wybuchając płaczem. Ranleyowi nie spodobała się jej sztuka! Jak mogła żyć dalej?

Nell Dawson porządkowała właśnie garderobę swej pani. Usłyszawszy jej szloch, przybiegła natychmiast.

— Co się stało, pani? — zapytała zaniepokojona.

— Och, Nell — wyjąkała Verity, zaciskając w dłoni list od dramaturga. Z rozpaczą rzuciła go służącej. — Zobacz, co napisał. Wyśmiał moją sztukę!

Nell wzięła zmiętą kartkę i pośpiesznie ją przeczytała.

— Pani, nie możesz dopuścić, aby cię to zniechęciło!

— Nell, jesteś taką samą głupią gęsią jak ja. Jeżeli lord Ranley uważa mnie za fatalnego pisarza, to znaczy, że tak jest.

— A może on wcale nie jest taki mądry, jak powiadają? — zapytała Nell. — Napisał bardzo nieuprzejmy list. Powinien uzasadnić, dlaczego sztuka mu się nie podobała.

— To bardzo zajęty człowiek — powiedziała Verity, siadając na łóżku i biorąc list z rąk pokojówki. — Nie mogę oczekiwać, że będzie marnował swój czas na podobne sprawy. Nie powinienam była wysyłać mu mojej sztuki. Jakże musiał się śmiać!

— Jeżeli się śmiał, to nie jest dżentelmenem — powiedziała Nell. — Nie powinnaś, pani, brać tego do serca.

— Jak mogłabym nie liczyć się z jego opinią? Och, Nell! Moje życie się skończyło!

— Chyba nie mówisz poważnie, milady.

— Ależ tak, Nell. — Verity otarła oczy chusteczką. — Nigdy już nie będę szczęśliwa. Gdybym była starożytnym Rzymianinem — rzuciłabym się na goły miecz!

— Lady Verity! — zatrwożyła się pokojówka.

— Tak. Właśnie tak bym zrobiła. — Verity zakryła oczy dłonią w geście, który — jak miała nadzieję — wystarczająco wyrażał jej rozpacz. Westchnęła. — Niestety nie jesteśmy w starożytnym Rzymie, Nell, więc zmuszona będę żyć dalej z moim cierpieniem.

— Ależ pani! Nie jest aż tak źle!

— Jest bardzo źle! A teraz błagam cię, Nell, zostaw mnie samą.

Służąca skinęła głową.

— Dobrze, pani. Będę w pobliżu. Zawołaj mnie, gdybyś mnie potrzebowała. — Nell dygnęła i wybiegła z pokoju.

Verity zaczęła nerwowo chodzić po sypialni. Choć wcześniej brała pod uwagę fakt, iż jej sztuka może nie przypaść Ranleyowi do gustu, nigdy nie podejrzewała, że mógłby ją wyśmiać. Była dumna z własnego dramatu, uważając go za swoje największe osiągnięcie. Co miała robić teraz, kiedy jej marzenia tak brutalnie zostały rozwiane?

Wyjrzała przez okno. Tak, życie potoczy się dalej. Stanie się taka sama jak wszystkie inne kobiety. Będzie chodzić na przyjęcia i bale, opowiadać bzdury i udawać, że się świetnie bawi. I poślubi Geralda, aby spędzić resztę życia w ponurej nudzie. Wciąż stała pogrążona w myślach. Nagle podjęła decyzję. Pokonawszy kręte, kamienne schody udała się do salonu, gdzie siedziała jej matka.

— Verity — zaniepokoiła się hrabina — czy jesteś chora?

— Nie mam — odparła Verity, zmuszając się do uśmiechu. — Przemyślałam właśnie wiele spraw i podjęłam decyzję.

— Decyzję?

Verity skinęła głową.

— Byłam głupia odmawiając poślubienia Geralda. Nie wątpię, że ty i tata macie słuszość złoścąc się na mnie. Nie będę już sprawiała wam więcej kłopotów. Zdecydowałam się poślubić Geralda tak szybko, jak się tylko da.

— Verity! — wykrzyknęła szczęśliwa lady Benbrook, zrywając się na równe nogi. — To cudowna wiadomość. Co się stało, że zmieniłaś zdanie?

— Po prostu poważnie się nad wszystkim zastanowiłam. Teraz wiem, że macie rację. Byłam śmieszna. Chyba czas powiedzieć ojcu, że możemy już jechać do Londynu. Sezon trwa, a nas tam nie ma!

— Tak. Powtarzam to od kilku tygodni. Teraz, kiedy podjęłaś decyzję, jestem pewna, że twój ojciec też będzie chciał jechać. Och, Verity! Jestem taka szczęśliwa!

Hrabina czule objęła córkę, która z trudem powstrzymywała się od płaczu.

ROZDZIAŁ 4

Było już po dwunastej, kiedy lord Ranley wstał i znudzony obserwował krzątanicę swego lokaja Tuckera. Służący, od dawna przyzwyczajony do zmiennych nastrojów swego pana, od razu zorientował się, że baron popadł w melancholię. W rzeczy samej jego lordowska mość często znajdował się w podobnym stanie, po hulaszczych nocach spędzonych na hazardzie i picciu. Lokaj umiejętnie dostosowywał własny nastrój do humoru pana. W powadze i milczeniu spełniał swoje obowiązki. Kiedy pomagał baronowi przymierzyć nienagannie skrojony płaszcz z oliwkowego flauszu, Ranley poweselał. Przejrzał się w lustrze i z zadowoleniem stwierdził, że mimo przekrwionych oczu i raczej ziemistej cery prezentuje się wciąż atrakcyjnie. Miał doskonałą figurę i choć brakowało mu cierpliwości do skrupulatnego stosowania się do mody, tak jak czyniła większość jemu podobnych elegantów, lubił być dobrze ubrany. Szyli dla niego najlepsi krawcy w Londynie i wszyscy oni pocztywali sobie za wielki zaszczyt mieć wśród swoich klientów sławnego Brutusa Ranleya.

Baron wyszedł z sypialni i skierował się na dół. Zasiadł w salonie, aby przejrzeć korespondencję i gazety, a potem kazał podać sobie lunch. Po wspnianym posiłku, urozmaiconym tylko jednym kieliszkiem wina, jego nastrój zmienił się diametralnie. Zdecydował się pojechać do miasta i kazał zaprzęgać konie.

Stangret barona był bardzo zdziwiony, widząc swego pana o tak wczesnej porze. Przez ostatni miesiąc Ranley wychodził jedynie nocą, a wracał o świcie. Zaskoczenie woźnicy jeszcze się wzmogło, kiedy baron kazał mu jechać do Teatru Królewskiego.

— Rozkaz, panie — rzekł oszołomiony, kierując gniade kłusaki na ulicę.

Ranley uśmiechnął się nieznacznie. Wiedział, jak bardzo zaskoczył służącego. W teatrze nie był już od wieków. On sam też się trochę dziwił, że nabrał tak nieprzepartej ochoty do obejrzenia tego miejsca.

Korzystając z przejażdżki, baron obserwował ulicę, zielone parki i rzędy wytwornych rezydencji. Kwitły pierwiosnki, w koronach drzew śpiewały ptaki. Raptem zdał sobie sprawę, jak rzadko dawniej zauważał takie rzeczy. Zamyślony nie dostrzegał, że przechodnie rozpoznają go w powozie, trącając się łokciami i pokazują sobie palcami. Teraz już nie zależało mu na sławie, choć jeszcze nie tak dawno ubóstwiał być oklaskiwany przez tłumy. Myśl o minionej popularności bynajmniej go nie przerażała.

Kiedy jego powóz dotarł do Teatru Królewskiego, Ranley obrzucił doskonale mu znaną budowlę czułym spojrzeniem. Była sceną jego największych triumfów i upadków. Pomyślał o niej jak o dawnej, porzuconej przez siebie kochance, wobec której poczuwał się do winy.

Był to jeden ze wspanialszych gmachów w Londynie. Został zbudowany na życzenie królowej Anny i na jej cześć nazwany Teatrem Królewskim. Obecny budynek był już trzecim z kolei, gdyż dwa poprzednie strawił pożar. Większy i okazalszy, bo liczący pięć kondygnacji, zaprojektowany w stylu neoklasycznym, miał wygląd greckiej świątyni. Mieścił galerię, loże, parter i oczywiście scenę, wystarczająco dużą, by wystawiać na niej najlepsze dramaty.

Ranley wysiadł z powozu i wszedł do środka. Myślą powrócił do dnia, kiedy po raz pierwszy przestąpił próg tej majestatycznej świątyni sztuk dramatycznych. Miał wtedy dwadzieścia jeden lat, a przed sobą pierwszą główną rolę na londyńskiej scenie. Zagrany przez niego Brutus był oszałamiającym sukcesem. Potem nastąpiło wiele innych, wspaniałych ról. Publiczność niejednokrotnie oklaskiwała go wstając z miejsc.

— Wielkie nieba! Przecież to milord Brutus! — rozległ się jakiś głos, kiedy baron pojawił się w teatrze.

— Jenkins! Ty szelmo! — wesoło zawołał Ranley do podstarzałego jegomościa w płowym płaszczu.

Jenkins, były aktor, pracował obecnie u Hawkinsa w bliżej niesprecyzowanym charakterze.

— Jak dobrze znowu pana widzieć.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Dobrze wyglądasz, Jenkins.

— Dziękuję panu. Właśnie odbywa się próba pańskiej nowej sztuki. Pewnie dlatego pan przyszedł, czyż nie?

— Mojej nowej sztuki? — Ranley spojrzał na Jenkinsa z niekłamanym zdziwieniem.

— Tak. Próba „Mężnej damy”. Według mnie to najlepszy pański dramat. Tyle wzruszeń, tyle patosu! A pani Flemming jest w swej roli znakomita!

— Więc uważasz, że to moja najlepsza sztuka? Dziękuję ci bardzo — wymamrotał zdumiony Ranley. — A gdzie jest Hawkins? Muszę z nim porozmawiać!

— Pan Hawkins jest na próbie. Proszę tam iść. Będzie zachwycony, że pan przyszedł.

— Niewątpliwie, Jenkins.

Pożegnawszy się ze starym znajomym, baron udał się na próbę, gdzie zastał cały zespół. Kostiumy aktorów przypominały ubiory starożytnych Greków i Rzymian. Pani Flemming, gwiazda Teatru Królewskiego, stała na środku sceny, obwieszona bogatą biżuterią. Grecki strój podkreślał jej doskonale kształty. Żywo gestykulując, głośno i wyraźnie wypowiadała swoją kwestię.

Ranley spostrzegł na widowni Hawkinsa i przysiadł się do niego. Dyrektor teatru wydawał się nieco przerażony jego widokiem.

— Ranley, a co ty, u diabła, tutaj robisz?

— Przeszedłem zobaczyć moją nową sztukę, Billy. To dziwne, ale zupełnie zapomniałem, że ją napisałem.

— Przepraszam cię, Brutusie, ale muszę obejrzeć ten fragment. Sprawia nam trochę trudności.

Ranley rzucił Hawkinsowi groźne spojrzenie i całą swą uwagę skupił na scenie, gdzie znowu pojawiła się pani Flemming. Salę wypełnił jej donośny głos. Wtem podbiegł do niej jakiś młodzieniec, krzycząc coś o nadciągającej inwazji. Jego słowa wywołały niesłychany popłoch. Wszyscy mężczyźni zaczęli wymachiwać mieczami lub włóczniami, demonstrując swą gotowość do walki. Pani Flemming wzniosła tylko oczy ku niebu, po czym kurtyna opadła.

— Wspaniale! — mruknął Hawkins. — To koniec drugiego aktu. Jak na razie idzie nam świetnie. Doskonała sztuka!

— Zapewne — rzekł sucho Ranley. — Ale czy mógłbyś mi stary, przypomnieć, kiedy ją napisałem?

— Muszę ci wszystko wyjaśnić. To bardzo proste. — Dyrektor teatru wielokrotnie już obmyślał, co powie Ranleyowi, kiedy ten się o wszystkim dowie. Przerwał na chwilę, zastanawiając się, które wyjaśnienie ma wybrać. — Sam dobrze wiesz, że jej nie napisałeś. To znaczy, chciałem powiedzieć, niezupełnie ją napisałeś — tłumaczył mętnie Hawkins.

Ciemne brwi Ranleya uniosły się nieznacznie.

— Niezupełnie ją napisałem?

— No nie. Ale to jest twoja sztuka.

— Jakże to tak, Billy?

— Mój Boże, Brutus, na pewno pamiętasz ten dzień, kiedy — jakieś trzy tygodnie temu — przyszedłem do ciebie po dramat.

— Tak. Coś niecoś sobie przypominam — odpowiedział baron.

W rzeczywistości jednak wspomnienia Ranleya odnośnie tamtej wizyty były dość mgliste. Pamiętał Hawkinsa wygłaszającego mowę o tym, jak się czuje zawiedziony, nie otrzymawszy nowej sztuki. Wiedział też, że on sam był wtedy kompletnie pijany.

— Byłem bardzo zły na ciebie, drogi chłopcze, ponieważ nie napisałeś ani słowa. Jednak gdy zaczęliśmy rozmawiać, powiedziałeś, że masz pomysł na fabułę.

— Tak powiedziałem?

Hawkins skinął potakująco głową.

— Byłeś wtedy całkiem pijany, ale mówiłeś dość płynnie. Zanotowałem wszystko. Wymyśliłeś cudowną opowieść. Ma się rozumieć, że to ja napisałem większość dialogów, ale sztuka jest twoja. Na pewno sobie przypominasz?

— Nie mam zielonego pojęcia, o czym ty w ogóle mówisz — powiedział niepewnie baron.

Zastanawiał się, czy aby Hawkins nie kpi sobie z niego. Czy mógłby wymyślić całą sztukę, a potem o niej zapomnieć? Nie sądził, by to było możliwe, choć zdawał sobie sprawę, że alkohol potrafi zrobić z ludzkim umysłem różne rzeczy.

— To prawda, drogi chłopcze. Powinienem powiadomić cię o wszystkim, ale byłem bardzo zajęty. Mieliśmy tak mało czasu. Zapewniam cię, że sztuka odniesie wielki sukces. Teraz musisz koniecznie zostać i obejrzeć trzeci akt.

— Oczywiście — odparł Ranley.

— Pani Flemming jest zachwycona swoją rolą. Tak, to doskonały dramat. Pewien jestem, że sobie coś przypomnisz, kiedy zobaczysz następny fragment.

Baron ponownie spojrzał na swego przyjaciela. Hawkins wydawał się być raczej poważny, ale ponieważ miał duszę łajdaka, nigdy nie można mu było do końca ufać.

W trakcie trzeciego aktu baron odniósł dziwne wrażenie, jakby przypominał sobie coś niecoś z tej niesamowitej historii, która rozgrywała się na scenie. Oglądał dalej sztukę, nie tracąc nadziei, że jakiś fragment pobudzi jego pamięć. Jeżeli rzeczywiście ja wymyśliłem to wszystko, musiałem chyba wtedy być w stanie lunatycznego snu lub delirium, pomyślał. Sztuka jednak nie była zła. Przeciwnie, zaskakiwała inteligentnym dialogiem i urozmaiconą akcją. Pani Flemming najwyraźniej rozkoszowała się swoją rolą. W pewnym momencie spostrzegła Ranleya, który z szacunkiem się jej uklonił. Od tej chwili wyraźnie zwracała się tylko do niego, trzepocząc zalotnie rzęsami.

Siedem lat temu on i sławna już wtedy Maria Flemming przeżyli romans, który był na językach całego Londynu. Trwał zaledwie kilka miesięcy i zakończył się gwałtownie, kiedy to Maria poznała jakiegoś rosyjskiego księcia. Co dziwniejsze, jej zdrada wcale nie załamała Ranleya i obydwoje pozostali przyjaciółmi.

Po próbie członkowie zespołu pośpieszyli przywitać Brutusa. Większość z nich była jego dawnymi przyjaciółmi i znajomymi. Ranley bardzo się ucieszył, że znów ich widzi. Pani Flemming zniknęła na chwilę, by wkrótce pojawić się znowu. Wszyscy rozstąpili się, kiedy zbliżała się do dawnego kochanka.

— Drogi Brutusie — zawołała, całując barona w policzek — myślałam, że już nigdy do nas nie przyjdiesz. Co sądzisz o naszej grze?

— Byłaś wspaniała! Wszyscy byliście znakomici!

Maria radośnie się uśmiechnęła, a Ranley pomyślał, że w pofałdowanej greckiej tunice wygląda cudownie. Miała bez wątpienia dużą urodę. Mimo swych prawie czterdziestu lat była wciąż piękną ze wspaniałymi rudymi włosami i kształtną sylwetką.

— Dlaczego tyle czasu cię nie było? Gdzie się podziewałeś, Brutusie? — zapytała Maria. — To brzydko z twojej strony tak nas porzucić.

— W rzeczy samej — wtrącił Billy Hawkins. — Dzisiaj jednak zostaniesz z nami. Wieczorem jest premiera, po której zorganizujemy przyjęcie, by uczcić nasz sukces.

Ranley uśmiechnął się.

— Nic nie sprawi mi większej przyjemności niż udane przyjęcie.

— To świetnie — ucieszył się Hawkins, poklepując po plecach swego przyjaciela.

Kiedy baron zajęty był rozmową z resztą zespołu, dyrektor teatru wciąż jeszcze uśmiechał się z ulgą, zdumiony, że tak łatwo udało mu się okpić takiego spryciarza jak Brutus Ranley.

ROZDZIAŁ 5

Lord Benbrook nie przepadał wprawdzie za Londynem, ale gdy usłyszał o decyzji Verity, chętnie zgodził się na wyjazd. Niedowierzając szczęściu, że jego córka zaczęła nareszcie zachowywać się rozsądnie, hrabia zdecydował pojechać od razu. Nie chciał dawać jej czasu na ewentualną zmianę zdania. Lokaje, pokojówki i pozostała część służby gorączkowo przygotowywali wyjazd. Jedną Verity pozostawiała, mimo panującego w całym domu zamieszania, smutna i melancholijna. Nie uszło to uwadze jej matki, która jednak zdecydowała nie przejmować się zbyt rozpaczą córki. „Wcześniej czy później dojdzie do siebie — pocieszała się w myślach lady Benbrook. Im szybciej wpadniemy w wir życia towarzyskiego Londynu, tym prędzej zapomni o swojej głupiej niechęci do Geralda”.

Państwo Benbrook z córką udali się w podróż kareta. (Ten obszerny i wygodny środek lokomocji mieścił z powodzeniem sześć osób i wzbudzał wielkie zainteresowanie w mijanych po drodze wioskach). Towarzyszyły im dwie pokojówki — Nell oraz Antoinette, gadatliwa Francuzka, mówiąca bez przerwy przy najmniejszej zachęcie z czyjejkolwiek strony. Zabrali też ze sobą małego pieska hrabiny, Zuchwalca, który spokojnie spał na kolanach swej pani.

Podróż do Londynu zajęła im cztery dni. Po spędzeniu wielu godzin w ciasnej karecie i trzech nocy w różnych zajazdach, lady i lord Benbrook nie kryli zadowolenia, że dotarli wreszcie do miasta. Jedyne Verity nie okazywała radości. Zazwyczaj czuła się podekscytowana przybywając do tej wielkiej metropolii, teraz jednak ogarnął ją smutek i zubożenie. Zdawała sobie sprawę, że nie była tym razem najlepszym towarzyszem podróży. W drodze prawie wcale się nie odzywała. Ale jak miała się cieszyć, skoro tu w mieście czekała ją rychła perspektywa małżeństwa z Dorchesterem? Nawet londyński teatr, dotychczasowa namiętność Verity, nie miał dla niej w obecnej chwili żadnego znaczenia. Jakże mogłaby oglądać dzieła innych dramaturgów, wiedząc, że sama nie będzie nigdy do nich należała? Rozmyślając o tym wyglądała przez okno karety i wciąż zachowywała głuche milczenie.

Nell Dawson poważnie martwiła się o swoją panią. Nigdy jeszcze bowiem nie widziała jej tak przygnębionej. Kiedy wyruszyły w drogę, Nell miała nadzieję, że Verity rozchmurzy się w ciągu najbliższych kilku dni. Zawsze przecież ubóstwiała podróże i w ich trakcie zabawiała wszystkich wesołymi opowiastkami lub dowcipnymi komentarzami. Pokojówka szczerze pragnęła, aby jej młoda pani szybko otrząsnęła się po rozczarowaniu, jakiego doznała ostatnio. Fakt, że taki dżentelmen jak lord Ranley spowodował tyle nieszczęścia swoim beztroskim listem, wydawał się jej oburzający. Uznanie lady Verity za osobę pozbawioną talentu było niedorzecznością! Przecież

jej pani to najbardziej utalentowana młoda kobieta w całym królestwie! Każde wspomnienie o lordzie Ranleyu doprowadzało Nell do furii i przyrzekła sobie, że jeżeli go tylko spotka, powie mu, co o nim myśli bez względu na to, czy jest on lordem czy nie!

Hrabia Benbrook był właścicielem wspaniałej rezydencji w jednej z najbardziej ekskluzywnych dzielnic Londynu. Dom Benbrooków — bo tak ją nazywano — był rezultatem najnowszych trendów architektonicznych i nawet sam książę regent zaliczał go do najświetniejszych budowli, jakie zdobią miasto.

Kiedy karetka zatrzymała się przed okazałym, eleganckim budynkiem, serce hrabiego wypełniła duma. Mieszkanie w Domu Benbrooków było dla niego jedyną osłodą życia w Londynie, związanego z koniecznością stawiania czoła zamętowi życia towarzyskiego i ciągłym plotkom. Również hrabina nie posiadała się z radości. Jedyne Verity była nadal przygnębiona. „Gdybym tylko mogła zostać w Lancashire!”, pomyślała posepnie. Tutaj z pewnością będzie musiała chodzić na przyjęcia, spotykać się z ludźmi z towarzystwa i udawać, iż się świetnie bawi. Z trudem powstrzymując się od płaczu, weszła do domu.

Rano obudziła się wypoczęta i nieco pogodniejsza, co natychmiast zauważyła Nell, gdy tylko weszła do sypialni, aby pomóc jej się ubrać. Podczas śniadania nastrój rozpaczy zupełnie opuścił Verity, co niesamowicie uradowało lady Benbrook. Po posiłku matka i córka udały się na zakupy do składu tekstyliów, gdzie Verity starała się okazywać odpowiedni entuzjazm dla jedwabi i satyn, prezentowanych im przez uprzejmego sprzedawcę. Panie nabyły potrzebne im materiały i powróciły do domu na lunch.

Późnym popołudniem do ich rezydencji zaczęli przybywać pierwsi goście. Rzuciwszy okiem na karty wizytowe podane jej przez lokaja, hrabina odprawiła go machnięciem ręki.

— Dzisiaj nie przyjmujemy, Weeks.

— Nie rozumiem, skąd już wszyscy wiedzą, że jesteśmy w mieście? — zdziwiła się Verity.

— Wiesz przecież, jak szybko rozchodzą się takie wieści. Pewnie ktoś widział nasz powóz.

— Tak, to prawda. Nie można go nie zauważyć — przytaknęła Verity. — Tak się cieszę, że dziś nie przyjmujemy, mamó — dodała po chwili.

— Ależ moja droga, wcale nie unikamy gości. Po prostu nie przyszedł nikt, z kim chciałyby się widzieć. Z przyjemnością natomiast spotkałabym się z każdym z moich drogich przyjaciół. O, znowu idzie Weeks. Któż przybył tym razem?

Lokaj skłonił się i wysunął przed siebie srebrną tacę, na której znajdowała się karta wizytowa księżnej Haverfordu i lorda Dorchestera.

— Gerald z matką! — wykrzyknęła Verity — O, nie! Nie chcę ich widzieć.

— Moja droga, w tym wypadku absolutnie nie możemy odmówić.

Verity zdała sobie sprawę, że dalsze protesty na nic się nie dadzą.

— Dobrze, mam. Chyba jednak dalsze unikanie Geralda nie ma najmniejszego sensu.

— Nareszcie mówisz rozsądnie, kochanie — ucieszyła się hrabina. — Poproś zaraz jej wysokość i lorda Dorchestera! — rozkazała lokajowi.

Weeks skłonił się i wyszedł. Za chwilę pojawił się znowu, prowadząc gości.

— Jej wysokość księżna Haverfordu i lord Dorchester — zaanonsował z namaszczeniem.

— Kochana Kate! — zawołała hrabina, podchodząc do matki Geralda. Objęła ją i ucałowała w policzek. — Drogi Dorchester! Wspaniale dziś wyglądasz!

Verity podniosła się z sofy, aby powitać księżną ukłonem, a ta przytuliła ją do swej obfitej piersi. Gerald skłonił się wykwintnie nad dłonią lady Benbrook, a następnie zwrócił się do Verity.

— Nie wiesz nawet, jak się cieszę, że cię widzę, moja droga.

— To bardzo miło z twojej strony.

— Usiądźcie, moi kochani — zaproponowała hrabina. — Tak się za wami stęskniłam. Mam nadzieję, że książę ma się dobrze?

— Niezupełnie — odparł Dorchester.

Odczekawszy aż zasiądą damy, zajął miejsce na sofie obok Verity.

— Niestety dokucza mu wciąż podagra — westchnęła księżna.

Podczas gdy matka Geralda zdradzała sekrety zdrowotnych problemów księcia, Verity wnikliwie przyglądała się swej przyszłej teściowej i jej synowi.

Katarzyna, księżna Haverfordu, była energiczną, pewną siebie kobietą około pięćdziesiątki. Miała arystokratyczne maniery i zazwyczaj zachowywała powagę, co nadawało jej dostojny, a zarazem dość groźny wygląd. Nosila elegancką pelisę z szarego kaszmiru, wykończoną aksamitem, i czerwony kapelusz przybrany pękiem strusich piór.

Dwudziestosześcioletni Gerald Mortimer, lord Dorchester, prezentował się równie imponująco. Był prawdziwym elegantem. Miał na sobie brązowożółtą kamizelkę, przybraną niezliczoną ilością łańcuszków od zegarków, opięty surdut, nankinowe spodnie i wypolerowane buty z cholewami, pięknie opinające jego smukłe nogi. Śnieżnobiały szal zawiązał sobie w misterną kompozycję wokół szyi. Był bez wątpienia przystojnym młodzieńcem o klasycznych, arystokratycznych rysach i bujnych blond włosach. Jediną rzeczą, jaka psuła jego doskonały wygląd, był wieczny grymas niezadowolenia na twarzy, spowodowany całkowitym brakiem poczuciu humoru.

— Tak się cieszymy, że wreszcie przyjechaliście do miasta — rzekła księżna. — Gerald wychodził już z siebie czekając na Verity.

Słyszając to Verity nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Nie potrafiła wyobrazić sobie Dorchestera „wychodzącego z siebie” z jakiegokolwiek powodu. Uwaga ta jednak bynajmniej nie spieszyła Geralda.

— Tak, jestem bardzo szczęśliwy, widząc cię znowu — rzekł poważnie. — Mam nadzieję, że miałaś miłą podróż?

— Była bardzo długa i dość monotonna.

— W rzeczy samej — wtrąciła hrabina. — Niestety spędziliśmy noc w najokropniejszym zajęździe, jaki tylko można sobie wyobrazić. Żebyście zobaczyli, co tam podają jako pieczeń wołową!

— Nie znoszę podróży — powiedziała księżna. — Całe szczęście, że główna siedziba księcia jest tak blisko miasta. Nocowanie w zajazdach jest prawdziwym koszmarem.

— To prawda — przytaknął Dorchester. — Ja osobiście staram się tego unikać, jak tylko mogę. Sam już nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem w podobnym przybytku. Ach tak! To było w czasie mojej upiornej wyprawy na kontynent. Drogie panie, jeżeli ktoś uważa, że nasze angielskie zajazdy są kiepskie, powinien spędzić noc w zajęździe francuskim. Aż się wzdrygam na samo wspomnienie!

Verity spojrzała na narzeczonego z niechęcią. Ubóstwiała podróże i postoje w zajazdach. Będąc wielbicielką przygód, uważała, że spędzenie nocy w zapluskwionym łóżku i zjedzenie niesmacznego posiłku to cena, jaką warto zapłacić w zamian za możliwość obejrzenia świata. „Tak bardzo bym chciała pojechać do Francji”, pomyślała.

Wkrótce księżna zmieniła temat i przeszła do plotek o znajomych, krewnych, księciu regencie i jego rodzinie. Verity — zazwyczaj ciekawa tego, co działo się w mieście — ledwie jej słuchała, zatopiona w posępnych myślach.

Z zadumy wyrwały ją słowa matki.

— Kochanie, czy nie uważasz, że to urocze ze strony Geralda? Zaprosił nas do teatru!

— Do teatru? — powtórzyła zmieszana Verity. — Ach tak, oczywiście.

— Wiem, jak bardzo lubisz teatr — rzekł Dorchester. — Choć nie pojmuję zupełnie dlaczego. Nigdy nie podobali mi się ci wszyscy napuszeni aktorzy i ich absurdalne oracje. To takie nudne! — Udało mu się lekko uśmiechnąć. — Ale o najnowszej sztuce mówi całe miasto. W końcu jeżeli mam już leżę w teatrze, to mogę ją od czasu do czasu wykorzystać.

— Na pewno będziemy się świetnie bawić — zawyrokowała księżna. — Mówią, że pani Flemming jest znakomita. A propos, czy słyszeliście, że porzuciła lorda Greyson dla sir Artura Cavendish? No cóż. Sir Artur zarabia rocznie około dwóch tysięcy.

— Ta kobieta jest przerażająco wulgarna — wtrącił Dorchester. — Zresztą wszystkie aktorki są pospolite. Osobiście wcale bym nie cierpiał, gdybym miał nigdy więcej nie pójść do teatru, ale — tu spojrzął na Verity — będę znosił to ze względu na ciebie.

— To miło z twojej strony, Geraldzie — powiedziała zachwycona lady Benbrook. — Jesteś takim delikatnym młodzieńcem. Verity, czy ty widzisz, jakie masz szczęście?

— Rzeczywiście. Mam wielkie szczęście — odpowiedziała ironicznie Verity.

— To ja jestem szczęściarzem — uprzejmie rzekł markiz. — Nie mogę się już doczekać jutrzejszego spotkania w teatrze.

— Tak, na pewno będzie uroczy — powiedziała księżna. — Teraz jednak, droga Janino, musimy cię już pożegnać. Obiecałam, że wpadnę jeszcze do lady Jersey.

Goście wyszli i Verity została sama z matką. Lady Benbrook była bardzo zadowolona z wizyty.

— Gerald to bardzo przystojny mężczyzna, prawda?

— Tak. Bardzo.

— I tak mu na tobie zależy. Zabiera nas do teatru, mimo że nie lubi tam chodzić. To ładnie z jego strony. Sama widzisz, że będzie pobłażliwym mężem. Jestem tego pewna.

— Gerald pobłażliwy? Nie sądzę, mamó. Nie wierzysz chyba, że po ślubie też będzie chodził do teatru z mojego powodu?

— Verity! — obruszyła się hrabina.

— Mamó, przecież dobrze go znasz. Zresztą nie martw się. Mogę nigdy więcej nie bywać w teatrze. W sumie wolałabym tam w ogóle nie iść. Powinnam była powiedzieć Geraldowi, że nie mam powodu, aby przeze mnie zmuszał się do spędzania nudnego wieczoru. Nie, mamó, wcale nie mam ochoty na teatr! — wykrzyknęła Verity i gwałtownie zerwała się z sofy. — Przepraszam, ale boli mnie trochę głowa. Pójdę się położyć.

Hrabina ze zdziwieniem przyglądała się córce, wybiegającej w pośpiechu z pokoju, po czym wyraźnie się zasepiła. Musi być z nią bardzo źle, skoro twierdzi, że nie zależy jej wcale na teatrze. Przez wiele lat stanowiło to jej wielką namiętność, zmartwiła się lady Benbrook. Chyba Verity niezupełnie pogodziła się z myślą o poślubieniu Geralda. Hrabina westchnęła. Wolałaby, aby jej córka była grzeczniejszą i stateczniejszą młodą damą.

ROZDZIAŁ 6

Nell Dawson umiejętnie upięła włosy swej pani w kok i ułożyła ciemne krótkie loczki, okalające jej twarz. Kiedy skończyła, obie przyjrzały się dokładnie lustrzanemu odbiciu Verity.

— Ślicznie, prawda?

Verity przytaknęła głową bez typowego dla siebie entuzjazmu.

— Tak. Dziękuję ci, Nell.

— Czy życzysz sobie do tego perłowy grzebień, pani? Pasowałby do kolczyków. O, tutaj z boku. Albo może lepiej byłoby z dwoma satynowymi kokardkami?

— Nic więcej nie trzeba. Nell. Prezentuję się wystarczająco dobrze. Idziemy przecież do teatru. — Verity wypowiedziała te słowa z takim zniechęceniem, że Nell przeraziła się nie na żarty.

— Tak mi przykro, milady. Ostatnio jesteś pani bardzo smutna.

— Droga Nell, nie chcę, żebyś się martwiła — powiedziała Verity, odwracając się od lustra. — Po prostu teatr stracił dla mnie cały urok. Nie będę mogła spokojnie obejrzeć żadnej sztuki, pamiętając o tym, jak byłam zarozumiała. Sądziłam, że sama umiem pisać. Myśl o teatrze przypomina mi moją własną głupotę.

— Ależ, pani! To nieprawda! Tak bym chciała, żebyś nie brała do serca słów lorda Ranleya. To głupi i niewdzięczny człowiek. Gdybym była mężczyzną, kazałabym mu przeprosić cię albo wyzwałabym go na pojedynek.

— Och, Nell! — Verity wybuchnęła śmiechem, zapominając na moment o złym nastroju. — Cóż za absurdalny pomysł! Ty pojedykująca się z lordem Ranleyem!

Pokojówka uśmiechnęła się radośnie, szczęśliwa, że udało jej się rozbawić panią.

— Cóż, muszę już iść, Nell, bo mama zacznie się niepokoić. Gdzie mój wachlarz?

Służąca wręczyła jej wachlarz i rękawiczki.

— Dziękuję, Nell.

Hrabina w swej sukni z morelowego jedwabiu prezentowała się doskonale.

— Wyglądasz wspaniale, mamó.

— Dziękuję ci, kochanie. Widzę, że Nell świetnie ułożyła ci włosy. Poprosiłabym ją, żeby i mnie uczesała, ale Antoinette niechybnie by się obraziła. Wyglądasz cudownie. Zapewniam cię, że żaden mężczyzna nie będzie dziś patrzył na scenę, tylko na ciebie!

— Nonsens, mamó — uśmiechnęła się Verity i spojrzała na zegar, stojący na kominku.

— Ja jestem punktualna. A gdzie jest Gerald? Nie mogę uwierzyć, że się spóźnia.

Kiedy zegar zaczął wybijać godzinę, w drzwiach pojawił się lokaj, anonsując lorda Dorchester. Młody człowiek był zadziwiająco punktualny!

— Jak zwykle na czas! — ucieszyła się na jego widok lady Benbrook.

Gerald ucałował jej dłoń i poprowadził obie damy do powozu, gdzie czekała księżna.

— Dobry wieczór, moje drogie — powitała je serdecznie.

— To takie ekscytujące iść do teatru — powiedziała lady Benbrook. — W Lancashire było straszliwie nudno. Marzyłam wręcz, żeby znowu znaleźć się tutaj.

— Zgadzam się z panią. Wieś jest niewątpliwie nudna — przytaknął Dorchester, wsiadając do powozu. — Oczywiście z wyjątkiem polowania — dodał.

— Wszyscy mężczyźni ubóstwiają polowania — powiedziała hrabina — ale dla kobiet wcale nie są one zabawne. Musimy tylko zawsze czekać z nadzieją, że nikt nie złamie sobie karku na jakiejś przeszkodzie.

— Tak — zgodziła się księżna — na wsi rzeczywiście nie ma rozrywek dla kobiet. Dlatego tak lubimy miasto. I mimo że Gerald nie lubi teatru, muszę przyznać, iż bardzo cieszę się na tę nową sztukę.

— Jaki ma tytuł? — zapytała lady Benbrook.

— „Mężna dama” — odpowiedziała księżna.

— Pewien jestem, że to nic wartościowego — wzdrygnął się Dorchester. — Wszyscy robią wokół niej mnóstwo zamieszania, ponieważ napisał ją Ranley!

Dźwięk tego nazwiska wyrwał Verity z odrętwienia. Spojrzała na markiza.

— Lord Ranley?

— Tak. To jego najnowsze dzieło. Niewątpliwie jakaś kolejna sentymalna głupota.

— Ależ Geraldzie — wtrąciła księżna — lady Jersey była tą sztuką zachwycona.

— Paniom na pewno się spodoba — oświadczył Dorchester, tonem zdradzającym głęboką niewiarę w dobre gusta kobiet.

— Ranley jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam — powiedziała lady Benbrook. — Ma talent. Verity zawsze go podziwiała.

Ku zdziwieniu swojej matki córka nie włączyła się do rozmowy.

— Był wspaniały jako Brutus, a także Hamlet. — rzekła z westchnieniem księżna. — Zresztą to bardzo atrakcyjny mężczyzna. Lady Jersey mówi, że jest czarujący. Ja osobiście niestety nigdy go nie poznałam.

— Ja też nie — dodała lady Benbrook.

— Nie sądzę, żeby był odpowiednim towarzystwem dla dam — oschle oznajmił Dorchester.

— Ależ Geraldzie — obruszyła się księżna — on pochodzi z jednego z najstarszych rodów. Och, znam te wszystkie opowieści o jego reputacji. Teraz jest jednak wszędzie przyjmowany.

— Nigdy nie przyjąłbym nikogo takiego jak on — kwaśno odrzekł markiz. — Pochodzi co prawda z dobrej rodziny, Ranleyowie są powszechnie szanowani, ale jego matka była zwykłą aktorką, do tego Walijką lub Irlandką. Ojciec Ranleya został za małżeństwo z nią wyklęty przez rodzinę i musiał zarabiać na życie grając w teatrze. Wielkie nieba! Trudno wyobrazić sobie coś bardziej niestosownego! Ten wasz Brutus spędził większość życia podobnie jak jego ojciec. Był zwykłą aktorką! A teraz, kiedy odziedziczył tytuł i wszedł do towarzystwa, zachowuje się tak, jak gdyby należał do niego od zawsze! Kupił wielki dom na Hanover Square. Ma wulgarny, ekstrawagancki sposób bycia. Mówią, że jest wiecznie pijany. Nie, przenigdy nie chciałbym go spotkać, a gdyby kiedyś do tego doszło, chętnie przywołałbym go do porządku!

Verity patrzyła w milczeniu na swego narzeczonego i zastanowiła się, który z nich, Ranley czy Dorchester, jest bardziej nie do zniesienia.

— Nie wystąpisz w obronie lorda Ranleya, Verity? — zaśmiała się lady Benbrook. — Wiem, że bardzo go cenisz. Pamiętasz, kiedy miałaś szesnaście lat, widziałyśmy go w sztuce pana Sheffielda. Zapomniałam już jej tytuł. Nie mówiłaś wtedy o niczym innym przez całe tygodnie!

— Byłam wtedy bardzo młoda, mamó — sucho odparła Verity. — Teraz mam już dwadzieścia dwa lata i nie zachwyca mnie byle aktor w głupawej sztuce!

Hrabina była co najmniej zaszokowana, słysząc tak przedziwną odpowiedź córki. Dorchester zaś wydał się zachwycony.

— Moja droga Verity! Widzę, że nie jesteś już małą, głupią dziewczynką i bardzo się z tego cieszę. Porozmawiajmy jednak o czymś przyjemniejszym. Ranley to nic nie znaczący, źle urodzony człowiek. Nie sądzę, żeby jego osoba była odpowiednim tematem dla pań!

Pompatyczny ton Dorchestera rozdrażnił Verity, ale nie odezwała się ani słowem. Z okna karety wciąż obserwowała słabo oświetlone ulice.

Księżna i lady Benbrook zaczęły mówić o synu ich wspólnej znajomej. Verity usiłowała skupić swą uwagę na ich rozmowie. Odetchnęła jednak z ulgą, kiedy wreszcie dojechali do teatru. Miała nadzieję, że zgromadzony tłum i panujące tam zamieszanie pozwolą jej zapomnieć na moment o własnym nieszczęściu.

Teatr Królewski był wspaniale oświetlony. Przy wjeździe tłoczyły się karety i piesi. Modny powozik Dorchestera zajechał pod sam gmach. Markiz z niechęcią spojrzął na wchodzący do teatru tłum. Było w nim oczywiście wiele osób z towarzystwa, ale jego lordowskiej mości wydawało się, że przeważają zwyczajni widzowie z parteru i galerii.

Gerald poczuł się znacznie lepiej, kiedy wraz z paniami znalazł się w swej łoży, z której doskonale było widać scenę i widownię. Cały teatr tętnił życiem. Jasne oświetlenie zarówno przed, jak i w czasie przedstawienia — ułatwiało niektórym widzom głośną konwersację i przyglądanie się sąsiadom bez jakiegokolwiek zażenowania. W miejscu tym należało się pokazać, a także można było obejrzyć innych lub nawiązać drobny flirt. Młodzi eleganci lustrowali wszystkie łoże i rzucali zalotne spojrzenia ładnym kobietom. Panie w podobny sposób korzystały ze swoich lornetek, dając przy tym ukryte sygnały wachlarzami wielbicielom, w nadziei, że ich mężowie nic nie zauważą.

Verity obojętnie patrzyła na kłębiący się pod ich łożą tłum, choć zazwyczaj nie mogła wytrzymać z podniecenia, oczekując na sztukę. Aby uniknąć wzroku wielu mężczyzn, wciąż zerkających w jej kierunku, całą swą uwagę skupiła na programie przedstawienia. Spojrzała na obsadę. Pani Flemming grała księżniczkę Flavię. Lista ról drugoplanowych nieco zaskoczyła Verity. Wiele postaci bowiem miało imiona bohaterów „Wojowniczej księżniczki”.

W łoży po przeciwnej stronie zasiadła właśnie rozbawiona grupka ludzi — dwie eleganckie kobiety i trzech panów. Jednym z nich był lord Ranley. Mimo że jego towarzysze nie przestawali dowcipkować, baron nie bawił się zbyt dobrze.

— Co się z tobą dzieje, Brutusie? — zapytał go siedzący obok sir Robert Jeffries. — Jesteś strasznie ponury. Przecież ta sztuka jest twoim niewątpliwym sukcesem!

— Tak — przyznał Ranley.

Nieobecny wzrokiem powiódł po tłumie i pomyślał, że chętnie wypiłby szklaneczkę brandy.

— Co za urodzaj na piękne kobiety! — zauważył z uśmiechem Jeffries.

— Robercie! — zganiała go siedząca obok niego śliczna blondynka w niebieskiej sukni i turkusowym zawoju na głowie. — Dobrze by ci zrobiło, gdybyś dał sobie na jakiś czas spokój z kobietami!

— Wiesz, że to niemożliwe, kochana siostrzyczko. — Jeffries zaśmiał się swobodnie i ponownie zaczął badawczo przyglądać się wszystkim damom.

— Kim jest ta młoda panna w łoży księżnej Haverfordu? — spytał.

Blondynka skierowała lornetkę we wskazanym kierunku.

— Verity de Lacy. Ma wyjść za markiza Dorchestera. A to jej matka, lady Benbrook.

— Boże! Dziewczyna pierwsza klasa! — wykrzyknął młodzieniec. — Nie sądzisz, Brutusie?

Baron spojrzął na Verity i oczy zabłysły mu na widok jej urody.

— Tak. Prezentuje się zupełnie nieźle — odpowiedział z wystudiowaną obojętnością.

W rzeczywistości Verity zrobiła na nim duże wrażenie. Było w niej coś intrygującego, kiedy tak siedziała czytając swój program i zupełnie ignorując zamieszanie, jakie wywołała wśród męskiej części widowni. Ranley nie mógł się opanować i wciąż spoglądał w jej kierunku, upewniwszy się najpierw, czy Jeffries tego nie widzi.

Nieświadoma zainteresowania, jakie wzbudziła w lordzie Ranleyu, Verity podniosła głowę i zaczęła się przyglądać widowni.

— Och, przecież to lord Ranley! — szepnęła nagle księżna. — Siedzi z sir Robertem Jeffriesem i jego siostrą, lady Newbridge.

Verity rozejrzała się. Znała lady Newbridge, toteż szybko odnalazła ją wzrokiem. Potem spostrzegła lorda Ranleya, rozmawiającego z jakimś mężczyzną. Verity widziała go na scenie kilka lat temu. Nie zmienił się od tamtej pory. Był wciąż niesłychanie przystojny. Zachował swą niezwykłą urodę, która sprawiała, że kobiety omdlewały na jego widok.

Verity przypomniała sobie z oburzeniem otrzymany od Ranleya list, który rozdarł jej serce i sprawił, iż życie zaczęło tracić sens. Obserwowała go uważnie spod zmarszczonych brwi. Nagle i on spojrzał w jej kierunku. Ich oczy spotkały się. Ranley nie posiadał się ze zdziwienia, że owa piękna młoda dama spoglądała na niego z tak wielką dezaprobatą. Wtem podniosła się kurtyna i baron, nieco zakłopotany, przeniósł wzrok na scenę. Verity jednak wciąż się mu przyglądała, dopóki nie usłyszała pierwszych słów sztuki. Zaczynała się ona bardzo podobnie do „Wojowniczej księżniczki”. Po chwili Verity zdębiała całkowicie. To był początek jej ostatniego dramatu! Słowo po słowie!

Na scenie, ku wielkiej ucieście publiczności, pojawiła się pani Flemming. Kiedy oklaski umilkły, zaczęła mówić swym słynnym kontraltem kwestię, którą Verity napisała dla księżniczki Thalii.

Z początku była zbyt zaszokowana, żeby myśleć. Później zdała sobie sprawę, co się stało. Ranley ukradł jej sztukę! W liście perfidnie napisał jej, że nie ma talentu. Verity spojrzała na barona, gotując się w środku ze złości. Jak śmiał zrobić coś podobnego! Nagle dotarły do niej słowa, jakie na scenie wypowiadała właśnie księżniczka Thalia:

— Na bogów! Zapłaci mi on za tę zniewagę!

Ranley oglądał przedstawienie z dużym zainteresowaniem. Po jakimś czasie zerknął w stronę Verity. Nie spodziewał się jednak spotkać jej pełnego nienawiści wzroku. Poprawił się na krześle i raz jeszcze spojrzał na nią zmieszany.

Twarz Verity spurpurowiała. Gdyby mogła, pogroziłaby mu pięścią lub pobiegła do jego łóżki i po prostu go udusiła. Szkoda, że nie ma włóczni, z którą księżniczka Thalia — czy też księżniczka Flavia, jak ją nazwano — obnosiła się po scenie! Cisnęłaby nią ponad widownią i przebiła

barona! Tak, to by było odpowiednie zakończenie przygotowanej przez Ranleya farsy! W rzeczywistości jednak nie pozostawało jej nic innego, jak siedzieć cicho i patrzeć na niego z rosnącą złością. Zastanawiała się, jak długo jeszcze będzie musiała to znosić. Biła się z myślami. Co mogła zrobić? Nikt nie wiedział, że pisała sztuki. Gdyby ogłosiła się autorką „Mężnej damy”, uznaliby ją za wariatkę. Nie, musi się jakoś uspokoić.

— Jakie to wzruszające — szepnęła lady Benbrook, pochylając się ku córce.

— Tak, mamó — wykrztusiła Verity.

Ponownie spojrzała z pogardą na lorda Ranleya i pogrążyła się w milczeniu.

TLR

ROZDZIAŁ 7

Nell Dawson spędziła miły wieczór w pokojach dla służby, szydełkując i konwersując z lokajem Weeksem i pokojówką lady Benbrook. Antoinette знаła najnowsze plotki i zawsze uraczała swoich słuchaczy zabawnymi i zaskakującymi opowieściami. Weeks udawał, że nie bawi go obgadanie innych ludzi, ale nie robił nic, aby powstrzymać ją od powtarzania szokujących wiadomości o dobrze urodzonych damach i znanych powszechnie dżentelmenach. Zajęci rozmową nie zauważyli, jak minęło kilka godzin i panie powróciły z teatru. Nell zerwała się na dźwięk dzwonka z pokoju Verity. Zawsze lubiła słuchać relacji z nowej sztuki. Miała też nadzieję, że tak podniecające wydarzenie jak wieczór w teatrze wyrwało Verity z jej przygnębienia. Kiedy tylko weszła do pokoju swej pani i zobaczyła jej minę, od razu zorientowała się, że coś było nie w porządku.

— Och, Nell! — zawołała Verity. — Nie wyobrażasz sobie nawet, co ja przeżyłam!

— Co się stało, pani?

— Coś potwornego! Zostałam wykorzystana przez mężczyznę!

— Och, pani! Czyba nie lord Dorchester?

— Nie, nie Dorchester. Mówię o Ranleyu. Ukradł mi moją sztukę. Tak, przywłaszczył sobie „Wojowniczą księżniczkę” i wystawił ją pod swoim nazwiskiem. Spędziłam właśnie najfatalniejszy wieczór, jaki można sobie wyobrazić. Obejrzałam moje własne dzieło! Mam wiele zastrzeżeń co do sposobu, w jaki zostało przedstawione. Czy zdajesz sobie sprawę, co przeżyłam? Ten podły łajdak Ranley siedział naprzeciwko nas i radośnie przyjmował oklaski, którymi widownia obdarzyła moją sztukę!

— Coś okropnego — jęknęła Nell. — Pewna jesteś pani, że to ta sama sztuka?

— Nie zmienił ani słowa. — Verity usiadła załamana na łóżku i wskazała pokojówce, aby zajęła miejsce obok niej. — A przecież odmówił mi talentu. Teraz rozumiem, dlaczego nie zwrócił mi rękopisu. Pomyślał pewnie, że może mnie bezkarnie okraść. — W oczach Verity pojawił się zimny błysk. — Przysięgam ci, Nell, iż Ranley się wkrótce przekona, jak bardzo się mylił.

Jej ostatnie słowa zaniepokoiły pokojówkę.

— Co zamierzasz zrobić, pani?

— Jeszcze nie wiem, ale coś wymyślę. — Verity zasepiła się. — Prawdopodobnie jutro rano złożę mu wizytę.

— Och, nie! Nie zamierzasz chyba, pani, iść do niego sama?

— Nie pójdę sama, tylko z tobą, Nell.

— Ależ pani. Czy to rozsądne? Właśnie dzisiaj Antoinette mówiła mi, że lord Ranley jest człowiekiem... — Nell zawahała się, dobierając odpowiednie słowa — o bardzo złej reputacji. Odważył się ukraść twoją sztukę. To nie dżentelmen, ale łajdak! Nie, na nic się nie zda odwiedzenie kogoś takiego jak on. Może lepiej byłoby powiedzieć o tym lordowi Benbrookowi albo lordowi Dorchesterowi?

— Nie bądź głupia, Nell. Oni nie mogą nic wiedzieć. Przypuszczam, że w ogóle by mi nie uwierzyli. A poza tym, czy wyobrażasz sobie, co zrobiłby Gerald dowiedziawszy się, że pisuję dramaty? Strasznie by się przeraził. Oczywiście nic mnie nie obchodzi, co on sobie myśli, ale...

— Masz go przecież poślubić, pani.

— A co to ma do rzeczy? — zachnęła się Verity. — Nie, muszę sama sobie poradzić — oświadczyła, wstając z łóżka. — Pomóż mi się rozebrać, Nell. Położę się, chociaż nie wiem, czy w ogóle uda mi się zasnąć. To był straszny wieczór!

— Domyślam się, pani — westchnęła Nell, odpinając maleńkie perłowe guziczki na tyle jej sukni. — Ta sprawa ma też swoją dobrą stronę — odezwała się po chwili służąca.

Verity spojrzała na nią pytająco.

— Nie rozumiem, Nell.

— Cóż, twoja sztuka, pani, musiała się bardzo spodobać lordowi Ranleyowi, skoro ją sobie przywłaszczył.

Verity uśmiechnęła się.

— Tak. Masz rację, Nell. W ten sposób odniosłam pewnego rodzaju sukces.

— Myślę, że powinno to poprawić ci trochę humor, pani.

— Tak. Chyba powinno — zgodziła się Verity.

Następnego dnia Verity wstała bardzo wcześnie i od razu przywołała do siebie pokojówkę. Nie zważając na przestrogi przerażonej Nell, była bowiem bardziej niż kiedykolwiek nieugięta w swoim postanowieniu, zdecydowała bezzwłocznie złożyć wizytę lordowi Ranleyowi. Nie mogła przecież darować perfidnego czynu, jakiego się wobec niej dopuścił.

Ubrała się i zeszła na dół, zdecydowawszy wypełnić swoją misję, zanim obudzą się rodzice. Wiedziała, że minie jakiś czas, nim lord i lady Benbrook opuszczą sypialnię. Mieszkając w mieście rzadko wstawali przed jedenastą. Po zjedzeniu grzanki i wypiciu gorącej czekolady Verity poinformowała Nell, że zaraz wychodzą. Pokojówka była pełna obaw, ale skinęła głową i pośpieszyła po kapelusze i peleryny.

Verity wpadła na pomysł, by zabrać ze sobą Zuchwalca, który przybiegł na dół i żebrał o resztki ze śniadania. Wyprowadzenie go na spacer wydawało się jej dobrą wymówką, usprawiedliwiającą tak wczesne wyjście z domu.

— Gdy pani zejdzie na dół, powiedz jej, że wyszliśmy z Zuchwalcem na dwór — poinformowała Weeksa. — Nie wiem, kiedy wrócimy. Taki ładny dziś dzień. W sam raz na spacer.

— Pani będzie na pewno bardzo zadowolona, że jej ulubieniec pobiega sobie trochę — rzekł lokaj.

Verity i Nell pośpiesznie wyszły z domu, trzymając na smyczy Zuchwalca, który skacząc demonstrował, jak bardzo cieszy się ze spaceru. Piesek hrabiny miał czarną, długą sierść i ogon w kształcie pióropusza. Jego sterczące uszka i lisi pyszczek nadawały mu sprytny i wesoły wygląd. Verity bardzo go lubiła, mimo że był złośliwy i okropnie przez lady Benbrook rozpieszczony.

— Czy to daleko, pani? — zapytała Nell.

— Około mili — odpowiedziała Verity. — Wczoraj wieczorem Dorchester wspomniał coś o tym, że dom Ranleya jest na Hanover Square.

Nell, która w dalszym ciągu była przeciwna składaniu wizyty Ranleyowi, ucieszyła się, że znają przynajmniej adres. Zdawała sobie sprawę, iż nic nie jest w stanie zmienić decyzji Verity. Jej młoda pani była osobką o nieugiętym charakterze, zawsze z uporem dążącą do celu.

Po jakimś czasie dotarły wreszcie na Hanover Square. Było tam dużo imponujących rezydencji, wybudowanych wokół olbrzymiego parku. Verity przywołała jakiegoś chłopaka, który właśnie dostarczał pieczywo do jednego z domów.

— Chłopcze, czy mógłbyś powiedzieć mi, gdzie mieszka lord Ranley?

Chudy, rozczochrany wyrostek skinął głową, gapiąc się na nią z otwartymi ustami.

— Tam, proszę panienki — wskazał po chwili palcem. — Dwa domy stąd.

— Dziękuję ci bardzo — powiedziała Verity. Była bardzo zadowolona, że tak łatwo udało im się zlokalizować rezydencję Ranleya. Wyjęła z sakiewki monetę i podała ją chłopcu. Ten podziękował głębokim ukłonem i popędził dalej. — Powiodło nam się, Nell.

— Tak, ale czy wciąż jesteś pewna, pani, że to dobry pomysł? Może powinniśmy jednak zawrócić do domu?

— Nie bądź tchórzem. Nie ma się czego obawiać.

Pokojówka westchnęła i podreptała za swą panią, która zbliżała się już do domu Ranleya. Na drzwiach znajdowała się kołatka w kształcie groźnie wyglądającego wilczego pyska, co Nell natychmiast odczytała jako zły znak. Verity jednak nie zawahała się ani przez moment. Chwyciła na rękę Zuchwalca i mocno zastukała do drzwi.

Po chwili pojawił się wysoki lokaj i z zainteresowaniem przyjrzał się całej trójce.

— Słucham panie.

— Chciałybyśmy zobaczyć się z lordem Ranleyem.

— Przykro mi, ale lord jeszcze nie wstał.

— W takim razie poczekamy. — Verity odsunęła od drzwi osłupiałego lokaja i władczym krokiem weszła do środka. — Muszę pomówić z nim w pewnej niecierpiącej zwłoki sprawie. Proszę zatem natychmiast poinformować jego lordowską mość, że tu jestem!

Służący patrzył na nią zmieszany i nie wiedział, jak ma zareagować. „Ta młoda dama z pewnością jest kimś z wyższych sfer, sądząc po jej stroju i sposobie mówienia” — pomyślał. Jej rozkazujący ton i wielkopańskie maniery uniemożliwiły mu jakikolwiek dalszy sprzeciw.

— Cóż, panienko. To może trochę potrwać, zanim lord...

— Powiedziałam, że mam bardzo ważną sprawę — ucięła krótko Verity. — Proszę poinformować o tym lorda Ranleya i to szybko!

— Czy mogę wiedzieć, jak pani godność?

— Nie. Nie możesz. Powiedz po prostu, że pewna dama ma lordowi coś ważnego do zakomunikowania.

Lokaj zawahał się, ale zauważywszy jej groźne spojrzenie natychmiast ustąpił.

— Dobrze, panienko. Proszę poczekać w salonie.

Po wyjściu lokaja Verity przekazała Zuchwalca pod opiekę Nell.

— Mam nadzieję, że to nie potrwa długo — powiedziała.

Rozejrzała się po pokoju i przysiadła na sofie.

Salon był urządony w stylu empire. Fiołkowe ściany ozdabiałały ornamenty w kształcie kwiatów papirusu. Nad kominkiem widniały olbrzymie wachlarze ze strusich piór.

— Obawiam się, że lord Ranley może nas nie przyjąć — zauważyła Nell.

— Przyjmie nas, choćbyśmy musiały własnoręcznie wyciągnąć go z łóżka — rzekła zdesperowana Verity.

Nell z podziwem spojrzała na swą panią. Wydawała się taka opanowana i dzielna, podczas gdy ona zachowywała się tak bojaźliwie. Mocno przycisnęła do siebie Zuchwalca.

W rzeczywistości jednak Verity denerwowała się bardzo przedłużającym się oczekiwaniem na pojawienie się pana domu. Mimo wszystko był on zamożnym człowiekiem o ustalonej pozycji społecznej. Jeszcze kilka dni temu ona sama darzyła go wielkim szacunkiem. Zmarszczyła brwi, mając nadzieję, że nie każe długo na siebie czekać.

Lord Ranley nalewał sobie właśnie kieliszek portu, kiedy w jego sypialni zjawił się lokaj.

— Co się stało, Huntley?

— Przybyły dwie młode damy. Chcą widzieć się z waszą lordowską mością.

— O tej godzinie? Dobry Boże! Człowieku, dlaczego od razu ich nie odesłałeś?. — Ranley z dezaprobatą spojrział na służącego.

Baron często bywał atakowany przez zakochane w nim kobiety, odwiedzające go o najróżniejszych porach dnia. Dawniej pochlebiało mu to wyraźnie, ale obecnie nadmiar komplementów ze strony płci pięknej zaczynał go drażnić.

— Przepraszam milordzie, ale ich nie sposób tak łatwo odprawić. Jedna z tych dam jest osobą z wyższych sfer, przynajmniej tak mi się wydaje. Mówi, że ma bardzo ważną sprawę.

— Och, one wszystkie zawsze mają bardzo ważne i pilne sprawy — mruknął Ranley. — Jak się nazywa?

— Nie przedstawiła się, milordzie. To bardzo młoda i ładna kobieta. Może mieć około dwudziestu lat. Brunetka z niebieskimi oczyma.

— Nie mam pojęcia, kto to może być — powiedział baron. — Odpraw ją, Huntley. Nie zamierzam wysłuchiwać zwierzeń następnej zakochanej pensjonarki, wielbiącej moją twórczość!

— Nie sędzę, milordzie, by owa młoda dama przyszła tu w podobnej sprawie. Nie wydaje się zbyt radosna.

— Nie wydaje się radosna? — Ranley natychmiast pomyślał o ciemnowłosej młodej kobiecie, która przyglądała mu się poprzedniego wieczora w teatrze. Nazywała się lady Verity de Lacy i powiadano, że pochodziła z dobrego i bogatego rodu. Była zaręczona z dziedzicem księstwa Haverfordu, którego miała niebawem poślubić. Czy to mogła być ona? — Cóż, zobaczę jednak tę młodą damę, Huntley. Przyślij do mnie Tuckera.

— Oczywiście, milordzie.

Lokaj odetchnął z ulgą, ciesząc się, iż nie będzie musiał odprawiać tak wspaniale wyglądającej i dumnej kobiety. Popędził zawołać służącego Ranleya, a potem pojawił się w salonie, gdzie oznajmił Verity i Nell, że baron niebawem do nich przyjdzie.

— Widzisz, Nell? Spotka się z nami! — ucieszyła się Verity.

— Tak, pani — odparła zaskoczona pokojówka.

— Jeśli każe długo na siebie czekać, będę na niego jeszcze bardziej wściekła — powiedziała Verity. — Mimo wszystko gotowa jestem spędzić tu nawet cały dzień!

Wstała z sofy i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju.

Po piętnastu minutach Nell zauważyła, że jej pani powoli traci cierpliwość. Coraz szybciej przemierzała salon, marszcząc przy tym brwi. Na szczęście po chwili zjawił się Ranley. Uroda barona zrobiła na obu kobietach wielkie wrażenie. Stał w progu, nienagannie ubrany, i spoglądał na nie z wystudiowaną obojętnością. Od razu rozpoznał lady de Lacy, ale nie dał po sobie poznać, jak bardzo zdziwiła go jej wizyta. „Jakaż to śliczna dziewczyna” — pomyślał, mimo że wyraz twarzy Verity daleki był od przyjaznego.

— Witam serdecznie — powiedział, wchodząc do salonu. — Nazywam się Ranley. Powiedziano mi, że mają panie do mnie jakąś ważną sprawę.

— W rzeczy samej, milordzie — odezwała się Verity, patrząc na niego z niechęcią.

Zuchwalec najwyraźniej wyczuł intencje swej pani, bo warknął groźnie i zaczął piskliwie ujadąć. Podniosła go z podłogi i wręczyła Nell.

— Proszę usiąść, drogie panie — zaproponował Ranley, sam zajmując miejsce w egzotycznie wyglądającym fotelu.

— Nazywam się Verity de Lacy. A to moja towarzyszka — panna Dawson.

— Jestem do usług — rzekł baron.

— Myślę, że teraz wie pan już dobrze, po co przyszedłem!

Baron wyglądał na zaszokowanego.

— Wyznam, że nawet się nie domyślałem, lady Verity. Byłbym zobowiązany, gdyby wyjaśniła mi pani, o co chodzi.

Verity uznała jego ironiczną uprzejmość za szczególnie denerwującą.

— Niechże pan nie udaje. Czy sądzi pan, że zdołał oszukać mnie i ja na to nic nie powiem?!

Ranley patrzył na nią ze zdziwieniem.

— Milady. Nigdy przedtem pani nie spotkałem. Nie mogę więc pojąć, jak mogłem panią obrazić. Gdybym dopuścił się jakiegóż niegodziwości wobec tak pięknej kobiety, na pewno bym o tym pamiętał.

Verity spurpurowiała na twarzy ze wzburzenia.

— Jest pan nie do zniesienia, sir! — wykrzyknęła. — Ukradł pan moją sztukę! Chodzi mi o „Wojowniczą księżniczkę”. Przesłałam ją kilka tygodni temu, prosząc o opinię. Otrzymałam list, w którym poinformowano mnie, że nie mam ani krzty talentu. Przywłaszczył pan sobie moje dzieło, zmieniając tytuł. Sądzę, że nie może być nic niegodziwszego.

Ranley patrzył na nią w osłupieniu, nic nie rozumiejąc. Przypominał sobie mgliście przesyłkę z Lancashire. Ludzie często przysyłali mu swoje bezwartościowe sztuki i opowiadania. Nie było więc w tym nic dziwnego. Nagle doznał strasznego olśnienia! A więc to tak Billy Hawkins zdobył „Mężną damę”!

— Mój Boże! — powiedział. — A zatem pani jest autorką! Proszę mi uwierzyć, że nic o wspomnianym niecnym postępku nie wiedziałem!

— Czyżby? — zdziwiła się Verity. — Niech pan przestanie żartować. Jakże mógłby pan nic o tym nie wiedzieć?

Baron wstał.

— Najmocniej panią przepraszam, lady Verity. Winien jestem największej głupoty, ale nie podłości. Błagam o wybaczenie. Muszę natychmiast czegoś się dowiedzieć. Życzę miłego dnia.

— Chwileczkę, sir! — zawołała Verity, podnosząc się z sofy. — Dokąd się pan wybiera?

— Idę uzyskać wyjaśnienia w tej haniebnej sprawie.

— To przecież mnie należą się wyjaśnienia, a nie panu! — Verity była oburzona. — Nie wyjdę stąd, zanim ich nie usłyszę! Wszystko, co pan powiedział, jest zupełnie bez sensu. Nie oczekuje pan chyba, lordzie, że uwierzę w pańską niewinność. To niedorzeczne!

— Postaram się wyjaśnić wszystko niebawem.

— Niech pan nie sądzi, lordzie, że pan przede mną ucieknie! — powiedziała Verity.

Jej uwaga zirytowała barona.

— Wcale nie uciekam, milady. Udaję się do Teatru Królewskiego, gdzie, jak mam nadzieję, uda mi się przeprowadzić dochodzenie w powyższej kwestii. A może zechciałyby panie mi towarzyszyć?

Verity spojrzała mu w oczy.

— Bardzo chętnie.

— To wspaniale. Proszę za mną. Huntley! Każ zaprzęgać! Natychmiast!

— Ależ pani! Nie zamierzasz chyba jechać gdzieś z lordem Ranleyem — szepnęła przerażona Nell.

— Owszem, zamierzam. Chodźmy!

Pokojówka podniosła się z sofy i mocno przycisnąwszy do siebie Zuchwalca podążyła za baronem i swoją panią.

ROZDZIAŁ 8

Nell Dawson zdawała sobie sprawę, że przejażdżka w powozie Ranleya jest dość ryzykownym i niestosownym pomysłem, szczególnie kiedy wzięło się pod uwagę reputację owego dżentelmena. Co by się stało, gdyby ktoś zobaczył teraz jej panią? Również Verity uświadamiała sobie, jakim szaleństwem było publiczne pokazywanie się u boku barona. Dobrze wiedziała, że szanujące się młode damy, szczególnie te niezamężne, nie powinny jeździć po mieście z mężczyznami, których prawie nie znają.

— Byłabym wdzięczna, gdyby kazał pan, lordzie, postawić dach wozu — poprosiła, kiedy stangret podjechał pod dom.

— To bardzo rozważne posunięcie — odpowiedział

Ranley, zleciwszy służącemu wykonać jej prośbę, po czym pomógł im wsiąść.

— To najbardziej irytująca i nieprawdopodobna historia, jaka mi się kiedykolwiek przytrafiła — zauważył z niesmakiem.

— Jeśli jest denerwująca dla pana, lordzie, może pan sobie wyobrazić, jak się czułam odkrywszy, że ukradł pan moją sztukę!

— Proszę tak nie mówić. Zapewniam, iż tego nie zrobiłem.

— To pańska wersja — odparła Verity. — Poczekam, aż usłyszę obiecane mi wyjaśnienia. Myślę, że zdaje pan sobie sprawę, jak bardzo czułam się upokorzona wczorajszego wieczoru. Przybywając do teatru byłam zupełnie nieświadoma, że zobaczę sztukę, którą własnoręcznie napisałam. Nie wierzyłam własnym oczom. A do tego widziałam, jak pan napawał się moim zażenowaniem!

— Nic podobnego! — gniewnie odpowiedział Ranley. — A więc to dlatego patrzyła pani na mnie wzrokiem bazyliuszka!

— Bazyliuszka!?! Nie wydaje mi się, abym zasłużyła na obelgi od pana, szczególnie kiedy weźmiemy pod uwagę okoliczności, w jakich się znaleźliśmy!

— Chciałem tylko powiedzieć, że była pani bardzo rozgniewana. Zastanawiałem się, dlaczego?

Verity rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

— Miałam wystarczająco dużo powodów, aby być zła.

— Tak, przyznaję — zgodził się Ranley — to okropna sprawa. Zrobię co w mojej mocy, żeby wszystko sprostować.

Verity nie dowierzała jego słowom, ale postanowiła powstrzymać się od komentarzy. Zapadło ponure milczenie. Jedynie Zuchwalec, który siedział na kolanach Nell, przypatrywał się czujnie Ranleyowi. Baron był wyraźnie szczęśliwy, że droga do Teatru Królewskiego nie należała do długich.

Kiedy dojechali na miejsce, podał dłoń Verity i jej służącej, pomagając im wysiąść z powozu, a potem poprowadził je do teatru.

— Milord Brutus! — rozległ się znany mu głos.

— Jenkins! — ucieszył się baron. — Gdzie jest Hawkins?

— W biurze, lordzie. — Jenkins z podziwem spojrzął na towarzyszące baronowi kobiety i stwierdził, że Brutus ma świetny gust.

— Tędy proszę, drogie panie — powiedział Ranley, wskazując im drogę.

Dotarwszy do biura Hawkinsa, baron głośno zapukał i nie czekając na odpowiedź otworzył drzwi. William Hawkins siedział za biurkiem, zatopiony w pracy. Miał przed sobą stertę papierów. Spojrzął na nich zaskoczony.

— Brutusie! Ty tutaj? O tej godzinie? — zawołał i wyraźnie ucieszony z wizyty przyjaciela zerwał się na równe nogi. — Cała przyjemność po mojej stronie! Witam drogie panie — skłonił się Verity i Nell.

— Obawiam się, że to nie będzie nic przyjemnego, Billy — powiedział Ranley. — Szczególnie, kiedy dowiesz się, co te panie do ciebie sprowadza.

— To niemożliwe! — uśmiechnął się Hawkins. — Proszę, wejdźcie i usiądźcie.

Nell i Verity zajęły miejsca na drewnianych krzesłach przy biurku. Baron wciąż stał.

— Myślę, że powinienem dokonać prezentacji. Lady Verity de Lacy i panna Dawson, a to pan Hawkins, dyrektor teatru.

— To dla mnie wielki zaszczyt — ukłonił się Billy.

Nagle serce w nim zamarło. Lady Verity de Lacy? V. de Lacy? Z Lancashire? — pomyślał z trwogą.

— Ta dama przybyła do mnie z pewną sprawą — odezwał się Ranley — a raczej z oskarżeniem, które stawia mnie w bardzo niekorzystnym świetle, Billy. Sprawia, że wychodzę na najgorszą kanalię.

— Nie rozumiem, o co chodzi — powiedział Hawkins i z przerażeniem zobaczył, że Brutus purpurowieje na twarzy ze złości.

— Lady Verity oskarżyła mnie o kradzież jej sztuki.

— Ależ pani — rzekł dyrektor teatru — jego lordowska mość nie zrobiłby czegoś podobnego!

Słyszając to baron stracił cierpliwość. W paru susach znalazł się przy Hawkinsie i gwałtownie schwycił go za klapy surduta.

— Do diabła, Billy! Wpadłeś! Ukradłeś dramat tej damy! Przyznaj się, ty łajdaku, albo pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś!

— Dobrze, Brutusie! Przyznaję się do wszystkiego! — wyznał dyrektor.

Puszczając klapy jego surduta, Ranley spojrział na Verity.

— Widzi pani, lady Verity. Nie przywłaszczyłem sobie pani sztuki.

— Ale nie powstrzymał pan przed tym Hawkinsa! — surowo rzekła dziewczyna.

— Ależ ja nie miałem pojęcia, że on to zrobił! — zawołał baron. — Billy, wytłumacz wszystko paniom!

Hawkins wzruszył ramionami i wygładził na sobie ubranie.

— Droga lady Verity, to ja jestem winien. Stoję tu przed panią i przyznaję się do winy. Zrobiłem rzecz karygodną! — Hawkins rzucił jej zrozpaczone spojrzenie i złożył ręce w modlitewnym geście, jak gdyby błagał o litość. Wprawdzie minęło już kilka ładnych lat, odkąd Billy występował na scenie, ale sądząc po jego obecnym przemówieniu, nie stracił swoich aktorskich umiejętności. — Byłem do tego zmuszony — jęknął, kierując tragiczne spojrzenie tym razem w kierunku Ranleya. — Nie jestem bogatym człowiekiem, a teatr wiele mnie kosztuje. Jego lordowska mość obiecał napisać dla mnie sztukę. Gdybym jej nie zdobył, byłbym zrujnowany!

— Co za bzdury! — zachnął się baron. — Nigdy nie byłeś bogatszy, Billy!

— Proszę pozwolić kontynuować panu Hawkinsowi — powiedziała ostro Verity, żywo zainteresowana słowami dyrektora teatru.

— Jest pani taka miła. Lord Ranley nie miał dla mnie sztuki. Nie napisał nawet jednego słowa. I — nie chcę mówić tego o moim przyjacielu — był kompletnie pijany, kiedy do niego przyszedłem. Tak. Po prostu zasnął w czasie mojej wizyty. Wtedy znalazłem na jego biurku ów cudowny dramat. Był dokładnie tym, czego mi było trzeba. Ale ja potrzebowałem sztuki Ranleya. Wszyscy tego ode mnie wymagali. Grożono mi nawet bojkotem mojego teatru, jeśli nie wystawię nowego dzieła Brutusa! Więc cóż mogłem zrobić? Wziąłem pani dramat. Mogę tylko błagać, by mi pani wybaczyła.

Verity pokiwała głową.

— Sądzę, że rozumiem już, jak to się stało, ale tak szybko panu nie przebaczę, panie Hawkins. To pan napisał do mnie list, prawda? Radząc mi, żebym porzuciła dramaturgię!

Hawkins zaczerwienił się.

— Nie mogę zaprzeczyć.

Verity zastanowiła się przez moment.

— Jednego nie pojmuję. Dlaczego lord Ranley pozwolił panu na takie oszustwo? Uważam, że to skandal, lordzie — zwróciła się do barona.

— Ależ ja nie wiedziałem, że to pani sztuka — usprawiedliwiał się Ranley.

— Zgadza się — wtrącił dyrektor teatru. — Przekonałem jego lordowską mość, iż podyktował mi ten dramat, będąc pod wpływem alkoholu. Mój przyjaciel był pewien, że po prostu zawiodła go pamięć.

Oczy Verity otwierały się coraz szerzej. Spojrzała na barona, który zaczerwienił się zakłopotany. Nagle, ku zaskoczeniu Ranleya, wybuchnęła głośnym śmiechem. Nell zerknęła na swoją panią, potem na Ranleya i też zaczęła się śmiać. Widząc to Hawkins również zaśmiał się rubaszenie.

— Proszę wybaczyć, lordzie — wykrztusiła Verity — ale to takie śmieszne!

— Niespecjalnie lubię, gdy ktoś uważa mnie za śmieszna postać, milady — złowieszczo wycedził Brutus.

— Skądże znowu — powiedziała Verity, usiłując zachować powagę. — Zresztą to wcale nie jest zabawne. Widzę, że muszę jednak uznać pana niewinność, lordzie.

— Mnie też pani wybaczy, prawda? — z nadzieją w głosie zapytał Billy.

— Jeszcze nie wiem — odparła Verity. — Zostałam oszukana i mimo że pan wyznał swoją winę, nie uzyskałam dotąd żadnego zadośćuczynienia.

— Ogłoszę publicznie, że jest pani autorką — powiedział Ranley. — To załatwi sprawę.

— Och, wcale nie wiem, czy tego właśnie pragnę — szybko rzekła dziewczyna.

— Nie wie pani? — z ulgą zapytał Hawkins.

— Cóż, to zmartwiłoby bardzo mojego ojca, a lorda Dorchestera niemiłosiernie by rozwścieczyło. Myślę, że muszę liczyć się z ich uczuciami. Mój narzeczony nienawidzi teatru. Nie, nie sędzę, żeby wyjawienie mojego autorstwa było dobrym pomysłem.

— Więc co zamierza pani zrobić? — zapytał Ranley. — Czy odpowiadałoby pani, gdybyśmy obaj utopili się w Tamizie?

Verity uśmiechnęła się.

— To mogłoby być interesujące, ale nie jestem bez serca.

— A może zgodziłaby się pani na zadośćuczynienie natury finansowej? — zaryzykował Hawkins.

— Zadośćuczynienie natury finansowej? — Verity spojrzała na niego z zainteresowaniem.

Nigdy nie myślała o pieniądzach. Ojciec był zawsze bardzo hojny i pozwalał jej kupować wszystko, co tylko chciała. Mimo to możliwość posiadania własnych zasobów przedstawiała się kusząco. Verity zastanawiała się przez chwilę, po czym spojrzała na Hawkinsa.

— Ile? — zapytała wprost.

Usłyszawszy to Ranley o mało nie parsknął śmiechem. „Lady Verity de Lacy jest taką samą zachłanną kokietką, jak każda inna kobieta”, pomyślał.

Hawkins przyglądał się jej badawczo. Był człowiekiem interesów i nie znoślił rozstawać się choćby z szylingiem.

— Pięćdziesiąt funtów — powiedział w końcu.

Verity spojrzała na barona.

— Nie wiem nic o tego typu wynagrodzeniach. Czy uznałby pan tę sumę za godziwą rekompensatę, lordzie Ranley?

Baron zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. Myślę, że powinienes dołożyć sto funtów, Billy.

— Chcesz mnie zrujnować, Brutusie?

— Boże święty! I tak bardzo łatwo udaje ci się wyjść z opresji!

— Dobrze, lady Verity. Płacę sto funtów. Ale od teraz jest to sztuka Ranleya.

— Zgadzam się pod jednym warunkiem.

— Jakim? — ze strachem zapytał Hawkins.

— Życzyłabym sobie, aby wprowadzono kilka zmian w przedstawieniu — powiedziała Verity.

— Co?! — zawołał dyrektor teatru.

— Nie podobał mi się pierwszy akt — ciągnęła Verity. — Nie mówię o jakichś wielkich zmianach, panie Hawkins, i byłabym zobowiązana, gdyby mógł je pan przeprowadzić.

— Dobrze — zgodził się zrezygnowany Billy. — Nie sądzę jednak, żeby to było uczciwe.

— Wszystko, co się tutaj wydarzyło, jest niezgodne z etyką — powiedziała Verity, ponownie wybuchając śmiechem.

Kiedy jakiś czas później Ranley wraz z Verity i Nell wyszli z teatru, zauważył ich pewien człowiek, będący właśnie na konnej przejażdżce. Pan Charles Allenby, członek koterii dandysów, postać powszechnie znana w towarzystwie, szybko założył monokl, by dokładnie przyjrzeć się eleganckiej młodej damie, której baron pomagał wsiąść do powozu.

„Kto to jest?” — zastanawiał się Allenby. Dziewczyna przypominała wyraźnie córkę państwa de Lacy, mającą — jak słyszał — poślubić markiza Dorchestera. Charles uznał jednak, że to nie może być ona. Dopiero kiedy zobaczył Nell Dawson z małym pieskiem na rękach, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Allenby dobrze znał Zuchwalca, gdyż lady Benbrook często się z nim pokazywała.

„Lady Verity de Lacy i lord Ranley — pomyślał. Cóż za łakomy kąsek dla wszystkich lubiących plotki!” Odwrócił się raz jeszcze w stronę odjeżdżającego powozu barona i uśmiechnął się z satysfakcją.

ROZDZIAŁ 9

Powróciwszy do domu lord Ranley udał się do biblioteki i zasiadł w swym ulubionym fotelu. Rozmyślał o dopiero co poznanej lady Verity de Lacy. Okazała się bardzo zdecydowaną młodą damą. Jej ojciec musiał mieć z nią z pewnością masę kłopotów. I ta jej wspaniała uroda, pomyślał baron. Szkoda, że uznała go za kompletnego głupca. Ranley zmarszczył brwi. Przyzwyczajony był do ciągłej adoracji ze strony kobiet. Większość dam omdlewała po prostu przy najmniejszej oznace zainteresowania, jakie im raczył okazać. Spędzenie czasu z młodą kobietą tak nieczułą na jego wdzięk podziało na Brutusa nadzwyczaj otrzeźwiająco. Z początku lady Verity uważała go niewątpliwie za łajdaka, teraz zaś uznała go za straszliwego głupca. Szczególnie bolesne było dla Ranleya wspomnienie jej szyderczego śmiechu, gdyż nie wyobrażał sobie nic gorszego niż śmieszność.

„Cóż — pomyślał — byłem idiotą, pozwalając Billy'emu tak się okpić. Dziewczyna miała rację, uznając mnie za największego z głupców. Na szczęście cała sprawa została już zakończona, a prawdopodobieństwo ponownego ujrzenia Verity de Lacy wydaje się znikome. Jednakże przy każdej okazji, gdy ktoś wspomni o „Mężnej damie”, będę musiał ciągnąć dalej to oszustwo.”

Skrzyżowawszy ramiona na piersi, Ranley zasepił się. To wszystko w ogóle by się nie zdarzyło, gdyby napisał sztukę dla Hawkinsa. Nie doszłoby do tego, gdyby nie był wtedy tak strasznie pijany. Baron wstał z fotela, podszedł do okna, po czym zastygł w bezruchu.

Verity ucieszyła się, że zdążyła dotrzeć do domu, zanim rodzice zeszli na śniadanie. Jak się okazało, sprawiła matce ogromną radość, zabierając na spacer Zuchwalca. Lady Benbrook wierzyła bowiem głęboko w efekty codziennego przebywania na świeżym powietrzu, choć sama rzadko znajdowała na to czas. Zarówno ona jak i jej mąż byli nad wyraz uradowani, widząc córkę w tak świetnym humorze.

Zasiadłszy do śniadania Verity zdała sobie sprawę, że rozpoczęty właśnie dzień jest niezwykle. Mimo że było dopiero po jedenastej, zdążyła już odważnie stawić czoła sławnemu lordowi Ranleyowi i odkryć niegodziwe poczynania Hawkinsa. Co dziwniejsze — sprzedała swoją sztukę i to za duże pieniądze. Dlatego też kipiała wprost z nadmiaru wrażeń i nie do zniesienia wydawało się jej zachowanie tajemnicy.

— Mam nadzieję, że Zuchwalec nie sprawiał ci kłopotów, kochanie — powiedziała hrabina, biorąc ze swego talerza najlepszy kąsek i podając go ukochanemu pupilowi.

— Nie, mam. Zuch był grzeczny. Odbyliśmy bardzo miłą przechadzkę.

— Weeks powiedział, że wyszłyście dosyć wcześnie, moja droga — odezwał się hrabia. — Obyś tylko się nie przemęczyła. Wczoraj wróciłyście bardzo późno z teatru. A propos, musicie opowiedzieć mi o sztuce.

— Kochanie — rzekła hrabina — przegapiłeś cudowne przedstawienie. Chyba nigdy tak dobrze się nie bawiłam. Nie sądzisz, Verity, że ta sztuka była doskonała?

— Tak, mam — z uśmiechem odpowiedziała dziewczyna. — Wyjątkowo mi się podobała!

— Pani Flemming zagrała naprawdę przekonująco — westchnęła lady Benbrook. — Tak, mój drogi, szkoda, że poszedłeś do klubu, zamiast wybrać się z nami.

— Ale wiesz przecież, że jeśli chodzi o teatr, to w zupełności podzielam poglądy Dorchestera — rzekł hrabia. — Obydwoj męczymy się tam okropnie. A właśnie! Verity, czy rozmawiałaś już z Geraldem o dacie waszego ślubu?

— Rzadko o czymkolwiek rozmawiamy, tato. Konwersacja nie jest najsilniejszą jego stroną.

— Jak to? Musieliście przecież coś o tym wspomnieć.

— Nie, tato.

— Nie martw się, kochanie — wtrąciła hrabina, zwracając się do męża. — Powiedziałam księżnej, że odwiedzimy ich dzisiaj po południu. Będzie więc okazja, by omówić wszystkie szczegóły. Powinieneś pójść z nami.

— Świetnie — ucieszył się hrabia. — Sądzę, że doszliśmy z księciem do porozumienia, co do ślubu naszych dzieci. Teraz z radością ustalimy detale.

Lady Benbrook skinęła głową i dodała:

— Odetchniemy, kiedy wreszcie wszystko się ostatecznie wyjaśni.

Verity nie odezwała się ani słowem. Myśl o rychłym małżeństwie z Dorchesterem przygnębiała ją. Dlaczego musi wychodzić za niego za mąż? Fakt, iż jej osobiste życzenia były w pełni ignorowane, wydawał się jej nie do zniesienia. „Nie ma jednak sensu dalej sprzeciwiać się woli rodziców” — pomyślała rozsądnie. Powiedziała już przecież, że za niego wyjdzie i nie mogła teraz zmieniać zdania. Musi pogodzić się ze swoim losem, podobnie jak czyniły to bohaterki antycznego dramatu.

Przełykając kęs jajka zdała sobie sprawę, że jej tragiczna sytuacja byłaby wspaniałym tematem nowej sztuki. Oczywiście historia młodej dziewczyny, zmuszonej do małżeństwa przez rodziców, nie była niczym oryginalnym. Mimo to Verity postanowiła zabrać się do pisania, gdy tylko

znajdzie chwilę wolnego czasu. W końcu jest teraz zawodowym dramaturgiem i niewątpliwie zdoła sprzedać inne swoje prace.

Była tak pochłonięta własnymi myślami, że nie bardzo zdawała sobie sprawę, o czym rozmawiają rodzice. Przy najbliższej okazji powróciła do swego pokoju i zadzwoniła po Nell. Pokójka zjawiała się natychmiast.

— Mam pomysł na następną sztukę — oświadczyła Verity.

— Naprawdę? — ucieszyła się Nell, która zawsze podziwiała twórczą energię swej pani.

— Tak, zaraz siadam do pracy. Przyniosłam już papier, ale potrzebuję jeszcze ołówków. Każ komuś zaostrzyć kilka, dobrze? Mam kilka godzin na pisanie, bo powiedziałam mamie, że jestem bardzo zmęczona i idę się położyć. Och, Nell, tak żałuję, iż nie przywiozłam ze sobą innych sztuk. Hawkins kupiłby je z pewnością. — Verity usiadła za biurkiem i uśmiechnęła się do służącej. — Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co się wydarzyło. Wszystko się zmieniło. Teraz wiem, jaka byłam głupia sądząc, że Ranleyowi nie podobała się moja sztuka! — Verity zamyśliła się — Ty też uważasz, iż wywarła na nim dobre wrażenie? — zapytała.

— Tak mi się wydaje, pani. Inaczej nie uwierzyłyby, że sam ją napisał.

Verity zaśmiała się i dodała:

— Ależ to było zabawne, prawda? Pamiętasz, jaką miał minę? Biedny człowiek! Cóż, cieszę się, że nie muszę go już dłużej nienawidzić.

Nell zadumała się.

— Czy nie sądzisz, pani, że to niesłychanie przystojny mężczyzna? zapytała.

Verity wzruszyła ramionami.

— Owszem, jest przystojny, ale nie ma to przecież najmniejszego znaczenia. Zawsze interesował mnie tylko jego geniusz...

Nell spojrzała na nią z niedowierzaniem.

— Ośmielam się wątpić, pani.

— Nie bądź głupia, Nell. Ranley jest dla mnie jedynie artystą. Przypuszczam, że jako mężczyzna ma zbyt wiele wad. Nie obawiaj się. Z pewnością nie zakocham się w kimś takim, jak on. Chyba nigdy się nie zakocham — westchnęła ciężko Verity. — Tak będzie najrozsądniej. Zostanę przecież w końcu żoną Geralda. Ale nie mówmy już o tym. Przynieś moje ołówki, Nell.

Służąca dygnęła i wyszła, pozostawiając Verity zatopioną w rozmyślaniach nad nowym dziełem.

Londyńska rezydencja księcia Haverfordu była okazałym gmachem, wybudowanym zaraz po wielkim pożarze, który w siedemnastym wieku zniszczył większą część miasta. Sam książę był człowiekiem starej daty, utrzymującym, że kultura angielska rozpadła się zupełnie w ostatnim stu-

leciu. Dlatego też przywiązywał wielką wagę do dawnych zwyczajów, które zdążyły już wyjść z mody. Tęsknił za pudrowanymi perukami, satynowymi spodniami zapinanymi pod kolanami i fiszbinowymi gorsetami dla panów. Ubolewał, że współczesne damy porzuciły szerokie spódnice i krynoliny.

W młodości miał opinię wielkiego hulaki i bałamuta. Było to wszakże bardzo dawno temu. Od tamtej pory naprawił swą reputację i stał się szanowanym dżentelmenem, odstraszącym jednak ludzi zbyt gburowatością. Ponieważ jego książęca mość był w swoim czasie człowiekiem kłótliwym i nerwowym, wszyscy spodziewali się, iż on i jego syn Dorchester nie zdołają żyć we wzajemnej zgodzie. Jednakże obaj radzili sobie zaskakująco dobrze, może dlatego, że młody markiz we wszystkim prawie różnił się od ojca.

Państwo Benbrook z córką zjawili się punktualnie w rezydencji księcia Haverfordu, gdzie zostali entuzjastycznie przyjęci przez rodziców Geralda. Jedynie Dorchester był jak zwykle powściągliwy. Uśmiechnął się blado do Verity, ośmielając się skomplementować jej nowy kapelusz.

Kiedy wszyscy zasiedli już w salonie, księżna wydała dyspozycje służbie, aby podano herbatę.

Verity rozejrzała się po pokoju. Był duży, posępny i pozbawiony jakiegokolwiek wdzięku czy elegancji.

— Tak się cieszę, że jesteśmy tu wszyscy razem — powiedziała księżna, uśmiechając się szeroko.

— Zaiste — zgodził się z żoną książę.

Był wysokim, szczupłym mężczyzną około sześćdziesiątki, o błyszczących niebieskich oczach i rumianej twarzy. Na głowie miał starą perukę, która nie nadawała się już raczej do noszenia, ale jego ubranie uszyte zostało według najnowszej mody.

— To będzie szczęśliwy dzień dla naszej rodziny, kiedy Dorchester poślubi śliczną, małą Verity — oświadczył uroczyście.

Gerald pokiwał głową, ale nie ośmielił się nic powiedzieć. Jego ojciec zaś kontynuował, zwracając się do hrabiego Benbrooka:

— Mam nadzieję, że twój doradca prawny rozmawiał już z moim na temat umowy małżeńskiej.

Hrabia skinął głową.

— Tak, książę. Ale jest kilka szczegółów, które musimy omówić.

— Oczywiście — zgodził się ojciec Geralda. — Porozmawiamy o tym na osobności, kiedy wypijemy herbatę. A teraz ustalmy wszyscy datę ślubu. Ja osobiście uważam, że młodzi nie powinni dłużej czekać.

— Też tak sędzę — rzekł hrabia, spoglądając na córkę. — Powiedziałem Verity, że może sama wybrać dzień. Kochanie, co odpowiesz księciu?

Verity spojrzała na ojca, a potem na księcia, Dorchestera i obie matki. Wszyscy czekali na jej słowa.

— Myślę, że najlepszą datą będzie dwudziesty siódmy czerwca — powiedziała w końcu.

— Dwudziesty siódmy czerwca? — zdziwiła się księżna. — Ależ to więcej niż za miesiąc! Hrabia zmarszczył czoło.

— Nie ma najmniejszej potrzeby, żeby tak długo zwlekać, moja droga. Wszystko można przygotować znacznie szybciej!

— Twój ojciec ma rację — wtrącił Dorchester. — Kochanie, możemy być małżeństwem już jutro.

— To jest temperament! — zaśmiał się książę. — Jaki z niego gorący chłopak! Ale nie można go winić. Verity będzie przecież prześliczną panną młodą!

— Ja też bym chciała, żeby ślub odbył się natychmiast, ale — tu Verity uśmiechnęła się nie-szczerze, usiłując wymyślić przekonujący powód zwłoki — konsultowałam się z astrologiem i on zalecił mi dwudziesty siódmy czerwca, jako najpomyślniejszą datę na zawarcie małżeństwa z Geraldem.

— Radziłaś się astrologa? — zapytał hrabia, patrząc na nią z niedowierzaniem.

— Tak. Wiem, że uznacie mnie za głupią, przesadną dziewczynę, ale moja przyjaciółka Karolina Billingham doradziła mi to w liście. Ona przywiązuje dużą wagę do takich rzeczy. Ja w nie zbytnio nie wierzę, ale każda panna młoda chciałaby, żeby jej ślub odbył się w najdogodniejszym momencie. Napisałam więc do tego człowieka, z którym poradziła mi się skontaktować Karolina, a on poinformował mnie, że nasze znaki zodiaku będą w optymalnym układzie właśnie dwudziestego siódmego czerwca.

— To bardzo interesujące, Verity — powiedziała hrabina. — Ale dlaczego nic nam wcześniej nie powiedziałaś?

— Nie chciałam, żebyście pomyśleli, iż jestem głupią gęsią, mamo.

Hrabia zmarszczył brwi. Podejrzewał, że jego krnąbrna córka znowu coś kombinuje.

— To czyste bzdury, Verity! — rzekł ostro.

— Nie bądź taki surowy — wtrącił książę. — Ja myślę, że to bardzo rozsądne. Przed podjęciem tak ważnej decyzji należy wszystko uwzględnić — nawet pozycję gwiazd i planet. Jeśli poradzono Verity, aby wzięła ślub tego właśnie dnia, niech tak będzie. Co o tym sądzisz, Dorchester?

Markiz zastanawiał się przez chwilę. Wolałby, żeby ślub odbył się tak szybko, jak to tylko możliwe. Poza oczywistą przyjemnością małżeństwa z atrakcyjną młodą kobietą z dobrej rodziny,

do przyspieszenia daty pchała Dorchestera wizja okazałej sumy pieniędzy, jaką miał uzyskać jako mąż Verity. Razem z jej posagiem odziedziczyłby okazałą fortunę. Jego dziadek ze strony matki zostawił mu w testamencie spory majątek, który Gerald miał przejąć w dniu ślubu. Już dwa lata Verity zwodziła go i markiz był coraz bardziej zniercierpliwiony. Z drugiej strony jednak, dwudziesty siódmy czerwca nie wydawał mu się zbyt odległą datą.

— Zgadza się, szczególnie że Verity tak sobie życzy — powiedział w końcu.

— A więc będziemy z niecierpliwością oczekiwać tego ważnego dnia! — oświadczył książe.

Verity uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— A teraz opowiedzcie mi o sztuce, na której byliście wczoraj — poprosił książe.

— Ach, o tym — parsknął pogardliwie markiz. — Była dość zabawna. Nie rozumiem jednak, dlaczego zrobiono wokół niej tyle zamieszania.

Verity spojrzała na swego narzeczonego. Żałowała teraz, że jej fikcyjny astrolog nie uznał ich horoskopów za skrajnie przeciwne i niezgodne ze sobą, co wykluczałoby małżeństwo.

ROZDZIAŁ 10

Następnego dnia po południu Verity wybrała się z matką do modystki i rękawicznika. Mimo wielkich trudności ze znalezieniem odpowiedniego kapelusza i ogólnego rozczarowania jakością prezentowanych jej rękawiczek, lady Benbrook była wciąż w doskonałym humorze. Jej córka nareszcie wychodziła za mąż i chociaż nie zachowywała się specjalnie radośnie, nie wydawała się też aż tak bardzo z tego powodu nieszczęśliwa.

Kiedy powróciły ze sprawunków, lady Benbrook kazała podać herbatę, zasiadła z córką w salonie i czekając na podwieczorek zaczęła przeglądać plik najnowszych zaproszeń.

— O, nie! Lady Cowper wydaje obiad w następny czwartek, a ja obiecałam już Lidii Wemberley, że ją odwiedzimy. Nie chciałabym jednak odmawiać lady Cowper. Co mam teraz zrobić?

Verity wzięła kilka zaproszeń, które odłożyła jej matka, i zaczęła je przeglądać.

— Tyle ich jest, mamó. Nie można ze wszystkich skorzystać. Lady Cowper na pewno zrozumie, że obiecałaś ten wieczór komuś innemu.

— O, tak, z pewnością, ale nie o to mi chodzi. Zastanawiam się, czy wypada iść do państwa Wemberley, kiedy ma się zaproszenie od lady Cowper. Nie, będziemy chyba musieli odmówić. Nic innego nie da się zrobić.

Verity skinęła głową, pochłonięta lekturą korespondencji.

— Spójrz, mamó! Zaproszenie na jutrzejszy wieczór od ciotki Sary!

— Tak, pamiętam — powiedziała hrabina. — Niestety z niego nie skorzystamy.

— Ale dlaczego, mamó? Wiem, że mieliśmy iść jutro do opery, ale możemy to zrobić kiedy indziej. U ciotki Sary zbiera się zawsze najciekawsze i najzabawniejsze towarzystwo.

— Nie pochwalam takich znajomości, Verity. Twojej ciotce wydaje się, że prowadzi salon literacki. Zaprasza niezbyt odpowiednich ludzi: artystów, obcokrajowców i wolnomyślicieli. To dosyć podejrzane towarzystwo. Przyjaźni się z różnymi poetami i aktorami, których nikt szanujący się by u siebie nie przyjął. — Lady Benbrook wzruszyła ramionami. — Oto skutki małżeństwa z Francuzem — dodała.

— Ależ mamó! — wykrzyknęła Verity.

Ze wszystkich krewnych największą sympatią darzyła właśnie Sarę, siostrę matki. Wiele lat temu ciotka oburzyła całą rodzinę, uciekając z francuskim markizem. Jej wygnanie nie trwało jednak zbyt długo. Po jakimś czasie rodzina wybaczyła jej i przyjęła ją z powrotem. Mimo wszystko jej mąż był potomkiem jednego z najlepszych rodów Francji, a do tego miał niesłychany majątek.

Jego fortuna ucierpiała nieco podczas Rewolucji Francuskiej, ale udało mu się uratować wystarczająco dużo, aby pędzić dostatnie życie w Londynie.

— Wiesz, że lubię Sarę rzekła lady Benbrook — ale twój ojciec nie uważa jej za najwłaściwsze dla ciebie towarzystwo. Teraz najlepiej byłoby wysłać jej nasze przeprosiny.

— Och, mamó! Czy nie możesz zrobić dla mnie choć tej jednej rzeczy? Jakże bym chciała zobaczyć ciotkę Sarę! Jej przyjęcia są zawsze takie ciekawe! Proszę cię, mamó, powiedz, że tam pójdziemy!

Lady Benbrook zawahała się. W rzeczywistości nie widziała nic złego w przyjęciu zaproszenia siostry, choć wiedziała, że hrabia tego nie pochwali. Verity jednak była ostatnio bardzo miła i nie sprawiała żadnych problemów, w związku z jej przysłym małżeństwem z Dorchesterem.

— Cóż, może się do niej wybierzemy. W sumie nie chciałabym, żeby myślała, iż ją szukamy. W końcu jest moją rodzoną siostrą. Dobrze. Pójdziemy tam, Verity! — zdecydowała się hrabina.

— To cudownie. — Verity nie posiadała się z radości.

— Musisz natychmiast zaprosić Dorchestera. Przecież miał iść z nami do opery!

— Ależ mamó! Gerald i tak nie będzie chciał iść do Sary!

— To nie ma znaczenia. Nie musi nam towarzyszyć, jeśli nie ma na to ochoty, ale twoim obowiązkiem jest poinformować go o zmianie naszych planów.

Verity westchnęła.

— Dobrze. Zrobię to, jak tylko wypiję herbatę.

— Świetnie, kochanie. — Lady Benbrook uśmiechnęła się, słysząc posłuszną odpowiedź córki, po czym ponownie zagłębiła się w lekturze.

Ciotka Sara, markiza de Chamfort, uważała się za mecenasa sztuki. Wiele przyjemności znajdowała w opiekowaniu się cierpiącymi malarzami, kompozytorami, śpiewakami operowymi i innymi artystami. Miała też szczególny szacunek dla poetów i dramaturgów.

Markiz de Chamfort był uroczym i uprzejmym dżentelmenem, dzielającym entuzjazm żony dla wszelkiej twórczości. Choć uważał Londyn za kulturowe popłuczyny po swym ukochanym Paryżu, był zbyt dobrze wychowany, by publicznie wyrazić tę opinię. W zamian robił co w jego mocy, szerząc literaturę i sztukę wśród filisterskiego społeczeństwa Anglii.

Elegancki dom Chamfortów był miejscem zebrań intelektualistów i artystów. Często można było też w nim spotkać emigrantów z Francji oraz ludzi innych narodowości. Markiz i markiza utrzymywali również grono rezydentów, zazwyczaj ekscentrycznych artystów, którzy czerpali z wielkości Chamfortów tak długo, jak się tylko dało.

Lady Benbrook uważała, że jej siostra zbyt uległa francuskim wpływom. Według niej przebywanie przez kilka lat na kontynencie zmieniło osobowość Sary. Markiza natomiast świetnie zdawała sobie sprawę, że rodzina nie do końca akceptuje jej poczynania. Nie zależało jej jednak na opinii nieoświeconych członków rodziny. Od czasu do czasu wysyłała grzecznościowe zaproszenia do krewnych, nie oczekując zresztą nigdy, że zostaną przyjęte. Kiedy otrzymała bilecik od Benbrooków — informujący, iż z przyjemnością przybędą na jej przyjęcie — była bardzo zadowolona.

Tego wieczoru Sara entuzjastycznie witała przybywających gości, wśród nich wielu swoich bliskich przyjaciół, jak też kilka nowych, interesujących postaci. Nikt jednak nie spotkał się z takim zachwytem ze strony gospodyni, jak osławiony lord Ranley. Baron był wielokrotnie przez nią zapraszany, lecz dawniej zawsze odmawiał. Markiza zdawała sobie sprawę, że jest on teraz gwiazdą na firmamencie jej pałacu i nie posiadała się wprost z radości.

— Drogi lordzie Ranley! — wykrzyknęła. — Jestem taka szczęśliwa, że zaszczyił nas pan swą obecnością.

Baron grzecznie skłonił się nad dłonią Sary. Spotkał ją już kiedyś kilka razy i dość polubił, choć drażniła go jej egzaltacja.

— To ja jestem szczęśliwy, że raczyła mnie pani zaprosić, markizo — odpowiedział.

Pojawienie się barona wzbudziło sensację wśród gości, którzy zaczęli się tłoczyć, chcąc obejrzeć sławnego dramaturga. Najśmielsi z nich podeszli i przedstawili się, nawiązując rozmowę. Już po chwili jego lordowska mość otoczony był grupką podekscytowanych wielbicieli.

Pojawienie się Benbrooków nie wzbudziło podobnego zainteresowania, niemniej Sara była bardzo zadowolona, widząc swoją siostrę wraz z córką. Objęła czule Verity i ucałowała ją w oba policzki.

— Wyglądasz przepięknie, droga Verity.

Dziewczyna rzeczywiście prezentowała się zachwycająco, ubrana w suknię z lekkiej tafty w kolorze brzoskwiniowym. Kreacja ta miała wysoką talię i dzięki swej prostocie była bardzo elegancka. Wokół szczupłej szyi Verity wił się perłowy naszyjnik, a satynowe wstążeczki upiększały jej kruczoczarne włosy, upięte w węzeł z tyłu głowy.

— Dziękuję, ciociu Saro. To ty wyglądasz przepięknie, jak zawsze.

— Ależ skąd — odparła samokrytycznie markiza.

W rzeczywistości jednak była bardzo dumna ze swego wyglądu. W wieku lat czterdziestu pięciu zachowała tę samą urodę, która tak zawróciła w głowie markizowi de Chamfort. Owego wieczoru wyglądała naprawdę czarująco w swej modnej sukni z różowego jedwabiu. Jej farbowane loki zakrywał częściowo jedwabny zawój, przyozdobiony strusimi piórami.

— Witam cię, drogi hrabio Benbrook! — dodała.

— Dobry wieczór, Saro.

Hrabia skłonił się elegancko. Mimo że nie darzył siostry swej żony specjalną niechęcią, nie czuł się zbyt swobodnie w jej salonie. Nie lubił obcokrajowców, a wiedział, że wielu ich tu spotka. Rozejrzał się po pokoju, krzywiąc się na widok gości.

— O, lord Dorchester! Co za niespodzianka! — Markiza uśmiechnęła się radośnie do Geralda, który uklonił się uprzejmie, mamrocząc jakąś grzecznościową formułkę.

Dorchester, podobnie jak jego przyszły teść, wcale nie miał ochoty składać wizyty Sarze. Jednak kiedy Verity zdecydowała się pójść na wydawane przez nią przyjęcie, uznał za swój obowiązek towarzyszyć narzeczonej. Nie podobało mu się, że jego przyszła żona obracać się będzie w tego rodzaju towarzystwie. Wszyscy wiedzieli, iż u Chamfortów zbierają się najprzeróżniejsi ludzie, najczęściej przez najwyższe sfery nie przyjmowani. Zdecydował więc towarzyszyć Verity, aby móc kontrolować swą, czasami zbyt egzaltowaną, narzeczoną.

Verity nie była zadowolona z obecności Geralda. Jego deklaracja, że z przyjemnością uda się z nimi na przyjęcie, bardzo ją rozczarowała. Mimo wszystko postanowiła nie pozwolić markizowi Dorchesterowi popsuć sobie zabawy. „Niech sobie sterczy gdzieś w kącie, kiedy sam tego chciał — pomyślała. Ona i tak będzie rozmawiać z kim zechce i dobrze się bawić”. Rozejrzała się po pokoju i dostrzegła wielu interesujących ludzi. W rogu salonu stała stłoczona grupka gości. Wszyscy oni gestykulowali podekscytowani, otaczając ciasno jakiegoś człowieka. Verity widziała jedynie jego plecy.

— Ciociu — zwróciła się do Sary — bądź taka miła i powiedz mi, kim jest ten mężczyzna, który wzbudza tyle zainteresowania?

— Kochanie, nie uwierzysz, jakie masz szczęście. To lord Ranley, ten znany dramaturg.

Nagle baron odwrócił się i Verity ujrzała jego słynny profil.

— To było mistrzowskie posunięcie zwabić go tutaj — ciągnęła markiza. — Czyż nie jest najprzystojniejszym mężczyzną na świecie?

— Tak, jest bardzo urodziwy — wtrąciła lady Benbrook, patrząc z podziwem na Ranleya.

Hrabia i Dorchester skrzywili się z obrzydzeniem, myśląc zapewne, że kobiety to beznaście głupie stworzenia.

Verity uśmiechnęła się. Przeczynała, że przybycie Ranleya zapowiada doskonałą zabawę. Zauważyła, iż baron nie wygląda na zadowolonego, mimo adorującego go tłumu kobiet. Verity chciała już dołączyć do grona jego wielbicieli, gdy Dorchester chwycił ją za rękę i pociągnął w przeciwną stronę pokoju, skąd lepiej było widać całe zgromadzenie.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego chciałaś przyjść na tego typu imprezę — powiedział z oburzeniem. — Nikogo tu nie znam. Spójrz tylko, jak oni adorują tego Ranleya. Jakby był samym księciem regentem! Kimże on w końcu jest, jeśli nie autorem beznadziejnych sztuczydeł?!

— Można powiedzieć o nim wszystko, tylko nie to, że pisze złe sztuki — odpowiedziała Verity, uśmiechając się figlarnie. — To przecież on napisał „Mężną damę”.

— No właśnie — kwaśno odrzekł Gerald.

Verity poczuła neodpartą chęć kopnięcia Dorchestera w łydkę, powstrzymała się jednak w ostatniej chwili.

— Nie jesteś dobrym znawcą literatury, mój drogi.

— Być może — odparł dumnie markiz. — Nie udaję jednak, że wiem cokolwiek na ten temat, tak jak czyni większość przyjaciół twojej ciotki. Oni uważają się za istnych mędrców. Nie chcę być krytyczny, ale uważam lady de Chamfort za sawantkę i snobkę.

— Moją ciotkę? — obruszyła się Verity.

— Tak — odpowiedział Dorchester. — Nie pochwalam tego, że kobiety zabierają się do literatury. Powiadają, iż ona pisuje wiersze!

— Ależ to z pewnością nie jest wada!

— Dla mnie tak — rzekł poważnie markiz. W sumie pisanie poezji uważam za fatalne zajęcie, nawet dla mężczyzny.

Verity patrzyła na Geralda z widocznym rozdrażnieniem. Czy rzeczywiście zgodziła się go poślubić? Cóż, zawsze uważała Dorchestera za nudziarza, ale nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo może to okazać się męczące.

— Nie bądź śmieszny — powiedziała zniecierpliwiona. — Nie zamierzam stronić od wszystkich gości! Teraz idę zobaczyć lorda Ranleya!

— Verity... — zaczął markiz, ale dziewczyna szybko się oddaliła.

Mógł jedynie podążyć za nią, mrużąc coś sam do siebie.

Baron odpowiadał właśnie na zadawane mu pytania, które w większości — ku jego rozpaczy — odnosiły się do ostatniego dzieła, czyli „Mężnej damy”. Daremnie usiłował skierować uwagę wielbicieli ku swoim starszym pracom. Skupiony na otaczającym go tłumie, nie zauważył ani wejścia Verity, ani tego, że stanęła za nim, przysłuchując się jego konwersacji z gośćmi.

— Tak bym chciała usłyszeć, co zainspirowało pana do napisania najnowszej tragedii — powiedziała jakaś uśmiechnięta matrona.

— Właściwie nie warto o tym mówić, droga pani — odpowiedział Ranley.

— Och, niech pan nie będzie przesadnie skromny, lordzie Ranley!

Słyszając głos Verity, baron drgnął i odwrócił się w jej stronę. Musiał zebrać wszystkie siły, by nie pokazać po sobie, jak bardzo był zaskoczony.

— Proszę opowiedzieć nam o okolicznościach powstania pańskiej najlepszej sztuki — ciągnęła dziewczyna.

— Moja najlepsza sztuka zostanie dopiero napisana, milady — odpowiedział Ranley, rzucając jej ostrzegawcze spojrzenie.

— Mówi pan, jak przystało na prawdziwego artystę — zaśmiała się Verity — ale niewątpliwie „Mężna dama” jest najlepszym z dotychczasowych pana dramatów, prawda?

— Tę ocenę zostawiam krytykom, milady — rzekł baron.

Ich oczy spotkały się.

— „Mężna dama” to dość dobra sztuka, ale nie nazwałbym jej arcydziełem — oświadczył Ranley.

— Naprawdę? — Verity uniosła ciemne brwi.

Ich oczy spotkały się ponownie. Twarz Ranleya rozjaśnił uśmiech. Zanim zdążył jednak cokolwiek powiedzieć, ktoś z tłumu wielbicieli odwrócił na chwilę jego uwagę. W tym właśnie momencie Dorchester zbliżył się do swej narzeczonej. Ująwszy ją mocno pod ramię, odprowadził w przeciwny róg salonu.

— Doprawdy, Verity, nie mogę tolerować faktu, że przyłączasz się do grupy trzpiotowatych adoratorów tego typu!

Oburzona Verity zamierzała właśnie wyszarpnąć się z uścisku Geralda i odpowiedzieć mu ostrą ripostą, kiedy pojawiła się obok nich jej matka wraz z Sarą.

— Ranley to bardzo mądry człowiek, prawda? — powiedziała Sara, spoglądając z podziwem na swego sławnego gościa. — Cieszę się z jego obecności. Mam nadzieję, że uda mi się namówić go, aby coś nam zadeklamował. To by było takie ekscytujące, prawda lordzie Dorchester?

Markiz skrzywił się, zmuszając się do grzecznej odpowiedzi.

— Myślę, że paniom na pewno sprawiłoby przyjemność.

— O, tak — przytaknęła lady Benbrook. — Obyś tylko zdołała go nakłonić, Saro.

— Spróbuję — rzekła markiza. — Drodzy goście! — zawołała głośno, prosząc gestem o ciszę. — Czas na małe przedstawienie. Proszę zająć miejsca. Pani Bromley będzie tak miła i zagra nam kilka utworów na pianinie, a potem zaśpiewa senior Velasquez. Zechciejcie państwo usiąść.

Towarzystwo otaczające Ranleya było nad wyraz rozczarowane, że nie może kontynuować rozmowy ze znanym dramaturgiem, baron jednak z radością zasiadł we wskazanym mu przez panią domu fotelu. Zgromadzeni w salonie goście pośpiesznie zbliżali się z różnych stron, chcąc usiąść obok niego. Kilka pań nawet się ze sobą zderzyło.

Ten niestosowny pośpiech wielu dam rozśmieszył Verity. Powoli przeszła obok Ranleya, rzucając mu ironiczne spojrzenie spod uniesionych brwi.

„Chce wyprowadzić mnie z równowagi” — pomyślał zirytowany jej zachowaniem baron, patrząc prosto przed siebie. Wiedział, że zajęła miejsce gdzieś z tyłu i z trudem powstrzymywał się od obejrzenia się za siebie. Aby tego uniknąć, usiłował skupić swoją uwagę na konwersacji z siedzącą obok niego matroną, która poczuła się tak uszczęśliwiona, że zaczęła mówić bez chwili przerwy. Baron odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie rozpoczął się występ.

Zaproszona przez markizę de Chamfort pianistka zagrała wprawnie sonatę Mozarta, a jej wysiłki zostały nagrodzone gromkimi oklaskami. Wkrótce pani Bromley rozpoczęła wykonanie drugiego utworu, a Ranley zamyślił się głęboko. Zastanawiał się, czy lady Verity de Lacy wciąż patrzy na niego kpiącym wzrokiem. „Cóż za pech spotkać ją tutaj” — pomyślał. Nieznacznie odwrócił głowę, by ją dostrzec. Wcale na niego nie patrzyła. Rozmarzony wzrok utkwiała w pianistce, najwyraźniej zasluchana w mozartowskie tony. Ranley zezłościł się sam na siebie. Czy spodziewał się zobaczyć, że gapi się na niego jak jakaś głupia gęś? Przecież dobrze wiedział, co o nim myślała.

Pani Bromley zakończyła prezentację swych muzycznych umiejętności i z uroczą skromnością przyjmowała aplauz publiczności. Po niej wystąpił senior Velasquez — hiszpański tenor dość wysokiej klasy — który uraczył gości kilkoma wzruszającymi ariami operowymi. Niestety dla Ranleya wydawały się one nie mieć końca. Baron był wyraźnie zadowolony, kiedy śpiewak zakończył swój występ, kłaniając się po wielokroć.

Markiza de Chamfort wstała z miejsca i gorąco podziękowała wykonawcom.

— Mamy wielkie szczęście, że są wśród nas tacy artyści. Zdaję sobie sprawę, iż popełniam nietakt, ale zamierzam teraz namówić jednego z naszych gości, aby zaszczyił nas drobną recytacją. Lordzie Ranley, proszę, niech się pan zgodzi wystąpić przed nami — uśmiechnęła się do barona.

Wybuchły rześiste oklaski, a gdzieniegdzie dało się słyszeć okrzyki:

— Prosimy, lordzie Ranley!

Brutus wstał i podniósł ręce, aby uciszyć wielbicieli.

— To bardzo miło z państwa strony — powiedział — ale minęło już zbyt wiele czasu, odkąd występowałem przed publicznością. Wdzięczny jestem pani de Chamfort, ale błagam, pozwólcie mi odmówić. Nie, nie byłbym w stanie dorównać tym, którzy występowali przed chwilą.

Goście zaprotestowali głośno i w dalszym ciągu zasypywali go prośbami. Ranleyowi pochlebiało to co prawda, ale pozostał nieugięty.

— Nie, nie mam nic przygotowanego. Nawet nie wiedziałbym, co zarecytować.

— A ja mam cudowny pomysł! — zawołała Sara. — Mógłby pan odegrać scenę z „Romea i Julii” z moją siostrzenicą, Verity de Lacy. Ona zna na pamięć prawie całego Szekspira.

Verity, która do tej pory bawiła się wspaniale, teraz wpadła w przerażenie. Goście zaś bili brawo i wołali jej imię.

— Ciociu! — zawołała. — Nie myślisz chyba poważnie!

Markiza uśmiechnęła się tylko na widok jej konsternacji i ponownie zwróciła się do barona:

— Lordzie Ranley, moja siostrzenica będzie wspaniała w roli Julii. Znała tekst tej sztuki już jako mała dziewczynka. Uważam, że to świetny pomysł!

Ranley spojrział na Verity i z satysfakcją zauważył, że czerwieni się z zażenowania. Mimo swej niechęci do jakichkolwiek recytacji w arystokratycznych salonach, nie mógł odmówić sobie przyjemności odegrania się na nieznośnej dziewczynie.

— Dobrze. To rzeczywiście znakomity pomysł, oczywiście pod warunkiem, że lady de Lacy nie zapomniała swojej kwestii.

Ich oczy spotkały się. Verity zmarszczyła gniewnie brwi, podczas gdy na ustach barona igrał lekki uśmiezek. Wiedziała, że bawi się jej zakłopotaniem.

— Niczego nie zapomniałam — powiedziała.

— To wspaniale — ucieszył się Ranley. — Jeśli więc publiczność wciąż nalega, abym zrobił z siebie widowisko, chętnie się zgodzę.

Verity podniosła się z miejsca, a goście radośnie bili brawo. Dorchester wyglądał na przerażonego.

— Verity, nie zamierzasz chyba... — zaczął ostro, lecz dziewczyna zignorowała go i zaczęła przeciskać się przez rzędy krzeseł, aby stanąć obok barona.

Zmierzyli się wzrokiem. Na twarzy Ranleya pojawił się złośliwy, kpiący uśmiezek.

— Scena balkonowa, lady Verity? — zapytał.

— Oczywiście, a cóżby innego! — odpowiedziała.

Brutus uśmiechnął się szeroko. Po chwili, zwracając się w stronę publiczności, zaczął:

„Lecz cicho! Co za blask strzelił tam z okna! Okno jest wschodem, a Julia jest słońcem!”

Aksamitny głos barona zrobił na wszystkich silne wrażenie. Verity również czuła się oszłomiona, kiedy wypowiadał dobrze jej znane strofy z takim żarem i namiętnością. Na szczęście, mimo paraliżującego ją zmieszania i tremy, świetnie знаła rolę Julii i nie miała najmniejszego problemu z wyrecytowaniem swojej kwestii:

„Romeo! Czemuż ty jesteś Romeo!

Wyrzecz się swego rodu, rzuć tę nazwę!

Lub jeśli tego nie możesz uczynić,
To przysięż wiernym być mojej miłości,
A ja przestanę być z krwi Kapuletów!"

Kiedy deklamowała, Ranley spojrział na nią zdziwiony. „Jest piekielnie zdolna” — pomyślał, uważnie się jej przyglądając. Verity mówiła dalej:

„Czymże jest nazwa?
To, co zowiem różą,
Pod inną nazwą równie by pachniało,
Tak i Romeo bez nazwy Romea
Przecież by całą swą wartość zatrzymał, Romeo!
Porzuć tę nazwę, a w zamian
Za to, co nawet cząstką ciebie nie jest,
Weź mnie, ach! całą!"

Ranley spojrział w błękitne oczy Verity.

„Biorę cię za słowo:
Zwij mnie kochankiem, a krzyżmo chrztu tego
Sprawi, że odtąd nie będę Romeem!"

Spotkawszy jego namiętny wzrok, Verity nagle zapomniała o całej publiczności. Widziała jedynie Ranleya, wpatrującego się w nią z uczuciem oddanego Romea. Z trudnością wypowiedziała słowa:

„Po tysiąc razy dobranoc".

Baron spojrział na Verity w sposób, który o mało co nie przyprawił o omdlenie kilku pań z widowni.

„Smutek rozstania tak bardzo jest miły,
Że by dobranoc wciąż usta mówiły".*

* Tekst według wydania: W. Szekspir, „Romeo i Julia”. Przełożył Józef Paszkowski, Warszawa 1975, s. 43-49.

Po tych słowach Julii zapadła głucha cisza. Publiczność zamarła na chwilę, po czym wybuchnęła entuzjastycznymi okrzykami zachwytu. Dopiero tak głośny aplauz przywrócił aktorów do rzeczywistości. Baron spojrział na swą partnerkę z uśmiechem i skłonił się, składając hołd jej talentowi. Verity usiłowała zachować spokój, choć była do głębi poruszona.

— Jeszcze! Jeszcze! — domagali się jacyś panowie.

Ranley uniósł ręce, aby ich uciszyć.

— Jesteście państwo bardzo mili — przemówił do gości — ale lady Verity i ja spełniliśmy już nasz obowiązek.

Znów rozległy się brawa. Następnie wszyscy podnieśli się z krzeseł i otoczywszy ciasno Ranleya i Verity zapewniali ich, że nigdy nie widzieli lepszej interpretacji sceny balkonowej niż ta, której obecnie byli świadkami.

Dorchester stał z boku z posępnym wyrazem twarzy. Jemu wcale nie przypadła do gustu rola Verity. Uważał, że robienie z siebie widowiska uwłaczało pozycji jego narzeczonej. Nie mówiąc już o sposobie, w jaki patrzyła na Ranleya przed całym zgromadzonym towarzystwem! To było wprost oburzające! Ktoś mógłby jeszcze zacząć podejrzewać, że coś ich łączy, pomyślał zde gustowany. Widział, jak Verity przyjmuje wyrazy uznania i krzywił się z niesmakiem. Zawsze była nieznośną dziewczyną i nigdy nie zależało jej na opinii ludzi z wyższych sfer. Chyba nie miał racji, licząc na to, że uda mu się utrzymać ją w ryzach, kiedy się pobiorą. Może powinien wybrać sobie inną, odpowiedniejszą kandydatkę na żonę, którą łatwiej będzie kierować?

— Co z tobą, Dorchester? — zagadnął go jakiś dżentelmen. — Wyglądasz na zirytowanego! Był to Charles Allenby, znajomy Geralda.

— Witaj — rzekł niechętnie markiz.

Allenby skierował swój ozdobiony klejnotami monoici w stronę Verity.

— Mój Boże, ale z ciebie szczęściarz. Żenisz się z taką śliczną panienką. Cóż za wspaniały występ! Klnę się, że wzruszyli mnie prawie do łez.

Dorchester rzucił mu lodowate spojrzenie.

— Przepraszam, ale muszę dołączyć do lady Verity — rzucił oschle.

Kiedy markiz oddalił się, Allenby uśmiechnął się z satysfakcją. „To był bardzo interesujący wieczór” — pomyślał. Zdążył już powiedzieć licznym znajomym o tym, że widział narzeczoną Dorchestera w powozie Ranleya, ale początkowo nikt nie dał mu wiary. Dopiero sposób, w jaki baron i Verity patrzyli na siebie, w pełni uwiarygodnił jego opowieść. „W rzeczy samej, pomyślał Allenby, jeśli tych dwoje nie jest jeszcze kochankami, to niedługo nimi zostaną”. Zadowolony z siebie udał się na poszukiwanie kogoś, z kim mógłby podzielić się swoimi spostrzeżeniami.

ROZDZIAŁ 11

Lord Ranley przemierzał ulice Londynu, siedząc w swoim stylowym powoziku, pędzącym w stronę Teatru Królewskiego. Tego popołudnia jego lordowska mość był w bardzo dobrym humorze, tak dobrym, że nawet nie zwymyślał nieuważnego woźnicy, który omal nie wjechał mu pod koła swym turkoczącym wozem. Ranley nie wiedział, co spowodowało u niego tak wspaniałą nastrój, ale podejrzewał, iż mogło to być po prostu zasługą pięknego, majowego słońca. Baron cieszył się niezmiernie, że udało mu się otrząsnąć z przygnębienia, jakie owładnęło nim przed wieloma tygodniami.

Tego dnia wstał wcześniej rano i nie wzmocniwszy się likierem, jak to zazwyczaj zwykł czynić, przystąpił do pracy nad nową sztuką. Napisał kilka stron, przeczytał je i ku swemu zadowoleniu stwierdził, że dramat będzie znakomity.

Dotarł do teatru, gdzie wesoło pozdrowił zawsze obecnego przy drzwiach Jenkinsa, a następnie popędził do biura Hawkinsa. Dyrektor siedział przy stole i tonął w istnym morzu papierów.

— Witaj, Billy — powiedział Ranley, wchodząc do biura i zasiadając na jednym z krzeseł.

— Brutus! — zdziwił się Hawkins. — Wyglądasz jak jakiś rozochocony młodzik. Gdybyś miał do zapłacenia tyle rachunków co ja, nie byłbyś taki wesoły.

— A więc jednak płacisz rachunki, Billy? Pamiętam, jak musiałem czekać na swoje gąże po kilka tygodni.

Hawkins uśmiechnął się.

— Tak, ale wtedy nie miałem ani grosza. Nie zawsze tak dobrze prosperowaliśmy, mój chłopcze.

— Tego jestem w zupełności świadom, Billy — zaśmiał się baron. — To były czasy, co?

— Tak, nieźle się bawiliśmy — zgodził się dyrektor teatru.

Przerwał na chwilę i z ciekawością przyjrzał się przyjacielowi.

— Jesteś dzisiaj w tak dobrym nastroju, że musiałeś chyba wygrać wczoraj w karty!

Ranley znowu się uśmiechnął.

— Ja nigdy nie wygrywam w karty, Billy.

— Wiem o tym, mój chłopcze. Jako karciarz jesteś beznadziejny. Dlatego zawsze ci powtarzam, żebyś się opamiętał, bo przegrasz całą swoją fortunę.

— Nie musisz mi prawić morałów, Billy. Korzystam z twoich rad i unikam stołów gry jak ognia.

— Naprawdę? — zdziwił się Hawkins. — Niech mnie diabli! Cieszę się, że to słyszę.

— Tak. Ostatni wieczór spędziłem w jak najbardziej niewinny sposób, mianowicie na przyjęciu w pałacu markizy de Chamfort. Zachowywałem się poprawnie, Billy. Wypiłem tylko dwa kieliszki doskonałego szampana i występowałem przed całym towarzystwem niczym tresowany niedźwiedź.

— Występowałeś?

Ranley skinął głową.

— Zagrałem Romea u boku lady Verity de Lacy.

— Verity de Lacy? — powtórzył zdumiony Hawkins. — Mój Boże, to ona tam była?

— Nie bądź taki przerażony, Billy. Zaskoczę cię, jak ci powiem, że była najlepszą Julią, jaką kiedykolwiek widziałem.

— Wcale nie jestem zaskoczony — mruknął Billy. — To sprytna flirciarka. Za sprytna jak na mój gust.

— Szkoda, że jej nie widziałeś. Co by z niej była za aktorka! Do tego jest piekielnie atrakcyjna!

Hawkins przeraził się tym razem nie na żarty.

— Dobry Boże! Brutusie, mówisz tak, jakbyś się w tej dzierlatce zakochał.

— Nie bądź głupi, Billy — zachnął się baron. — Nie mam zamiaru zakochiwać się ani w niej, ani w żadnej innej.

— Miłości się nie planuje — westchnął Hawkins. — To się po prostu przytrafia. Jak ból zęba.

Ranley zaśmiał się.

— Cóż z ciebie za romantyk, Billy!

— Po prostu jestem rozsądny. Owa lady Verity usiłuje cię usidlić, to pewne. Musisz uważać! Niejedna kobieta chciałaby zostać lady Ranley.

— Drogi Billy, wątpię, by lady Verity była jedną z nich. Jeżeli rzeczywiście usiłuje mnie usidlić, jak twierdzisz, to robi to w dość dziwny sposób. Na przykład wczoraj wieczorem rozkoszowała się robieniem ze mnie głupca. Ale cóż. W końcu przecież ja sam dałem ci się tak łatwo okpić, wierząc w te bzdury o napisaniu sztuki w stanie upojenia alkoholowego.

— Większość dramaturgów pisze swoje dzieła w podobnym stanie — rzekł Hawkins. — Nie ma w tym nic dziwnego.

Ranley zaśmiał się.

— Nie wybaczę ci nigdy tego oszustwa, Billy. Mam nadzieję, że wysłałeś lady Verity jej honorarium za „Mężną damę”?

Hawkins zawahał się przez moment.

— Chyba tak, Brutusie, ale — jak sam widzisz — tylu rzeczy muszę dopilnować, że...

— Ty łotrze! — wrzasnął baron. — To znaczy, że nie wysłałeś jej należnych pieniędzy!

— Chciałem to zrobić, ale nie miałem jeszcze okazji zajrzeć do ksiąg rachunkowych — usprawiedliwił się dyrektor teatru.

Ranley złowrogo zmarszczył brwi.

— Zapłacisz tej damie i to jeszcze dzisiaj, zrozumiałeś, Billy?

— Dobrze, Brutusie. Zrobię to natychmiast!

— Dajesz słowo?

— Przysięgam — szczerze powiedział Hawkins.

— Dobrze. A teraz chciałbym ci oznajmić, że piszę nową sztukę. Komedię.

— Komedię? To wspaniale!

— Myślę, że będzie niezła, chociaż... — Ranley przerwał i uśmiechnął się do siebie. — Prawdopodobnie nie dorówna mojej ostatniej sztuce, czyli „Mężnej damie”.

Hawkins parsknął śmiechem. Doceniał, że Brutus jest w stanie żartować sobie z całej tej sprawy.

— Mam pomysł. Chodźmy do karczmy „Pod Koroną i Kotwicą”. Jestem strasznie głodny. Zjemy coś i będzie tak jak za dawnych, dobrych czasów — zaproponował.

Ranley ucieszył się bardzo, gdyż miał wielką ochotę odwiedzić swoją ulubioną, starą gospodę. Hawkins, zadowolony z dobrego humoru barona, zamknął czym prędzej biuro i obaj wyszli z teatru.

Verity ze znużeniem spojrzała na leżące przed nią strony nowej sztuki. Miała pewne trudności ze skoncentrowaniem się na swojej pracy i bardzo ją to drażniło. Poza tym w ogóle nie podobało jej się wszystko, co napisała. Co prawda miała niewiele czasu na zajęcie się swoim dziełem. Wciąż trwał intensywny sezon towarzyski, a nie kończące się przyjęcia odbywały się głównie wieczorami i Verity przesypiała całe ranki. Popołudniami natomiast musiała towarzyszyć matce podczas wizyt u znajomych lub przyjmować gości u siebie. I jeszcze do tego uczestniczyła w codziennym uzgadnianiu zestawów dań i kreacji.

To popołudnie miała akurat wolne. Zmęczona lady Benbrook położyła się, by odpocząć przed wieczornym przyjęciem. Verity początkowo ucieszyła się, że ma kilka godzin wyłącznie dla siebie, ale wkrótce okazało się, że zupełnie nie jest w nastroju do pisania. Za każdym razem, kiedy usiłowała skupić się na pracy, jej myśli ulatywały ku nieznośnemu lordowi Ranleyowi. Bardzo ją to irytowało, ale jakoś nie mogła go zapomnieć. Słyszała wciąż jego melodyjny głos, jakim wypowiadał kwestię Romea. „Dlaczego wciąż o nim myślę?” — pytała sama siebie. Nie była przecież

głupią pensjonarką, skłoną do popadania w stan zauroczenia, ale młodą, dwudziestodwuletnią kobietą, do tego zawodową dramatopisarką, która sprzedała swoją sztukę za niemałą sumę stu funtów. Przypomniała sobie nagle, że minęły już trzy tygodnie, odkąd dyrektor teatru zobowiązał się wysłać jej pieniądze. Jakiś czas temu napisała grzeczny list, przypominając mu o jego zobowiązaniach. Jak do tej pory nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

— Nell! — zawołała na służącą. — Chodź tu szybko!

Pokojówka układała właśnie rzeczy w szafie Verity.

Po chwili zjawiała się w pokoju swej pani.

— Co się stało, milady?

— Myślałam właśnie o tym łajdaku Hawkinsie. Przyrzekł, że zapłaci mi sto funtów. Żadnych pieniędzy jednak nie dostałam. Zaczynam podejrzewać, że on w ogóle nie ma zamiaru tego zrobić!

— Mógłby być aż tak nieuczciwy?

— On jest nieuczciwy, Nell. Kradzieży mojej sztuki mógł dokonać jedynie szubrawiec! — stwierdziła Verity.

— Lord Ranley na pewno przypilnuje, abys dostała honorarium, pani — usiłowała ją pocieszyć służąca.

— Nie sędzę, aby lord Ranley przejmował się moją osobą — rzekła Verity. — Zastanawiam się, co zrobić.

Widząc minę Verity, służąca wiedziała już, że coś się święci.

— Chcąc uzyskać należne mi pieniądze, muszę sama się po nie udać. Pojedziesz ze mną do Teatru Królewskiego, Nell. Spotkamy się tam z panem Hawkinsem!

— Czy jesteś pewna, pani, że to dobry pomysł?

Verity uśmiechnęła się.

— Nie obchodzi mnie, czy jest dobry czy nie. Tak zdecydowałam i już.

— Dobrze, pani — szepnęła pokojówka.

— Przynies nasze kapelusze, droga Nell. Natychmiast wychodzimy!

— Tak, pani.

— I powiedz Weeksowi, żeby kazał zaprzęgać. A matce niech przekaże, że pojechałyśmy do modystki.

Nell posłusznie skinęła głową i pośpieszyła wypełnić polecenie. Przypomniała sobie ich niedawną wyprawę do lorda Ranleya. Wcale tak źle się to nie skończyło, pomyślała. Przejechała się powozem w towarzystwie sławnego dramaturga, a jej pani stała się o sto funtów bogatsza. Sto funtów! Nell nie mogła sobie nawet wyobrazić takiej ogromnej sumy! Nic dziwnego, że lady Veri-

ty była zła, nie otrzymawszy tych pieniędzy. Nell miała głęboką nadzieję, że pan Hawkins zapłaci to, co obiecał. Lekki uśmiech pojawił się na jej twarzy. Biada mu, jeżeli odmówi — powiedziała do siebie.

Podróż do Teatru Królewskiego była krótka. Wkrótce Verity i Nell zbliżały się już do drzwi imponującego gmachu.

Czujny Jenkins powitał Verity ukłonem i zapytał, w czym mógłby jej pomóc. — Chciałabym zobaczyć się z panem Hawkinsem.

— Przykro mi, panienko, ale pan Hawkins jest w tej chwili nieobecny.

— Naprawdę? — zmartwiła się Verity. — Czy wiesz, gdzie można go znaleźć?

Jenkins podrapał się w głowę.

— Poszedł do karczmy „Pod Koroną i Kotwicą”. Ma tam swój stolik.

— A gdzie jest ta karczma?

— O, to zupełnie blisko, panienko. Tylko dwa budynki stąd — powiedział, wskazując ręką kierunek. — Proszę skręcić w prawo. Zobaczysz pani szyld. Nie sposób go przegapić!

— Dziękuję. Chodźmy, Nell.

Kiedy stangret pomógł im wsiąść do powozu, Verity rozkazała mu jechać we wskazanym przez Jenkinsa kierunku. Kilka minut później byli już na miejscu.

— To nie potrwa długo, Steward — powiedziała Verity.

Stangret spojrział na oberżę z dezaprobatą. Od dawna był zatrudniony u hrabiego Benbrooka i zdawał sobie sprawę, że karczma „Pod Koroną i Kotwicą” nie była odpowiednim miejscem dla lady Verity de Lacy.

— Jeżeli chcesz tam wejść, pani, ja lub Harry będziemy ci towarzyszyć.

— Nie bądź głupi, Stewart. Nic mi się nie stanie!

— Ależ pani!

— Nie, Stewart. Nie będę cię potrzebowała. To nie potrwa długo. Zaczekaj tutaj. Harry może poczekać przy drzwiach, jeżeli to cię uspokoi.

— Tak, pani.

Harry, młody pomocnik stangreta, zeskoczył z kozła, aby pomóc młodym damom wsiąść z powozu. Potem podążył za nimi.

Stewart siedział spokojnie na kozle, wiedząc, że panienska jest pod dobrą opieką. Doszedł do wniosku, iż nie lubi wozić lady Verity do tak podejrzanych miejsc, jak teatr czy karczma. Hrabia Benbrook zdarłby z niego skórę, gdyby się o tym dowiedział. Stangret zastanawiał się, jaki interes do załatwienia mogła mieć jego młoda pani w podobnej gospodzie. Nie była to jednak jego sprawa. Wzruszył więc ramionami, zapalił fajkę i cierpliwie czekał.

Karczma „Pod Koroną i Kotwicą” była ulubionym miejscem spotkań aktorów i pracowników teatru. Wieczorami często zbierał się tam tłum gości, którzy jedli i pili, bawiąc się w hałaśliwy sposób. Tego popołudnia było jednak dość cicho. Kilku zgłodniałych stałych klientów w milczeniu konsumowało baraninę i cynaderki — specjalność tamtejszego kucharza.

Verity rozejrzała się za Hawkinsem, ale go nie dostrzegła. Po chwili podszedł do niej karczmarz, zdziwiony pojawieniem się tak eleganckiej damy.

— W czym mogę pani pomóc, milady?

Verity uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Szukam pana Hawkinsa z Teatru Królewskiego.

— Jest tutaj, proszę pani. Chętnie panią do niego zaprowadzę.

Verity podziękowała i obie z Nell podążyły za nim. W pewnej chwili ujrzała Hawkinsa, posilającego się za stołem w najdalszym kącie karczmy. Rozmawiał głośno ze swoim towarzyszem, który odwrócony był do nich plecami.

— Oto pan Hawkins — wskazał oberżysta.

Zbliżyły się do ich stolika. Dopiero kiedy były bardzo blisko, Verity rozpoznała mężczyznę siedzącego naprzeciwko Hawkinsa. Był to lord Ranley!

Kierownik teatru zerwał się z miejsca, zaskoczony ich widokiem.

— Wielkie nieba! — wykrzyknął. — Panie tutaj?

Ranley odwrócił się w ich stronę i szybko podniósł się zza stołu.

— Moja droga lady Julia i panna Dawson! — powiedział. — Cóż za miła niespodzianka.

— Lordzie Ranley — zaczęła Verity, próbując zachować obojętny ton głosu — przyszłam zobaczyć się z panem Hawkinsem. W teatrze powiedziano mi, że znajdę go właśnie tutaj.

— Co za zaszczyt, pani — rzekł Hawkins, skłoniwszy się nisko. — Proszę, zechciejcie usiąść — zaproponował.

Nell niepewnie spojrzała na swoją panią, ale Verity uśmiechnęła się i usiadła na krześle, które podsunął jej Ranley.

— Będę mówić krótko, panie Hawkins — powiedziała Verity. — Przyszłam się z panem zobaczyć, bo nie otrzymałam jeszcze należnego mi honorarium za sztukę. Sądzę, że miał pan dość czasu, aby przesłać mi pieniądze.

— To prawda — wtrącił Ranley, rzucając przyjacielowi ostrzegawcze spojrzenie. — Zapłacisz tej pani natychmiast, Billy, albo będziesz miał ze mną do czynienia!

— Droga pani — powiedział Hawkins, ignorując słowa barona. — Musi pani zrozumieć, że takiej sumy nie nosi się przy sobie. Nie jestem przecież żadnym bogaczem.

— Jesteś za to straszliwym skąpcem, Billy — rzekł Ranley. — Lady Verity, proszę się nie obawiać, otrzyma pani swoje sto funtów. Zaraz pójdziemy do Teatru Królewskiego i osobiście zmuszę tego dusigrosza, aby pani zapłacił.

— Dziękuję, lordzie — odparła Verity. — Proszę nie uważać mnie za chciwą i bezczelną kobietę — uśmiechnęła się — chociaż tak naprawdę to przypuszczam, że taka właśnie jestem.

Ranley wybuchnął śmiechem.

— Nie masz najmniejszych szans, Billy! Ta dama jest nie do pokonania!

— Obawiam się, że tak — powiedział Hawkins, usiłując pogodzić się z koniecznością zostania się z sumą stu funtów. — Ale teraz, kiedy skończyliśmy omawiać interesy, czy zechciałyby panie coś zjeść lub napić się wina? — zaproponował po chwili.

— To miło z pańskiej strony — odparła Verity — ale dziękujemy.

— W takim razie, Billy, odprowadzimy teraz panie do teatru.

— Dobrze — zgodził się Hawkins i pociągnął ostatni łyk piwa ze swego kufla.

Właśnie podnosili się od stołu, kiedy dał się słyszeć jakiś donośny, kobiecy głos:

— Kochany Brutusie!

Baron obejrzał się i ujrzał panią Flemming, zbliżającą się do ich stolika. Towarzyszył jej muskularny rudy mężczyzna.

— Mario! — powitał ją lord.

— Jak to dobrze, że was tu znalazłam. Pozwolicie chyba przysiąść się na momencik?

Nie czekając na odpowiedź, pani Flemming zajęła miejsce obok Verity. Rzuciła beztroski uśmiech młodemu damom i wyczekująco spojrzała na Ranleya.

— A tak — oprzytomniał baron. — Powinienem chyba dokonać prezentacji. Pani Flemming, oto lady Verity de Lacy i panna Dawson. Panie, przedstawiam wam Marię Flemming i jej męża.

— Pani Flemming nie trzeba przedstawiać — powiedziała Verity, wyciągając dłoń. — Jestem pani zapaloną wielbicieleką.

— Jest pani bardzo miła, lady Verity — rzekła zachwycona aktorka.

Zarówno zawód pani Flemming, jak i jej niskie pochodzenie zupełnie wykluczały jakiejkolwiek znajomości z utytułowanymi damami. Pogarda, z jaką patrzyła na nią większość kobiet z towarzystwa, odnosiła jedynie taki skutek, że Maria rozpaczliwie chciała być przez nie akceptowana. Wiedziała wszystko o możliwych rodach w królestwie i dobrze zdawała sobie sprawę, że nazwisko de Lacy było jednym z najstarszych i najbardziej szanowanych w Anglii. Słyszała też, że Verity była zaręczona z markizem Dorchesterem i w przyszłości miała zostać księżną. Dla Marii Flemming pokusa nawiązania znajomości z tak wysoko postawioną damą była więc nie do odparcia.

— Widziałam panią w „Mężnej damie” — zaczęła Verity, przejęta spotkaniem ze sławną aktorką. — To bardzo wzruszające przedstawienie!

— Słowa pani są dla mnie więcej warte niż wszystkie komplementy — odpowiedziała pani Flemming. — Ubóstwiam tę sztukę. Nigdy przedtem nie lubiłam aż tak swojej roli! — wyznała Maria i uśmiechnęła się do Ranleya. — Jego lordowska mość może być dumny, że napisał tak świetną tragedię — dodała po chwili.

— Tak — rzekła Verity, spoglądając na barona. — Ma pani rację, pani Flemming. Baron rzeczywiście napisał bardzo dobrą sztukę.

— Stworzył swe najlepsze dzieło — ciągnęła aktorka — ale nie chciałabym, żeby puszył się z tego powodu jak paw.

Verity z trudem powstrzymała się od śmiechu. Rzuciła Ranleyowi kpiące spojrzenie i uśmiechnęła się na widok jego konsternacji. Baron uniósł ciemne brwi i osłupiały patrzył na nią w milczeniu.

TLR

ROZDZIAŁ 12

Maria Flemming nie posiadała się wprost ze szczęścia, iż poznała lady Verity de Lacy, tym bardziej, że owa młoda dama okazała się naprawdę sympatyczna i zupełnie pozbawiona wyniosłej protekcyjności, jakiej można się było spodziewać po kobiecie z jej sfer. Wieczorem, w teatrze — robiąc sobie makijaż i przygotowując kostium przed przedstawieniem — aktorka opowiadała o tym każdemu, kto znalazł się w pobliżu. Koledzy Marii wydawali się być pod wrażeniem, szczególnie kiedy usłyszeli, że młoda arystokratka miała tak wysokie mniemanie o scenicznym talencie pani Flemming.

Podziw, jaki wzbudziła wśród innych aktorów, świetny humor i wspomnienie spotkania z Verity sprawiły, że Maria przeszła tego wieczoru samą siebie.

Zagrała bowiem księżniczkę Flawię z takim zapałem, iż publiczność aż krzyczała z zachwytu i rzucała na scenę kwiaty.

„To był wielki sukces” — pomyślała aktorka, zmywając makijaż i przebierając się w wieczorową suknię. Jej obecny adorator, Artur Cavendish, przybył do garderoby, aby towarzyszyć jej w drodze do karczmy „Pod Koroną i Kotwicą”, gdzie zbierała się właśnie hałaśliwa grupa aktorów i teatromanów.

Kiedy przybyli na miejsce, Maria została powitana entuzjastycznymi okrzykami, na które odpowiedziała wdzięcznym skinieniem głowy i królewskim gestem ręki. Sir Artur poprowadził ją do stolika, przy którym siedziała już wesoła kompania. Był tam dyrektor teatru Hawkins, lord Ranley, Andrew Drummond — grający główną męską rolę w „Mężnej damie” — i dwie drugoplanowe aktorki. Wszyscy świetnie się bawili, opróżniając kolejne kufle piwa.

Maria spojrzała na Ranleya i uśmiechnęła się doń, ku wielkiemu niezadowoleniu swojego towarzysza.

— Miałam nadzieję, że cię tu spotkam, Brutusie. Czy byłeś w teatrze?

— Niestety nie — odpowiedział Ranley. — Billy mówił mi, że odniosłaś wielki sukces, Mario! Składam ci więc hołd, piękna księżniczko! — rzekł, unosząc kufel.

— Brawo! Brawo! — wołano zewsząd i wznoszono na jej cześć toast najlepszym gatunkiem piwa.

— Usiądźcie, proszę, z nami oboje — zaproponował Hawkins. — To sławna noc w historii Teatru Królewskiego.

— Rzeczywiście — wymamrotał podchmielony Andrew Drummond. — Wspaniała noc.

Maria poprosiła swego adoratora o przyniesienie jej krzesła i usadowiła się obok Ranleya. Niezadowolony z tego sir Artur znalazł sobie miejsce po drugiej stronie stołu, skąd mógł bacznie obserwować ukochaną i przystojnego Brutusa.

Hawkins zawołał do karczmarki o więcej piwa dla nowo przybyłych gości i po chwili wszyscy głośno rozmawiali, śmiejąc się z byle powodu. Również baron bawił się wspaniale, mimo że wykazywał tak dla siebie nietypową powściągliwość w konsumpcji alkoholu. Kiedy siedział tak z nimi wszystkimi, nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo tęsknił za ich towarzystwem. Rozmówcami w sportach panowie, z którymi ostatnio spędzał większość czasu, byli strasznymi nudziarzami w porównaniu z jego wesołymi przyjaciółmi z teatru.

— Szkoda, że nie widziałeś przedstawienia — powiedziała Maria.

— Też żałuję — odpowiedział Ranley, pociągając łyk piwa.

— Nigdy nie miałam tak dobrego dnia. Do tego spotkałam ciebie i lady...

— Droga Mario — przerwał jej natychmiast baron — najlepiej będzie nie rozgłaszać imienia tej młodej damy.

— Ach tak... — zdziwiła się pani Flemming.

— Nie rozgłaszać czyjego imienia? — zapytał Andrew Drummond.

— Nikogo, kto mógłby pana interesować — ucięła ostro Maria.

— Phi! — parsknął aktor i wzruszył ramionami, ponownie skupiając uwagę na stojącym przed nim kuflu.

— Nie wiedziałam, iż chcesz utrzymać w tajemnicy fakt, że ją poznałam — szepnęła Maria, zwracając się do Brutusa.

Raptem przyszło jej coś do głowy. Zmarszczyła brwi.

— A co ona robiła tutaj z tobą i z Billym? Brutus, ty łajdaku...

— Droga Mario, wyciągnęłaś mylny wniosek — odparł Ranley.

— A jaki jest trafny wniosek?

Baron zamyślił się, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć.

— Ta dama uważa się za dramaturga — powiedział w końcu. — Przysłała nam, to znaczy mnie i Billy'emu, sztukę do przeczytania.

— Teraz rozumiem — odetchnęła z ulgą pani Flemming. — Czytałeś?

— Tak — odezwał się nagle Hawkins, włączając się do rozmowy. — Przeróżające bzdury. Musieliśmy dziewczynie delikatnie wytłumaczyć, żeby dała sobie z tym spokój.

— Tak, Billy zachował się bardzo taktownie i uprzejmie — uśmiechnął się Ranley.

— Cóż, cieszę się, że nie masz żadnych złych intencji wobec tej ślicznej damy, Brutusie — powiedziała Maria.

— Trudno wyczuć jego intencje — uśmiechnął się Hawkins — ale dopóki ja z nimi byłem, jej honor absolutnie nie był zagrożony.

Aktorka podejrzliwie się im przyjrzała.

— Nie uważasz, że jest bardzo ładna, Brutusie? — zapytała po chwili.

— Brzydka nie jest — nonszalancko odpowiedział baron.

— Cóż, skoro jej uroda cię nie zachwyca, to wcale nie masz gustu, mój drogi — powiedziała Maria.

— Być może dlatego, że zaćmiewa ją twoja uroda, kochana Mario — odrzekł Ranley, rzucając jej jedno ze swych sławnych spojrzeń.

Pani Flemming zachnęła się, ale komplement ten sprawił jej wyraźną przyjemność. Łatwo dała się więc odwieść od tematu rozmowy.

Następnego dnia Verity obudziła się bardzo wcześnie. Wstała z łóżka i natychmiast podeszła do biurka. Otworzyła sekretną szufladę i wyjęła z niej skórzaną sakiewkę, zawierającą sto funtów w złocie.

W tym momencie do sypialni weszła Nell Dawson. Ujrawszy, co robi jej pani, pokręciła z dezaprobatą głową.

— Ależ, pani! Nie powinnaś wyjmować tego z szuflady. Co będzie, jeżeli ktoś zobaczy?

— Nic na to nie poradzę, Nell, nie mogę się powstrzymać — powiedziała Verity, rozwiązując sakiewkę i wysypując błyszczące monety na kolana.

— Co zrobisz z tymi pieniędzmi, pani?

— Nie wiem. — Verity zamyśliła się, wkładając monety na miejsce. — Schowam je głęboko, tak jak wiewiórki chowają żołądźcie. Czuję się, jakbym była typowym sknerą. Swoją drogą przypuszczam, że Hawkins nigdy by mi nie zapłacił, gdyby nie Ranley. Powinnam być mu wdzięczna.

Nell westchnęła.

— Powiedz, pani, czy lord Ranley nie jest oszałamiającym mężczyzną? Omal nie zemdlałam, siedząc obok niego wczoraj.

— Mój Boże, Nell. Mówisz jak jakaś głupia pensjonarka — napomniała ją Verity. — A teraz muszę się ubrać. Pójdziemy na spacer do parku.

Skinąwszy radośnie głową, pokojówka pobiegła przygotować odpowiednie na taką wyprawę stroje. Nell uwielbiała włóczyć się po ulicach Londynu, oglądać wspaniałe domy i ciekawych ludzi.

Zuchwalec wyczuł ich zamiary i natychmiast podbiegł do drzwi, machając radośnie ogonem.

— Och, Zuchu, dlaczego nie poczekaasz na swoją panią? — zaśmiała się na jego widok Verity.

Pies przechylił łepkę i wymownie spojrzął jej w oczy.

— No dobrze. Możesz iść z nami.

Zuchwalec zapiszczał uradowany, a Nell pobiegła po jego smycz.

Wkrótce Verity, jej pokojówka i mały, czarny piesek szli już w stronę parku. Było jeszcze za wcześnie, aby śmietanka londyńskiego towarzystwa mogła być widoczna na ulicach. Verity uwielbiała tę porę dnia, szczególnie przy tak pięknej czerwcowej pogodzie.

— Spotkanie z panią Flemming było naprawdę ekscytujące — powiedziała Nell.

— Tak — odparła Verity. — Nie byłam zbyt zadowolona z jej interpretacji roli księżniczki Thalii, to jest księżniczki Flavii, ale trzeba przyznać, że ma wielki talent.

— I jest piękna! — dodała Nell.

— Tak, masz rację.

— A czy nie wydaje ci się, pani, że ona może być zakochana w lordzie Ranleyu?

Verity ze zniecierpliwieniem spojrzała na służącą.

— Co też ci przyszło do głowy?

— Cóż, Antoinette powiedziała, że oni kiedyś byli... — pokojówka urwała w pół zdania.

— Byli czym, Nell?

Służąca zawahała się, szukając najdelikatniejszego sformułowania.

— Czy chodzi ci o to, że byli kochankami? — zapytała Verity.

Nell zaczerwieniła się po uszy.

— Tak, właśnie to miałam na myśli — powiedziała szeptem.

— Nic mnie to nie obchodzi — rzekła Verity. — I życzyłabym sobie, żebyś nie opowiadała mi podobnych plotek.

— Tak, pani — potulnie odpowiedziała Nell.

Nagle Verity wybuchnęła śmiechem.

— Nell Dawson! Co z ciebie za głupia gęś! Gdybyś nie powtarzała mi plotek, nigdy bym ci tego nie wybaczyła. Wiesz, że je uwielbiam!

Pokojówka zaśmiała się, szczęśliwa, że jej pani się nie gniewa.

Po chwili były już w parku. Przechadzały się alejkami, trzymając wciąż na smyczy Zuchwalca, który skakał jak szalony.

— Pani! — zawołała nagle Nell. — Czy to nie lord Ranley?

— Ranley tutaj? — Verity była zaskoczona.

Spojrzała w stronę, w którą patrzyła Nell. To rzeczywiście był on. Jechał na wspaniałym kasztanie. Prezentował się jak zwykle doskonale, ale Verity zauważyła, że nie był najlepszym jeźdźcem. Miał wyraźne trudności z płochliwym wierzchowcem. Verity wciąż go obserwowała. Sądziła, że ich nie zauważy, ale on spostrzegł je po chwili. Ściągnął wodze i skierował się w ich kierunku.

— Jedzie tutaj — jęknęła Nell. — Och, pani, co będzie, jeśli zemdleję?

— Uspokój się — skarciła ją Verity.

— Witam panie! — zawołał baron, zdejmując kapelusz i rzucając im jeden ze swoich najczarowniejszych uśmiechów.

— Dzień dobry, lordzie — odpowiedziała Verity.

— Dzień dobry — wyszeptała oszołomiona Nell.

Zuchwalec, któremu nie spodobał się wyraźnie koń albo też jeździec, groźnie zawarczał i zaczął piskliwie ujadać. Kasztan uskoczył do tyłu, ale Ranleyowi udało się jakoś utrzymać w siodle.

— Nie spodziewałam się spotkać pana tutaj, lordzie — powiedziała Verity, przyciągając do siebie psa.

— Ja też nie, lady Verity — odparł baron. — Nigdy tak wcześnie nie wstaję i nie jeżdżę o tej porze konno. Sam nie wiem, dlaczego wybrałem się do parku właśnie dzisiaj.

— Może skusiła pana ta cudowna pogoda — podsunęła Verity.

— Być może — zamyślił się Ranley, oczarowany jej urodą.

Verity rzeczywiście wyglądała prześlicznie w swej prostej, białej sukni spacerowej i słomianym kapeluszu, ocieniającym jej twarz.

„Ma prześliczne niebieskie oczy!” — zamyślił się baron. Dopiero jej głos wyrwał go z zadumy.

— Cieszę się, że mam okazję podziękować panu za zmuszenie pana Hawkinsa do wypłacenia mi moich pieniędzy.

— Tak, to straszny sknera — zaśmiał się Brutus. — Ale dobry z niego człowiek.

Verity uśmiechnęła się i właśnie miała coś powiedzieć, gdy nagle Zuchwalec wyrwał się jej i skoczył do tylnych nóg wierzchowca. Spłoszony kasztan wierzgnął dziko i stanął dęba. Baron zwałił się z siodła.

— Zuchu! — krzyknęła Verity, usiłując pochwycić szczekającego psa.

Przerażony koń pognał galopem w drugi koniec parku.

— Och, lordzie Ranley! Nic się panu nie stało?

Baron zaprzeczył ruchem głowy.

— Ucierpiała jedynie moja godność — odparł.

Próbował się podnieść, ale skrzywił się z bólu.

— Co panu jest? — zaniepokoiła się Verity, podbiegając do niego, żeby pomóc mu wstać.

Ranley delikatnie poruszył nogą uwięzioną w długim bucie do konnej jazdy.

— To nic poważnego — powiedział.

— Twój koń uciekł, panie! — wykrzyknęła Nell. — Nie złapiemy go teraz!

— To wypożyczony wierzchowiec. Ani chybi pędzi właśnie do swojej stajni, by poskarżyć się, jak źle został potraktowany — uspokoił ją Ranley.

Verity rozejrzała się po parku. Nigdy przedtem nie był aż tak pusty. Nie dostrzegła nikogo, kto mógłby im pomóc.

— Czy może pan iść? — zapytała.

— Tak, oczywiście — powiedział baron, robiąc próbny krok.

— Mieszkam niedaleko stąd — poinformowała Verity. — Pójdziemy tam i Stewart zawiezie pana do domu.

— Będę szczęśliwy, mogąc skorzystać z pani uroczej propozycji, lady Verity — rzekł baron i skłonił się uprzejmie.

Zuchwalec wciąż nie przestawał na niego czekać.

— Cicho bądź, ty ogarze piekielny wielkości myszy! — mruknął, spoglądając groźnie.

Pies uciszył się i patrzył na niego tak, jakby chciał okazać skruchę.

Verity zaśmiała się.

— Jesteś potworem, Zuchu. Chodźmy, lordzie. Ja i Nell weźmiemy pana pod ramiona i zaprowadzimy do mojego domu.

— Mam wielkie szczęście — powiedział baron, zerkając na młode damy u swego boku. — Wyjechałem na rozlazłej szkapie, a wracam z dwoma ślicznymi dziewczynami.

— To nie była żadna rozlazła szkapa — zaśmiała się Verity, kiedy zbliżali się do wyjścia z parku — lecz wspaniale utrzymany wierzchowiec!

— Tak niewiele wiem o tych zwierzętach, że nie zauważam takich różnic. Powiniennem się wstydić. Z pewnością uważa mnie pani, lady Verity, za fatalnego jeźdźca?

— Tego nie powiedziałam.

— Ale na pewno pani pomyślała.

— Nie jest tak łatwo dać sobie radę z narowistym koniem tłumaczyła dziewczyna. — Nawet doświadczony jeździec nie zawsze wie, co należy w takiej sytuacji zrobić.

— Mnie pani nie uważa za doświadczonego jeźdźca, prawda? — nie dawał za wygraną Ranley.

— Cóż, powiedzmy, że odradzałabym waszej lordowskiej mości udział w najbliższych zawodach. — Verity zaraz pożałowała swego dowcipu, ale Ranley i Nell wybuchnęli wesołym śmiechem.

Po kilku minutach dotarli wreszcie do rezydencji Benbrooków. Natychmiast wybiegł im na pomoc jeden z lokajów.

— Naprawdę, nic mi nie jest — bronił się baron.

Verity zignorowała jego słowa.

— Tom, zaprowadź lorda do salonu, a Stewart niech zaprzęga konie.

— Tak jest, pani — odpowiedział Tom, biorąc Ranleya pod ramię.

Chwilę później Brutus został ulokowany na jednej z sof w salonie.

Po oddaniu nieznośnego psa Weeksowi, Verity i Nell znów zjawiły się przy baronie.

— Przykro mi, że tak się stało. To wina Zuchwalca. Czy mam posłać kogoś po lekarza?

— Broń Boże, niech pani tego nie robi, lady Verity! — zawołał Ranley. — To nic poważnego. Po prostu lekkie zwichnięcie. Zresztą, chyba już czuję się lepiej.

— Co się tu dzieje?

Usłyszawszy to pytanie, Verity odwróciła się i ujrzała stojącego w progu ojca. Mimo że hrabia rzadko wstawał przed jedenastą, a dochodziła dopiero dziewiąta, był już ubrany.

— Tato — powiedziała Verity. — To jest lord Ranley. Miał mały wypadek w parku i zwichnął sobie nogę. Lordzie Ranley, przedstawiam panu mego ojca, lorda Benbrooka.

Nie zważając na protesty Verity, baron niepewnie stanął na nogach.

— Pański uniżony sługa, lordzie Benbrook — powiedział kłaniając się.

— Proszę usiąść — odezwał się hrabia. — Niech pan nie będzie głupi. Na uszkodzonej nodze nie wolno stawać.

Ranley ponownie opadł na sofę.

— Lady Verity wyolbrzymia mój wypadek. Nic się nie stało, zapewniam pana — powiedział.

— Spotkałyśmy barona w parku, tato — zaczęła Verity. — Zuchwalec rzucił się na jego konia, a ten niespodziewanie się wspiął, zrzucając jego lordowską mość.

— Naprawdę? — Lord Benbrook uniósł brwi.

— Kazałam Stewartowi zaprzęć konie i odwieść lorda Ranleya do domu.

— Lady Verity była dla mnie bardzo miła — wtrącił baron.

— Ale dlaczego wstałeś dziś tak wcześnie? — zapytała Verity.

— Wybieram się na przejażdżkę z Dorchesterem — odpowiedział hrabia.

— Z Dorchesterem? — powtórzyła.

— Tak. Powinien tu być lada moment.

Kilka sekund później w drzwiach pojawił się lokaj, anonsując markiza. Gerald prezentował się znakomicie w swym oliwkowym surducie, bufiastych bryczesach i błyszczących butach do jazdy konnej, przybranych złotymi chwastami. Spojrzał na Brutusa z niemym zdziwieniem.

— Przypuszczam, że nie miałeś okazji poznać lorda Ranleya — powiedział hrabia Benbrook.

— Nie, nie miałem — rzekł Dorchester, z niesmakiem przyglądając się baronowi.

Ranley nie usiłował nawet wstać.

— Musi mi pan wybaczyć — powiedział. — Zwichnąłem nogę w kostce.

Dorchester uklonił mu się sztywno, a potem zwrócił się do Verity.

— Dzień dobry, Geraldzie — odezwała się, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. — Spotkałyśmy lorda Ranleya w parku. Zrzucił go koń. To była zresztą moja wina, a raczej wina Zuchwalca. Ale skoro jest to mój pies — ja jestem za ten wypadek odpowiedzialna.

— Mam nadzieję, że pańskie obrażenia nie są ciężkie, lordzie Ranley — rzekł markiz.

— Ależ skąd, nic groźnego.

W drzwiach pojawił się Weeks.

— Powóz gotowy — oznajmił.

— To świetnie — ucieszył się hrabia Benbrook. — Moi ludzie zawiozą pana do domu.

— To bardzo miło z pańskiej strony. Jestem wdzięczny za pomoc, lordzie Benbrook — powiedział baron, wstając z sofy. — Dziękuję też pani, lady Verity, i panie Dawson.

Spojrzał prosto w oczy Verity, a ona zmieszała się przez moment.

— To drobnostka. Żałuję, że tak się stało — odrzekła cicho.

Ranley uśmiechnął się. Jemu wcale nie było przykro. Wręcz przeciwnie. Powrót z parku, kiedy to szedł wolno wspierając się na ramieniu Verity, sprawił mu prawdziwą przyjemność.

— Jeszcze raz dziękuję — rzekł, pozwalając by Tom i Weeks odprowadzili go do powozu.

Nell, która widziała złowrogie miny hrabiego i markiza, przeczuła nadciągającą burzę i szybko uciekła z salonu.

— Na Boga! Verity! Co cię opętało, żeby przyprowadzać tutaj tego typu! — zapytał z grymasem niezadowolenia na twarzy Dorchester.

— A cóż innego mogłam zrobić, Geraldzie? Jego koń uciekł, on sam nie mógł iść, a w pobliżu nie było żywej duszy — usprawiedliwiała się Verity.

— Wszyscy wiedzą, co to za człowiek! — gniewnie wykrzyknął markiz. — Nie powinnaś być dla niego tak uprzejma!

— Daj spokój, Geraldzie — wtrącił hrabia. — Moja córka nie mogła zrobić nic innego. Oczywiście nie pochwałam zapraszania do domu jakiegoś aktora, ale Verity nie zrobiła w końcu nic złego. Aha, zapomniałem, przecież ten Ranley jest teraz członkiem Izby Lordów. Przez długi czas zarabiał jednak na życie pracując w teatrach. Uważam, że nie powinniśmy mieć nic wspólnego z ludźmi jego pokroju!

— Och, tato — zaczęła Verity, chcąc zaprotestować.

Nagle otworzyły się drzwi i pojawiła się lady Benbrook. Hrabina pośpiesznie wstała z łóżka, gdy tylko dowiedziała się od służby o wizycie Ranleya. Teraz była najwyraźniej rozczarowana, przekonawszy się, że jej sławny gość właśnie wyszedł.

— Nie ma go? — zawołała. — Och, dlaczego go nie zatrzymałeś? — zwróciła się do męża. Verity spojrzała na ojca i widząc wyraz jego twarzy wybuchnęła śmiechem.

TLR

ROZDZIAŁ 13

Następnego dnia po śniadaniu Verity i jej matka udały się jak zwykle do salonu, aby przejrzeć poranną korespondencję.

— Spójrz, kochanie — powiedziała lady Benbrook, otworzywszy jedną z wielu kopert, jakie nadeszły tego dnia. — Zaproszenie na uroczysty bal u księżniczki de la Bretonne!

— To cudownie! — ucieszyła się Verity. — To jedyne przyjęcie, na które bardzo chętnie pójdę. Tyle słyszałam o księżniczce!

— Przypuszczam, że każdy o niej słyszał. Jest przecież sławna. Poza tym jest przyjaciółką twojej ciotki Sary. To ona zapewniła nam zaproszenie. Napisałam do niej, żeby użyła swoich wpływów. To będzie niewątpliwie najelegantsze przyjęcie w sezonie. Mam nadzieję, że Sarze udało się też załatwić zaproszenia dla księżnej i księcia Haverfordu oraz dla Dorchestera.

— Och, mamó — jęknęła Verity. — Czy ciągle musisz wspominać o Geraldzie?

— Drogie dziecko, przypominam ci, że za niecałe trzy tygodnie poślubisz tego dżentelmena! Verity nie odpowiedziała. Spojrzała na zaproszenie.

— Bal ma się odbyć za dwa tygodnie. Nie będę jeszcze wtedy lady Dorchester — z niesmakiem wymówiła nazwisko narzeczonego. — Lady Dorchester, to tak brzydko brzmi!

— Przyzwyczaj się, Verity — surowo powiedziała hrabina. — Mam nadzieję, że nie będziesz już robiła żadnych trudności przed ślubem. Byłaś ostatnio taka rozsądna.

— Nie martw się, mamó. Nie, zamierzam niczego utrudniać, ale nie mówmy już o tym. Przejrzyjmy lepiej resztę listów.

Lady Benbrook skinęła głową.

— Jest coś dla ciebie — powiedziała, podając jej kopertę.

Verity otworzyła list.

— To od lorda Ranleya!

— Tak?! — wykrzyknęła hrabina. — Co pisze?

Verity zaczęła czytać:

„Droga Pani,

chciałbym podziękować Pani za pomoc po moim nieszczęśliwym wypadku. Kontuzja — na szczęście — nie okazała się poważna i, jeżeli wierzyć memu szanownemu lekarzowi, powinienem za kilka dni być już zupełnie zdrowy. Gdybym tak łatwo mógł wyleczyć swoją zranioną godność!

Bóg mi świadkiem, że nigdy nie uważałem się za dobrego jeźdźca i miłośnika koni. Raz jeszcze dziękuję.

Pani uniżony sługa, lord Ranley."

— Tak żałuję, że nie zdążyłam go wtedy zobaczyć — westchnęła lady Benbrook, biorąc list z rąk córki. — To uroczy człowiek.

— Tak — przytaknęła zamyślona Verity.

— Twój ojciec nie był specjalnie zadowolony z obecności Ranleya w naszym domu, ale gdyby to ode mnie zależało, chętnie zaprosiłabym go na obiad.

— Naprawdę, mam? — ucieszyła się Verity.

— Oczywiście nigdy się na to nie odważę — odrzekła hrabina. — Hrabia uciąłby mi głowę! Nie, kochanie. Widziałas go pewnie już ostatni raz.

— Tak — westchnęła dziewczyna, marszcząc brwi. — Pewnie tak.

Zabrała list z rąk matki, która po chwili ponownie pogrążyła się w lekturze.

Po południu Verity zaszyła się w bibliotecę i zabrała do studiowania okazałego tomu jednego ze znanych dzieł historycznych. W całym domu było wyjątkowo cicho. Hrabina postanowiła się nieco zdrzemnąć, a hrabia wyszedł do klubu. Po jakimś czasie dziewczyna zatrzasnęła książkę i odłożyła ją na półkę. Jakoś nie mogła skupić się nad niczym, chociaż czytanie książek historycznych sprawiało jej zazwyczaj wielką przyjemność. Po prostu nie była w odpowiednim nastroju. Zastanawiała się, czy nie powinna popracować trochę nad nową sztuką, ale uznała, że na to też nie ma ochoty. „Nie. I tak nic by z tego nie wyszło” — pomyślała. Za każdym razem, kiedy usiłowała się na czymś skoncentrować, uparcie nawiedzały ją myśli o Ranleyu. I ten jego list, który otrzymała rano! Jakże mogła myśleć o czymkolwiek innym! Westchnąwszy zaczęła się rozglądać po półkach w poszukiwaniu jakiejś ciekawej lektury, gdy nagle wszedł lokaj.

— Przepraszam, panienko — ukłonił się Weeks — ale przyszli goście. Czy mam powiedzieć, że pani nie przyjmuje?

— Tak, Weeks.

Lokaj zamierzał już odejść, lecz Verity go powstrzymała. — Poczekaj!

— Tak, pani.

— A kto właściwie przyszedł? Może ktoś, kogo zechcę przyjąć. Nudzę się trochę.

— Pani Boyd i pani Flemming — odpowiedział Weeks.

— Maria Flemming? Ta aktorka?

— Ośmielam się tak sądzić, panienko — rzekł lokaj.

— Och, to wspaniale! Proszę, wprowadź je do salonu!

Weeks, nieco zdziwiony poleceniem, skłonił się i wyszedł. Kiedy poinformował przybyłe panie, że lady Verity zaraz je przyjmie, Maria z satysfakcją spojrzała na swoją towarzyszkę, atrakcyjną młodą kobietę o blond włosach i uróżowionych policzkach.

— Nie spodziewałam się, że ludzie, którzy mają taki pałac, pozwolą nam przekroczyć swój próg — powiedziała z zachwytem pani Boyd, gdy znalazły się w salonie.

— Mówiłam ci przecież, iż lady Verity to wyjątkowa osoba. Jest wielbicielką mojego talentu.

Pani Boyd była naprawdę pod wrażeniem. Rozejrzała się po pokoju, pełnym drogich mebli i dzieł sztuki. Po chwili w drzwiach pojawiła się Verity.

— Dobry wieczór paniom. Bardzo się cieszę z pani wizyty, droga Mario.

Aktorka promieniała. Miała nadzieję, że jej przyjaciółka usłyszała entuzjastyczne powitanie Verity.

— Moja matka odpoczywa, więc nie będzie mogła do nas zejść. — Mówiąc te słowa dziewczyna z trudem powstrzymała się od uśmiechu. Wiedziała bowiem dobrze, że lady Benbrook nigdy by ich nie przyjęła.

— Lady Verity — zaczęła Maria — chciałabym przedstawić moją drogą koleżankę, panią Boyd. Pani Boyd — oto lady Verity de Lacy.

— Bardzo mi miło. Jeśli mnie pamięć nie myli, to widziałam panią w roli Jokasty w "Mężnej damie". Zagrała pani doskonale. Wszyscy zresztą byliście znakomici.

— Dziękuję — powiedziała rozpromieniona aktorka.

— Nie wiem, jak udało się pani zapamiętać mnie i imię granej przeze mnie postaci. Ma pani wspaniałą pamięć.

Verity uśmiechnęła się.

— Rzeczywiście, nie sprawiło mi to specjalnej trudności. A teraz usiądźcie, drogie panie. Może miałybyście ochotę na herbatę?

Maria rzuciła przyjaciółce znaczące spojrzenie.

— Z przyjemnością.

Verity zadzwoniła na służbę, aby podano podwieczorek.

— Cieszę się, że mam okazję porozmawiania z paniami. Bardzo interesuję się teatrem.

— Słyszałam opinię, że byłaby pani świetną aktorką — odezwała się pani Boyd. — Oczywiście, gdyby nie była pani damą.

Verity zaśmiała się.

— A kto to powiedział?

— Lord Ranley. Według niego tak wspaniale zagrała pani Julię, że powinniśmy się cieszyć, iż nie występuje pani na scenie.

— Przesadził — rzekła z uśmiechem Verity, choć komplement sprawił jej wielką przyjemność. — Czy lubicie panie swoją pracę? — spytała.

Maria wzruszyła ramionami.

— Właściwie tak, lady Verity. Niemniej to ciężkie zajęcie.

— Bez wątpienia — przytaknęła przyjaciółka pani Flemming.

— Teraz, kiedy pracuję w Teatrze Królewskim — ciągnęła Maria — jestem bardzo zadowolona z tego, co robię. Nie tak dawno jeszcze występowałam na prowincji z trupą objazdowych aktorów, grając to tu, to tam za byle jakie pieniądze. Musiałam też wciąż znosić oszczerstwa wiejskich prostaków! Cóż, nie polecałabym nikomu takiej pracy.

— Ma pani rację — zgodziła się Verity. — Chociaż czasami myślę sobie, że chciałabym przeżyć podobną przygodę — podróżować po królestwie, odwiedzać nowe miejsca. Dostarcza to z pewnością wielu niezwykłych wrażeń, prawda pani Boyd?

— Och, dla mnie jest to przede wszystkim wyczerpujące — odpowiedziała aktorka, uśmiechnąwszy się szeroko.

Pojawienie się na stole herbaty przerwało na moment rozmowę. Biorąc do ręki filiżankę, pani Boyd pomyślała, że odwiedzenie lady Verity de Lacy okazało się znakomitym pomysłem. Dla niej, zwykłej aktorki, przebywanie w pięknym salonie i konwersowanie z wielką damą z towarzystwa było wspaniałym przeżyciem. Bo też Verity niewątpliwie pozostawała wielką damą, mimo jej zadziwiającego braku uprzedzeń.

— Maria mówiła mi, że pisuje pani sztuki teatralne — powiedziała spokojnie pani Boyd.

Verity spojrzała na nią zaskoczona. Widząc minę swej towarzyszki, blondynka zdała sobie sprawę, że popełniła gafę.

— Tak mi przykro — szepnęła zakłopotana.

— Zgadza się, ale skąd panie o tym wiedzą?

Aktorka wyglądała na zażenowaną.

— Pani Flemming dowiedziała się o tym od lorda Ranleya, któremu podobno przysłała pani do oceny swój dramat.

Verity spojrzała na Marię.

— Lord Ranley to pani powiedział?

Maria skinęła głową.

— Och, nikomu już nic nie powiem. Przysięgam — rzekła cicho.

— Ani ja! — wykrzyknęła pani Boyd. — Wiem, jaka musiała być pani rozczarowana!

— Rozczarowana? Czym?

— Tym, że lord Ranley tak nisko ocenił pani dzieło.

Verity omal nie zakrzuszyła się herbatą.

— Nisko ocenił moją sztukę?

— Tak. Powiedział, że nie jest dobra — przytaknęła pani Flemming. — Tak mi przykro, lady Verity.

Dziewczyna nie posiadała się z oburzenia. A więc nie dość, że Ranley opowiadał ludziom o jej twórczej pasji, to jeszcze śmiał twierdzić, iż napisana przez nią sztuka jest fatalna! Nie posądziłaby go nigdy o plotkarstwo, a on wyjawiał wszystkim tajemnicę, którą tak starała się ukryć.

— Przepraszam, milady. — Ku wielkiej uldze obu aktorek do salonu wszedł Weeks. — Przybył lord Dorchester.

— Dorchester? — Verity spojrzała na panią Boyd i Marię. — Jestem pewna, że panie z przyjemnością poznają mojego narzeczonego. Proszę koniecznie wprowadzić jego lordowską mość, Weeks!

Gerald wszedł do salonu i od razu rozpoznał panią Flemming. Był zbyt dobrze wychowany, aby pokazać po sobie, jak bardzo oburzył go fakt podejmowania podwieczorkiem najwulgarniejszej aktorki Londynu i jakiejś innej kobiety o tej samej haniebnej profesji. Skrzywił się nieznacznie i podszedł do Verity.

— Geraldzie, jak dobrze, że przyszedłeś. Drogie panie, mam zaszczyt przedstawić wam mojego narzeczonego, markiza Dorchester. Geraldzie — to pani Flemming i pani Boyd.

Dorchester przywołał na twarz pogardliwy uśmiech. Skłonił się aktorkom, nie mówiąc ani słowa.

— Przyszedłeś akurat w porę, żeby napić się z nami herbaty.

Spostrzegłszy minę markiza, Maria zdała sobie sprawę, że nadużyły już gościnności tego domu. Postawiła filiżankę na stole.

— Witam, lordzie. Bardzo mi przykro, ale ja i pani Boyd musimy już iść.

— Naprawdę musicie? — W głosie Verity zabrzmiało wielkie rozczarowanie.

— Tak, lady Verity. Serdeczne dzięki. Była pani dla nas taka miła.

— Dziękujemy za herbatę — dodała pani Boyd. Obie aktorki spieszenie wyszły. Dorchester zmarszczył brwi i groźnie popatrzył na narzeczoną.

— Geraldzie, bardzo proszę, przestań rzucać mi gniewne spojrzenia, niczym srogi nauczyciel. Usiądź i zjedz podwieczorek — zaproponowała Verity.

Gerald wciąż stał.

— Nie mogłem uwierzyć własnym oczom! Przyjęłaś w domu kogoś takiego! Dobry Boże! Dziewczyno! Oszalałaś?! Gdzie jest lady Benbrook?

— Mama odpoczywa. O co ci w ogóle chodzi?

— Na honor! — wybełkotał wściekły Dorchester. — Te kobiety są aktorkami! To nie jest dla ciebie odpowiednie towarzystwo. Co sobie ludzie pomyślą, kiedy dowiedzą się, kogo zapraszasz na herbatę! Wczoraj przyszedłem tu i zastałem cię z tym łajdakiem Ranleyem. I jakby tego było mało, dzisiaj widzę, jak konwersujesz z dwiema wymalowanymi aktorkami o podejrzanej reputacji! Ostrzegam cię, Verity, nie będę dłużej akceptował twojej chorobliwej fascynacji teatrem! Nigdy nie zdawałaś sobie sprawy ze swej wysokiej pozycji. Zawsze spoufalalaś się z niższymi warstwami! Nie pozwolę, abys postępowała w podobny sposób, kiedy się pobierzemy! Jako markiza Dorchester będziesz musiała mieć dystyngowane maniery!

— Będę żyła tak, jak zechcę — powiedziała Verity, podnosząc się z krzesła i rzucając narzeczonemu wściekłe spojrzenie. — Jeżeli tak bardzo nie pochwalasz mojego zachowania, sugerowałabym ci znalezienie sobie innej kandydatki na żonę, Geraldzie!

— Ale ja nie chcę mieć innej żony! — krzyknął Dorchester. — Pragnę po prostu, abys zachowywała się w sposób, jaki przystoi twojej pozycji.

— Mój drogi, nie zamierzam się z tobą dłużej kłócić. Proponuję, abys sobie poszedł!

Markiz zawahał się przez moment, po czym skinął głową.

— Zrobię tak, jak sobie życzysz, Verity. Wrócę, kiedy wszystko dokładnie przemyślisz. Żegnaj! — Gerald odwrócił się i szybko wyszedł.

Verity opadła ciężko na krzesło. Jak mogła w ogóle zgodzić się na małżeństwo z tym człowiekiem? Zmarszczyła brwi i pogrzyżyła się w ponurych rozmyślaniach.

ROZDZIAŁ 14

Po popołudniowej drzemce lady Benbrook zeszła na dół. W salonie zastała zadumaną Verity.

— Co się stało, kochanie? — zapytała hrabina.

— Nic ważnego, mamó. Pokłóciłam się z Geraldem.

— Był tutaj?

— Tak. Nie tak dawno temu. Wyszedł wściekły. Oczywiście ja też się rozzłościłam.

— Ale co się stało?

Verity spojrzała na matkę.

— Gerald uważa, że pani Flemming jest dla mnie nieodpowiednim towarzystwem.

— Pani Flemming, ta aktorka? — zapytała zdumiona lady Benbrook. — Wielkie nieba, córeczko, oczywiście, że nie jest ona dla ciebie odpowiednim towarzystwem. Dlaczego w ogóle o tym rozmawialiście?

— Ponieważ pani Flemming i jej przyjaciółka były u mnie na podwieczorku, mamó.

— Tutaj?! — wykrzyknęła hrabina. — Przyjęłaś te kobiety i jeszcze je czymś poczęstowałaś? Och, Verity!

— Nie patrz na mnie z taką dezaprobatą, mamó. Gerald zganił mnie już wystarczająco, jak na jeden dzień. Nie widzę niczego złego w gościnności. A pani Flemming i pani Boyd mówiły naprawdę interesująco. Przecież to nie są jakieś potwory!

— Być może, ale to nie znaczy, że należy je przyjmować we własnym salonie. Mam nadzieję, iż w przyszłości wykażesz się większym rozsądkiem, kochanie. Dobrze wiesz, co ja i twój ojciec sądzimy o kontaktach z podobnymi osobami! Trudno winić Dorchestera, że się zdenerwował.

— Ale powinno się winić go za jego pompatyczne i gburowate zachowanie. Szczerze mówiąc, mamó, nie znoszę tego człowieka. Wiem, że małżeństwo z nim będzie dla mnie udręką, a on też nie będzie ze mną szczęśliwy. Na Boga, wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego on chce się ze mną żenić?

— Podobasz mu się, kochanie.

— Czyżby? — Verity zamyśliła się.

— Oczywiście. Te kłótnie są bez znaczenia. Dorchester szybko o nich zapomni.

— On może tak, ale ja nie!

— Mam nadzieję, że nie zamierzasz znowu odmawiać poślubienia Geralda?

Verity westchnęła i przybrała tragiczną pozę.

— Nie, mam. Jestem zdecydowana na swój nieszczęsny los, niczym żołnierz wysłany na front! Ty i tata możecie być spokojni.

— Och, Verity!

Dziewczyna zerwała się z krzesła.

— Proszę cię, wybacz mi, mam, ale wołałabym być teraz sama! — zawołała i wybiegła z salonu.

Hrabina patrzyła na oddalającą się córkę i po raz pierwszy pomyślała, że zmuszanie Verity do małżeństwa z Dorchesterem może okazać się poważnym błędem.

Verity nie widziała się z markizem przez kilka dni. Kiedy wreszcie przybył do rezydencji Benbrooków, chciał jak najszybciej odzyskać łaski narzeczonej. Ku jego zaskoczeniu Verity była dla niego tak miła, jak gdyby zapomniała o ich ostatniej kłótni. Lady Benbrook ucieszyła się bardzo, przekonawszy się, że sprzeczka jest już za nimi. Na szczęście Verity przestała ostatnio buntować się przeciwko zbliżającemu się małżeństwu z Geraldem i nawet dała się nakłonić do udziału w przygotowaniach do przeprowadzki do nowego domu. Należało zrobić wiele rzeczy: spakować ubrania, dokonać zakupów i podjąć decyzję co do tego, jakie przedmioty miała wnieść razem z posagiem do rezydencji Dorchestera. Nie obeszło się też bez mnóstwa zwykłych towarzyskich spotkań i kilku wizyt u krawców i fryzjerów. Dni były więc pełne zajęć i mijały bardzo szybko.

I tak nadszedł dzień balu u księżniczki de la Bretonne. Verity podobnie jak wszyscy z niecierpliwością oczekiwała tego przyjęcia, które od tygodni było na ustach prawie całego Londynu. Swą obecność na balu zapowiedział nawet sam książę regent, co wyjątkowo podekscytowało zaproszonych gości.

Suknia balowa Verity stanowiła niewątpliwie wielkie dzieło sztuki krawieckiej. Była to kreacja w stylu empire, z głęboko wyciętym dekoltem i krótkimi rękawami, uszyta z białej, błyszczącej satyny. Stanik i ramiona pokryte zostały koronką i udekorowane małymi satynowymi różyczkami. „Cóż za wspaniała suknia” — pomyślała Nell, ubierając swoją panią.

— Wyglądasz pięknie, milady — westchnęła oczarowana pokojówka. — Zaćmisz wszystkie obecne na balu damy.

Verity przeglądała się w lustrze, a Nell zakładała jej szmaragdowy naszyjnik. Na koniec wpięła jej we włosy girlandę białych różyczek.

— Zapewniam cię, Nell, że nikt mnie nawet nie zauważy wśród tylu sławnych piękności z towarzystwa. Jest ich bez liku. — Verity odwróciła się od lustra, wzięła białe rękawiczki i wachlarz z kości słoniowej.

— Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawiła, pani.

— Też mam taką nadzieję, Nell. W końcu jest to ostatni bal lady Verity de Lacy jako wolnej kobiety. Kiedy znów dostanę podobne zaproszenie, będę się już nazywać lady Dorchester. Spotyka mnie wielki zaszczyt — przynajmniej jego lordowska mość tak sądzi.

— Jakież to smutne — westchnęła ze współczuciem służąca.

— Dzisiaj jednak nie zamierzam o tym myśleć. Będę plotkować, tańczyć ze wszystkimi młodymi dżentelmenami i świetnie się bawić.

— To dobrze — niepewnie bąknęła Nell.

Nastrój Verity wahał się tego dnia od skrajnej radości do wielkiego przygnębienia i pokójka nie bardzo wiedziała, jak ma w danym momencie odebrać jej słowa. Odetchnęła z ulgą, gdy mogła nareszcie szybko posprzątać garderobę swej pani i udać się na dół, gdzie zbierała się właśnie reszta służby.

Benbrookowie wyszli z domu bardzo późno, gdyż hrabina popadła w ostatniej chwili w rozpacz nad swoją fryzurą. Spóźniliby się z pewnością, gdyby nie fryzjerskie umiejętności Nell Dawson, które uratowały sytuację. Mimo to przez całą drogę do rezydencji księżniczki de la Bretonne hrabia denerwował się, że dotrą później niż sam książę regent. Hrabina i Verity musiały zapewniać go kilka razy, że na pewno nie popełnią tak niewybaczalnej gafy. Po przybyciu na miejsce okazało się na szczęście, że nie są jedynymi opóźnionymi gośćmi. Wiele znakomitych osób wylaniało się wciąż z luksusowych powozów i Verity była coraz bardziej podekscytowana. Bal odbywał się we wspaniałym pałacu, jaśniejącym światłem tysięcy świec, migoczących w olbrzymich, kryształowych żyrandolach. Na marmurowych schodach prowadzących do wielkiej sali zgromadziło się tak wiele osób, że Verity czuła się jak mała mrówka, próbująca dostać się do olbrzymiego mrowiska.

Kiedy zostali zaanonsowani i weszli do przestronnej sali balowej, oszołomiona Verity zaczęła przyglądać się wirującemu tłumowi. Orkiestra grała skoczną melodię, w takt której wiele par tańczyło mazurka.

— O, widzę Dorchestera — rzekł lord Benbrook. — Jest z księżną.

— Bardzo jej do twarzy w różowym, nie sądzisz, Verity? — zapytała lady Benbrook, patrząc na swoją przyjaciółkę. — A Gerald, czyż nie prezentuje się imponująco?

— Tak — odparła Verity, zerkając w stronę księżnej Haverfordu i jej syna. — Gerald zawsze wygląda imponująco, mamó.

Dorchester spojrzał właśnie w ich kierunku. Zauważywszy swoją narzeczoną i jej rodziców, wziął matkę pod ramię i powoli zaczął się do nich zbliżać.

— Księżno — skłonił się hrabia — jakże pięknie pani wygląda.

— Tak, róż jest zdecydowanie twoim kolorem, Kate — rzekła hrabina z uśmiechem.

— Przesadzacie — skromnie odpowiedziała księżna i dodała, zwracając się do syna: — Twoja narzeczona wygląda prześlicznie, prawda Geraldzie?

— Rzeczywiście — markiz z radością włączył się do konwersacji. — Nie ma tu kobiety, która mogłaby się z tobą równać, Verity.

— Och, Geraldzie, nigdy bym się po tobie nie spodziewała tak bałamutnych słów! — zaśmiała się Verity.

— To nie są bałamutne słowa, to szczerza prawda — rzekł Dorchester, zadowolony, że jego narzeczona jest w dobrym humorze. — Rozejrzyj się. Bez wątpienia jestem w towarzystwie najładniejszych kobiet na całym balu. — Obrzucił salę niechętnym wzrokiem. — Zauważyłem już kilka fatalnie ubranych pań.

— To prawda — wtrąciła księżna. — Pani Abercomby, na przykład, ma suknię w najdziwniejszym odcieniu żółci, jaki kiedykolwiek widziałam. A spójrzcie na lady Filipkę Brent. Tańczy właśnie z panem Johnem Marburrym. Takie kreacje można prezentować w Paryżu, ale z pewnością nie w Londynie!

Verity z ciekawością spojrzała na tańczących. Lady Brent miała na sobie przejrystą, wydekoltowaną suknię, w której jednak trudno było dopatrzeć się czegoś niestosownego.

— Również twoja przyjaciółka, Karolina Billingham, ma na sobie coś, w czym jej zupełnie nie do twarzy. Biedna dziewczyna! Jest taka brzydka, a do tego jeszcze sporo ostatnio utyla.

— To Karolina jest tutaj? — ucieszyła się Verity. — Nie wiedziałam, że przyjechała do miasta. Tak bardzo chciałabym się z nią zobaczyć!

Dorchester skrzywił się. Nie przepadał za Karoliną. Również pochodzenie jej rodziców nie wydawało mu się wystarczająco arystokratyczne, aby utrzymywać z nimi zażyłe stosunki. Powstrzymał się przezornie od jakiegokolwiek komentarza, ponieważ wiedział, jak bardzo jego narzeczona lubi swą przyjaciółkę. Obiecał sobie jednak w duchu, że kiedy już poślubi Verity, postara się zniechęcić ją do panny Billingham. "W końcu to tylko prowincjusze o złych manierach" — pomyślał.

— O, widzę Karolinę — powiedziała lady Benbrook. — Chyba jej brat stoi obok niej, prawda?

— Tak — odpowiedział jej Dorchester. — To ten okropny Harry Billingham. Nigdy nie dażyłem go sympatią.

Verity uśmiechnęła się, słysząc jego słowa. Pamiętała, że Gerald nienawidził Harry'ego jeszcze jako dziecko. Wszyscy wychowywali się w Lancashire, a mieszkając blisko siebie byli niejako skazani na wzajemne towarzystwo. Chłopcy wielokrotnie bili się ze sobą i muskularny brat Karoliny zawsze wygrywał, nie mając żadnej litości dla wątpłego Dorchestera.

— Może do nich podejźmy? — zaproponowała Verity.

— Nie mam najmniejszej ochoty tracić czasu dla kogoś takiego — gniewnie odpowiedział Gerald.

— Ani ja — wtrącił lord Benbrook. — Zawsze powtarzałem, że Harry to straszny łobuz. Jego własny ojciec też go za takiego uważa.

— Cóż, nie będę więcej nikogo namawiać, żeby marnował swój czas na Billinghamów. Muszę zobaczyć się z Karoliną. Wybaczcie.

Zanim Dorchester lub hrabia zdążyli zaprotestować, Verity pośpieszyła ku swej przyjaciółce. Panna Billingham wydała okrzyk radości na widok zbliżającej się Verity i padła jej w ramiona.

Karolina była dziewczyną o nieciekawej powierzchowności. Miała wystające przednie zęby i zdecydowanie cofniętą dolną szczękę. Jej niesforne włosy wiły się w naturalnych lokach, których nie dawało się uczesać. Mimo to jej wesołe usposobienie i uroczy uśmiech zdobyły jej wielką sympatię w kręgach towarzyskich Lancashire.

— Och, Verity! Tak się cieszę, że cię widzę.

— Dlaczego nie powiadomiłaś mnie, że jesteś w Londynie, Karolino?

— Nie miałam czasu. Zresztą tata i mama wcale nie chcieli przyjechać. Jesteśmy tu od wczoraj tylko dzięki moim błaganiom i obietnicy Harry'ego, że będzie się dobrze prowadził. Pomyśleć, że naszym pierwszym przyjęciem w sezonie okaże się taki bal! Zaproszenie na niego zawdzięczamy kuzynce Mary. Pamiętasz ją pewnie. To żona lorda Raybourne'a, który jest bratem pani Woodcliff, przyjaciółki księżniczki de la Bretonne.

— To dosyć skomplikowane, ale i tak się cieszę, że jesteś, bez względu na to, jak udało ci się tu dostać — powiedziała ze śmiechem.

Verity spojrzała na Harry'ego. Był postawnym, muskularnym mężczyzną około trzydziestki, niedbale ubranym w znoszony frak.

— Dobry wieczór, Harry.

— Witam. Prześlicznie dziś wyglądasz. A gdzie są lord i lady Benbrook?

— Tam. Rozmawiają z Dorchesterem i księżną.

— Ach, teraz rozumiem, dlaczego do nas nie podeszli — uśmiechnął się Billingham. — Miło byłoby porozmawiać, ale wy, dziewczęta, wołałybyście pewnie, żebym wam nie przeszkadzał. Już ja wiem, jak potraficie trajkotać! Poza tym jest tu pewna dama, którą mam na oku!

— Podobno przyrzekłeś dobrze się prowadzić, Harry — rzekła Verity z udaną surowością.

Billingham zaśmiał się i odszedł, pozostawiając w spokoju dziewczęta, które natychmiast zaczęły się sobie zwierzać.

— Dzięki Bogu, że jesteś. Okropnie się tu czuję.

— Dlaczego, Karolino?

— Jesteśmy na tym balu już od co najmniej godziny i nikt jeszcze nie poprosił mnie do tańca. Chciałam już schować się za tę zieloną palmę, tam w rogu, ale bałam się, że mama się zezłości. Stoję więc tutaj strasznie się nudząc i usiłuję udawać, że jest mi bardzo wesoło. Zdrętwiały mi już nogi! Ale teraz, kiedy ty tu jesteś, zabawa na pewno będzie przednia!

— Mam nadzieję — odpowiedziała Verity. — A jeśli nie — to obie schowamy się za tę palmę.

Karolina zaśmiała się.

— Czy twój ślub z Dorchesterem jest w dalszym ciągu aktualny?

Verity skinęła głową.

— Nie mówmy o moim małżeństwie, Karolino.

— A więc wciąż jesteś z tego powodu nieszczęśliwa?

— Tak, ale pogodziłam się już z tą myślą. Błagam cię, ani słowa o ślubie. Musisz opowiedzieć mi coś o sobie. Jak się mają rodzice?

— Dość dobrze. Są gdzieś tutaj. Pewnie niedługo ich zobaczysz. Mama obserwuje mnie niczym jastrząb, mając nadzieję, że jakiś krótkowidz poprosi mnie do tańca.

— Och, Karolino, co ty mówisz!

— Tata okropnie narzekał, że musi iść na ten bal. Wiesz, on nienawidzi życia w mieście. Nie może się już doczekać powrotu do Lancashire i rozpoczęcia sezonu myśliwskiego. Mama powiedziała, że... — Karolina nagle urwała w pół słowa. — Verity! Najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałam, idzie właśnie w naszą stronę — szepnęła po chwili.

Verity obejrzała się i w jej błękitnych oczach odbiło się zaskoczenie.

— To lord Ranley — powiedziała.

Starła się, by jej głos brzmiał obojętnie.

— Poznałaś go wcześniej?

— Tak. Spotkał mnie ten wątpliwy zaszczyt.

Jeżeli nawet Ranley usłyszał jej ostatnie słowa, to nic po sobie nie pokazał. Stał przed dziewczętami i złożył im szarmancki ukłon.

— Lady Verity.

— Lordzie Ranley.

Verity usiłowała zachować trzeźwość umysłu i zimną krew. „Karolina miała rację, pomyślała. On rzeczywiście jest najprzystojniejszym mężczyzną w Anglii”. Patrzyła na Brutusa, który w swym nienagannie skrojonym fraku wyglądał bardzo elegancko.

— Karolino, przedstawiam ci lorda Ranleya. Lordzie — to moja bliska przyjaciółka, panna Billingham.

— Witam, panno Billingham — powiedział baron, kłaniając się raz jeszcze.

Karolina nigdy nie uważała się za kobietę, która mogłaby zemdleć na widok przystojnego mężczyzny. Kiedy jednak Ranley zwrócił ku niej swą uśmiechniętą twarz, pomyślała, że chyba zmieni o sobie zdanie.

Zdziwiona Verity spojrzała na przyjaciółkę, a później na barona. „Jakież to irytujące, pomyślała. Ranley jest w stanie oczarować nawet najrozsądniejszą z dziewcząt”.

— To wielki zaszczyt poznać pana, lordzie — zdołała wykrztusić z siebie Karolina. — Podobnie jak moja przyjaciółka jestem wielbicielką pańskiego talentu.

Verity uznała jej słowa za zupełnie nie na miejscu, a baron uniósł swe ciemne brwi, patrząc na nią z rozbawieniem. Karolina niczego nie zauważyła i ciągnęła dalej:

— Nie mogę doczekać się obejrzenia pańskiej "Mężnej damy".

— To najlepsze dzieło jego lordowskiej mości — szybko wtrąciła Verity.

Uśmiechnęła się kąśliwie do Ranleya. Sądziła, że udało się jej go zezłościć. Ku swemu rozczarowaniu zobaczyła jednak, iż uwaga ta nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia.

— Mam nadzieję, że się pani spodoba, panno Billingham — rzekł spokojnie baron. — Lady Verity bardzo wysoko ceni tę właśnie sztukę, ale ja nie przywiązuję tak dużego znaczenia do moich nędznych literackich prób. — Po tych słowach zwrócił się do Verity: — Czy zrobi mi pani ten zaszczyt i pozwoli zaprosić się do tańca?

Dziewczyna spojrzała na niego zdziwiona.

— Nie mogę przecież zostawić mojej przyjaciółki.

— Co ty mówisz, kochanie — zaprotestowała Karolina. — Nie powinnaś odmawiać lordowi!

Verity zawahała się. Przypomniała sobie, co baron powiedział o niej pani Flemming. Poza tym ojcu i Geraldowi wcale nie spodoba się, że ofiarowała mu taniec. W końcu jest przecież zaręczona i ma niedługo wyjść za mąż, a Ranley nie cieszy się najlepszą reputacją. Po krótkim namyśle zdecydowała jednak nie dbać o to, co powie Dorchester.

— Dobrze, lordzie. Zatańczę z panem — rzekła.

— Jestem pani dozgonnie wdzięczny, lady Verity — powiedział z dramatycznym ukłonem.

Verity z trudem powstrzymała się od śmiechu.

— Było mi bardzo miło poznać panią, panno Billingham — rzekł baron, skłoniwszy się Karolinie. — Mam nadzieję, że zarezerwuje pani dla mnie następny taniec.

Karolina uśmiechnęła się radośnie.

— Z przyjemnością, lordzie.

Ranley poprowadził Verity na środek sali.

— Jestem bardzo zobowiązany, że zdecydowała się pani zatańczyć ze mną, choć nie miała pani na to specjalnej ochoty.

— Nie wiem, o czym pan mówi, sir.

— Nie wygląda pani na zadowoloną.

— Jest pan zbyt przyzwyczajony do kobiet, które popadają w ekstatyczną radość na pana widok.

Ranley uśmiechnął się.

— Być może — przyznał.

Mazurek skończył się i orkiestra zaczęła grać walca. Baron otoczył ją ramieniem i ujął jej dłoń. Tak jak się tego spodziewała, okazał się doskonałym tancerzem.

— Cieszę się, widząc, że nie ucierpiał pan na skutek upadku z konia.

— Rzeczywiście, jestem zupełnie zdrow — przyznał baron. — A co więcej — postanowiłem szkolić swoje umiejętności jeździeckie.

— Słusznie. Jazda wierzchem jest niewątpliwie jedyną rzeczą, jakiej nie robi pan znakomicie.

Ranley nie był pewien, jak powinien zareagować na tę uwagę. Tańczyli w milczeniu.

— Jestem na pana wściekła, lordzie — odezwała się wreszcie Verity.

— Tak też myślałem, chciałbym jednak wiedzieć, z jakiego powodu.

— Dlatego, że zdradza pan moje tajemnice!

— A czy dzieliła się pani ze mną jakimiś sekretami?

— Proszę przestać! Powiedział pan Marii Flemming, że pisuję sztuki i jakby tego było mało, wyraził się pan, iż nie mam talentu. Prosiłam przecież, aby owa sprawa pozostała między nami!

— Dobry Boże? Skąd się pani o tym dowiedziała?

— O wszystkim opowiedziała mi pani Flemming, kiedy była u mnie ostatnio.

— Maria złożyła pani wizytę?

— Nie mówiła panu o tym?

— Droga lady Verity, nie widziałem pani Flemming już od kilku dni. Powiedziałem jej o pani sztuce, ponieważ nie mogłem znaleźć lepszego wytłumaczenia dla faktu, że pani i ja siedzieliśmy razem w karczmie „Pod Koroną i Kotwicą”. Pamięta pani zapewne, iż spotkała nas tam Maria. Z pewnością przedstawiona przeze mnie wersja jest lepsza od wniosku, jaki wyciągnęła pani Flemming.

Verity zaczerwieniła się z zażenowania.

— Ale nie było potrzeby jej mówić, że moja sztuka była okropna!

Ranley zaśmiał się.

— Tu znów nabroił Billy, nie ja! — powiedział i widząc jej pełne niedowierzania spojrzenie dodał: — Daję słowo honoru!

— Rozumiem. — Verity uśmiechnęła się mimo woli. — Proszę zatem przekazać panu Hawkinsowi, że jestem na niego bardzo zła.

— Uczynię to bez wątpienia — zaśmiał się znowu baron.

Verity zdawała sobie sprawę, że znalezienie się w ramionach Ranleya nie było dla niej najbezpieczniejsze. Niewiele bowiem kobiet zdołało mu się oprzeć, a i ona sama nie miała na to dość sił. Kiedy walc się skończył, oładnęły ją sprzeczne uczucia. Żałowała, że baron wypuścił ją ze swych objęć, ale z drugiej strony zadowolona była, iż może już wrócić do przyjaciółki. Zbliżając się do Karoliny, zauważyli towarzyszących jej rodziców Verity, Dorchestera oraz księżnę i księcia. Ranley powitał wszystkich z typową dla niego pewnością siebie, ignorując groźne spojrzenia markiza. Ponieważ Karolina obiecała mu następny taniec, nie zwlekając poprowadził zachwyconą pannę Billingham na parkiet.

— Dlaczego wiecznie muszę natykać się na tego człowieka? — zapytał lord Benbrook, z niezadowoleniem przyglądając się Ranleyowi i Karolinie.

— Pamiętaj, kochanie, że mimo wszystko jest to sławny Brutus Ranley! — powiedziała lady Benbrook.

Księżna natychmiast jej przytaknęła, a Verity uśmiechnęła się na widok skrzywionej miny Dorchestera.

Wieczór minął bardzo szybko. Po tańcu z baronem Karolina nie musiała już spędzać balu stojąc samotnie pod ścianą. Zainteresowanie okazane jej przez Ranleya spowodowało, iż obiegli ją inni mężczyźni, przyzwyczajeni do małpowania każdego ruchu sławnego dramaturga. Panna Billingham miała naprawdę duże powodzenie. Poznała nawet pewnego sympatycznego młodzieńca, z którym odbyła miłą pogawędkę. Gdyby nie fakt, że ów młody człowiek nie mógł równać się z dopiero co przez nią poznanym Brutusem, być może dałaby mu się oczarować.

Verity, która nigdy nie narzekała na brak partnerów do tańca, po walcu z baronem była wprost rozrywana. Otoczyli ją szarmanccy młodzieńcy, wpisujący się do jej karnecika lub proponujący kieliszek ponczu.

Książe regent przybył na bal bardzo późno. Wszyscy ruszyli, aby złożyć mu ukłon, podczas gdy on królewskim krokiem przemierzał salę i krótkim skinieniem głowy witał zgromadzonych. Z biegiem lat stawał się coraz bardziej korpulentny, ale noszony przez niego fiszbinowy gorset i dobrze skrojony frak nadawały mu wygląd człowieka postawnego raczej niż otyłego. Wszyscy za-

uważali, jak książę zatrzymał się i przez jakiś czas rozmawiał z lordem Ranleyem. Ta oznaka królewskiej łaski nikogo specjalnie nie zdziwiła, gdyż wiadomo było powszechnie, że suweren jest wielkim mecenasem teatru i wielbicielem talentu Brutusa.

Po oficjalnym przywitaniu księcia tańce rozpoczęły się od nowa. Ranley podszedł do Verity, aby prosić ją do kolejnego walca. Natknął się jednak na Dorchestera, który poinformował go, że narzeczona jemu właśnie obiecała ten taniec. Brutusowi nie pozostało nic innego, jak skłonić się damie i odejść.

Verity z trudem znosiła obecność markiza. Widząc jego minę, mogła spodziewać się kolejnych wymówek, a na to absolutnie nie miała ochoty. Na szczęście gdy Dorchester poprosił ją do tańca, zagrano tak skoczną melodię — wymagającą częstej zmiany partnerów — że nie zdołali zamienić ze sobą słowa. Później otoczyło ją grono żarliwych wielbicieli i markiz mógł jedynie stać na uboczu, rzucając gniewne spojrzenia.

Kiedy Benbrookowie wrócili w końcu do domu, Verity natychmiast położyła się do łóżka. Mimo zmęczenia i późnej pory długo nie mogła zasnąć. Przypominała sobie szczegóły balu. "Nigdy jeszcze tak dobrze się nie bawiłam" — pomyślała. Rozpamiętywała z lubością swój taniec z Ranleyem, aż wreszcie zasnęła wyczerpana.

ROZDZIAŁ 15

Następnego dnia wieczorem w domu Benbrooków pojawił się Dorchester. Rodzice Verity powitali go entuzjastycznie, zapraszając do salonu, i natychmiast wysłali lokaja, aby sprowadził ich córkę.

— To był uroczy bal, czyż nie? — zapytała hrabina. — Dawno tak dobrze się nie bawiłam. Przypuszczam, że może stać się największym wydarzeniem sezonu.

Markiz grzecznie przytaknął, ale nie skomentował przyjęcia, jakie w nim wywoływało tylko niemiłe wspomnienia. Jego narzeczona tańczyła z każdym dandysem, który ją o to prosił, i zachowywała się tak, jak gdyby był to jej pierwszy bal, a ona sama w ogóle nie była zaręczona.

Lady Benbrook wciąż mówiła o przyjęciu, gdy w drzwiach zjawiła się Verity. Dorchester wstał.

— Dobry wieczór, Verity.

— Dobry wieczór, Geraldzie.

— Właśnie rozmawialiśmy o wczorajszym wieczorze, kochanie — rzekła hrabina. — Usiądź, proszę, obok Dorchestera.

Verity posłusznie zajęła miejsce na sofie obok narzeczonego. Zauważyła, że był w dość ponurym nastroju.

— Geraldzie, czy chciałbyś porozmawiać o waszym ślubie? — zapytała lady Benbrook.

— Dobry pomysł — odezwał się hrabia. — Przecież to już prawie za tydzień.

Verity skrzywiła się, ale nic nie powiedziała.

— Myślę, że wszystko jest już przygotowane — powiedziała hrabina. — To będzie szczęśliwy dzień. Moja kochana córeczka jako panna młoda! Poza tym cieszę się bardzo, że tu w Londynie zamieszkacie tak blisko nas.

Verity spojrzała na swego przyszłego męża i z niepokojem pomyślała o przyszłości, która malowała się jej w samych ciemnych barwach. Prawie nie słuchała, jak markiz opowiadał o ich nowej rezydencji w mieście, pochwyciła jednak jego ostatnie słowa:

— Niestety nie zostaniemy tutaj. Udamy się do Lancashire tak szybko, jak będzie to możliwe, może nawet zaraz po weselu. Muszę nadzorować przebudowę posiadłości Ridgewood. Oczywiście da się tam mieszkać, ale uważam, że dom jest trochę za mały. Dlatego postanowiłem budować jeszcze dodatkowe skrzydło.

— Nie zamierzasz chyba wyjeżdżać tak szybko z Londynu! — oburzyła się Verity. — Sezon jeszcze się nie skończył!

— Nic na to nie poradzę, musimy jechać — rzekł sucho markiz. — Zresztą masz jeszcze cały tydzień na przygotowania.

Verity z trudem powstrzymywała się od łez. Wiedziała, że w posiadłości Ridgewood, z dala od rodziny i przyjaciół, będzie bardzo nieszczęśliwa. Dorchester z pewnością wymyślił ów wyjazd tylko po to, żeby ją zdenerwować! Hrabina zauważyła wyraz twarzy córki i szybko zaczęła zachwalać rezydencję markiza. Obiecała też częste składanie im odwiedzin, mimo dzielącej ich odległości. Lord Benbrook przytaknął żonie i dodał, iż wiele lat temu polował w tamtejszych okolicach i bardzo dobrze je wspomina. Verity milczała posepnie, spoglądając spod oka na rodziców. Czyż nie rozumieją, że zgodziła się poślubić Geralda, ponieważ wyobrażała sobie, iż wszystko pozostanie jak dawniej? Spodziewała się zamieszkać w książęcej rezydencji Haverfordów, położonej w bliskim sąsiedztwie jej rodzinnego domu w Lancashire. Markiz zdecydował jednak o wszystkim sam, nie pytając jej nawet o zdanie.

— Wolałabym mieszkać w Haverfordzie — powiedziała — a poza tym nie chcę wyjeżdżać zaraz po weselu. Pragnęłabym zostać tu jeszcze kilka tygodni.

Dorchester odwrócił się i spojrzał na nią jak na krnąbrne dziecko.

— Obawiam się, że to niemożliwe, moja droga. Wszystko jest już przygotowane do wyjazdu.

Verity z trudem powstrzymała wybuch wściekłości. Nie chciała kłócić się z nim w obecności rodziców. Siedziała więc bez słowa, pogrążona w posepnych myślach. W pewnym momencie podjęła decyzję. "Za nic w świecie go nie poślubię" — pomyślała. Nie obchodziło ją, jak zareagują rodzice. Możliwe, że ją znienawidzą, ale nic i nikt nie zmusi jej do tego małżeństwa!

Hrabina zmieniła temat i konwersacja zeszła na inne tory. Po jakimś czasie markiz wyszedł, a państwo Benbrook spojrzeli na córkę z naganą.

— Powinnaś być trochę sympatyczniejsza dla swojego narzeczonego — surowo powiedziała hrabina.

— Ja jestem niemiła? — wykrzyknęła Verity. — To on jest nie do zniesienia! — Zamyśliła się przez moment. — Wiem, że będziecie bardzo źli — dodała — ale zdecydowałam jednak nigdy go nie poślubić.

Hrabia otworzył ze zdumienia usta.

— To szczyt wszystkiego! — wrzasnął.

— Verity — zaczęła lady Benbrook, chcąc przemówić córce do rozsądku. — Kłóciliśmy się już z powodu twojego małżeństwa wiele razy i doprawdy staje się to męczące. Obiecałaś, że poślubisz Geralda i tak też się stanie!

— Poślubię kogoś innego! Dlaczego, na Boga, tak uparliście się, żebym wyszła właśnie za Dorchestera?

— Ponieważ — zaczął tłumaczyć córce hrabia — sprawa ta została uzgodniona wiele lat temu. Kiedy byliście jeszcze małymi dziećmi, książe i ja doszliśmy do wniosku, że się pobierzecie. Poza tym wszystko jest już ustalone i przygotowane!

— Bardzo mi przykro, ale książe będzie musiał pozbyć się złudzeń, tato. Nic nie zmusi mnie do poślubienia Geralda. To moja ostateczna decyzja. Nie wyjdę za niego i już!

Twarz hrabiego spurpurowiała.

— Za późno na takie zabawy, moja panno! — wykrzyknął. — Zbyt długo ci pobłażałem, pozwalając robić wszystko, co ci się żywnie podobało. Zachowujesz się jak rozpieszczone dziecko! Nie zamierzam tego dłużej tolerować! Poślubisz markiza albo przestaniesz być moją córką! A teraz idź do swego pokoju i nie wychodź, dopóki nie zmądrzejesz!

Zaskoczona furią hrabiego Verity spojrzała na matkę, szukając u niej wsparcia, a kiedy ta nie odezwała się, zerwała się z sofy i pobięła do swojej sypialni. Nie poślubię go — przyrzekła sobie — nawet gdyby ojciec miał mnie wykląć! Przypomniała sobie słowa hrabiego i zrozumiała, że było to bardzo prawdopodobne. Skrzyżowała ramiona na piersi i zamyśliła się. Nie obchodziło ją, czy zostanie wydziedziczona czy nie. W razie potrzeby sama da sobie radę. W końcu ma przecież aż sto funtów! To dość duża suma. Z pewnością wystarczy jej na skromne życie przez kilka miesięcy. Mogłaby poza tym pisać sztuki i sama na siebie zarabiać. Pokiwała głową, utwierdzając się w słuszności swoich rozważań. Potem podeszła do biurka i otworzyła schowek, gdzie leżała sakiewka z pieniędzmi, jakie dał jej Hawkins. Wzięła ją do ręki i uśmiechnąwszy się zadzwoniła po Nell.

Kiedy służąca nadeszła, zastała swoją panią w garderobie, nerwowo przerzucającą ubrania w szafie.

— Boże, Nell, żadna z tych rzeczy się nie nadaje. Wszystko jest zbyt... modne.

— Nie rozumiem — zdziwiła się pokojówka. — Czy chciałabyś, pani, założyć coś niemodnego?

— Chcę wyglądać zwyczajnie, Nell. Tak, żeby nikt mnie nie poznał. Nie mogę zwracać na siebie uwagi.

Służąca zaniepokoiła się.

— Co zamierzasz zrobić, milady?

— Uciec z domu!

— O Boże! — wykrzyknęła Nell. — To nie może być prawda!

— Zapewniam cię, że tak — oświadczyła Verity, wciąż przeszukując ubrania. — Dlaczego zawsze nosiłam takie koszmarne kokardki, koronki i głupie świecidełka?

Pokojówka spojrzała na nią zmartwiona.

— Błagam cię, milady, usiądź. Jesteś bardzo zdenerwowana.

— Nic podobnego — powiedziała Verity. — Jestem zupełnie spokojna i wszystko dokładnie przemyślałam. Zdecydowałam, że nie poślubię lorda Dorchestera. To moje ostatnie słowo.

— Rozumiem — niepewnie bąknęła Nell.

— Rodzice powiedzieli mi, że jeśli za niego nie wyjdę, to zostanę wydziedziczona. Nie mam zamiaru mieszkać w domu z ojcem, który zachowuje się niczym średniowieczny tyran!

— Ależ jego lordowska mość na pewno nie zmusi cię, milady, do małżeństwa wbrew twojej woli — ośmieliła się zapewnić Nell. — Musiał być po prostu zdenerwowany.

— Nic nie rozumiesz — przerwała jej Verity. — Odkładam to małżeństwo już od dwóch lat. Mój ojciec stracił cierpliwość i nie mam do niego o to pretensji. Nie poślubię jednak kogoś, kogo sama nie wybrałam, a skoro moi rodzice nie chcą już, żebym z nimi mieszkała, nie mam wyboru — muszę odejść z domu. Nie będę prosić cię, byś mi towarzyszyła, Nell. To by było nieuczciwie.

— Ależ pani, nie możesz przecież uciec sama! — zdecydowanie oświadczyła Nell. — Uważam, że postępujesz bardzo nierozsądnie, ale skoro tak postanowiłaś — pójdę z tobą.

— Jesteś kochana! — ucieszyła się Verity, całując pokojówkę w policzek. — Z pewnością uważasz mnie za wariatkę, ale zapewniam cię, że nie mam wyjścia. Poza tym wcale nie jesteśmy biedne. Na razie możemy żyć z tych stu funtów od Hawkinsa, a później ja będę pisała nowe sztuki i jakoś damy sobie radę.

— Ale dokąd pojedziemy?

— Jeszcze dokładnie nie wiem, Nell — odparła Verity — ale mam kilka pomysłów. Teraz jednak musimy się pośpieszyć. Chcę wyjść z domu przed świtem.

— Przed świtem?!

— Tak. Im szybciej, tym lepiej. Muszę tylko znaleźć jakieś ubranie. Może znajdzie się coś na strychu, jak sądzisz?

— Nic tam nie ma, milady, oprócz starych ubrań, których lady Benbrook nie chciała wyrzucić.

— Idź i przynieś je. Ale uważaj, żeby cię nie zobaczono. I nikomu ani słowa!

— Oczywiście, milady — szepnęła pokojówka.

Nell natychmiast pobiegła na strych. Po drodze zastanawiała się, czy obie — ona i Verity — nie postradały jednak przypadkiem zmysłów.

ROZDZIAŁ 16

Opuszczając rezydencję Benbrooków, Nell miała wrażenie, że spełnią się jej wszystkie złe przeczucia. Już na wstępie powitała je fatalna wprost pogoda. Kiedy pędziły ulicą, gwałtowny wiatr przewiewał je na wskroś i usiłował zerwać z głów kapelusze. Deszcz mżył od rana, a co gorsza ołowiane niebo zapowiadało gwałtowną ulewę.

Obie młode kobiety niosły wypchane torby podróżne, które z każdym krokiem wydawały im się coraz cięższe. Po przejściu kilku przecznic Verity odezwała się:

— Jest tutaj. To dorożka, którą wynajęłam.

— Dzięki Bogu — mruknęła Nell. — Myślę, że nie uszłabym ani kroku dalej.

— Ani ja — dodała Verity, postawiwszy jedną z waliz na ziemi.

Skinęła na mężczyznę siedzącego na koźle.

— Prosiłam, by nie podjeżdżał pod sam dom, ponieważ bałam się, że ktoś zauważy bryczkę. Poza tym nie chcę, żeby woźnica wiedział, iż brał pasażerki z rezydencji Benbrooków. Musimy być bardzo ostrożne. Nikt nie może się domyśleć, kim jesteśmy.

— Tak, milady — przytaknęła Nell.

— Po pierwsze — cicho powiedziała Verity, widząc zbliżającego się woźnicę — nie mów do mnie "milady".

Zanim Nell zdążyła zapytać swoją panią, jak ma się teraz do niej zwracać, stanął przed nimi wysoki mężczyzna.

— Czy pani jest panią Trelawney? — zapytał.

— Tak, to ja.

Wziął torbę z rąk Verity.

— Proszę za mną, drogie panie.

Kiedy zasiadły już w bryczce, Nell poczuła się nieco lepiej.

— Pani Trelawney? — szepnęła.

Verity skinęła głową i cicho powiedziała:

— To dobre nazwisko, nie sądzisz? Namęczyłam się okropnie, nim je wymyśliłam. Wcale niełatwo jest wybrać sobie nazwisko. Myślę, że Trelawney brzmi miło i nieco romantycznie. Ale jak ty się będziesz nazywać?

— Czy nie mogę pozostać Nell, milady, to jest pani Trelawney.

— Tak, imienia nie trzeba zmieniać, ale powinniśmy znaleźć dla ciebie nowe nazwisko.

Masz jakiś pomysł?

Nell zamyśliła się.

— Nie byłam na to przygotowana. Muszę się zastanowić.

Verity uśmiechnęła się, a Nell zmarszczyła czoło, próbując wpaść na jakiś pomysł.

Bryczka przejechała przez kilka ulic i zatrzymała się przy zajeździe „Pod Białym Niedźwiedziem”. Była to karczma dla podróżnych, ciesząca się dobrą reputacją, a zarazem stacja końcowa dylizansów z całego królestwa. Padał rześisty deszcz, lecz mimo wczesnej pory kręciło się tam wiele osób kupujących bilety i oczekujących na odjazd. Dorożkarz pomógł wsiąść swym pasażerom i zaprowadził je do środka.

— Czy mam kupić bilety, proszę pani? — spytał.

Skinąwszy głową Verity wyjęła z sakiewki kilka monet.

— Och, to ładnie z pańskiej strony — rzekła.

— Pewnie chce pani bilety na dylizans do Truro, prawda? Będzie tu niedługo.

Verity nie była pewna, gdzie mają jechać. Zamyśliła się przez moment. Przypominała sobie niejasno, że Truro jest małym miastem gdzieś w Kornwalii.

— Tak, o niego mi właśnie chodzi. Skąd pan wiedział?

— Cóż, po prostu zgadłem. Ma pani dobre, kornwalijskie nazwisko. Poza tym ten dylizans odjeżdża już za kilka chwil i...

— Będę bardzo wdzięczna, jeżeli kupi pan dla nas bilety — ucięła Verity, nie mając najmniejszej ochoty na dalszą dyskusję o kornwalijskich nazwiskach.

Dorożkarz skłonił się i odszedł.

— Kornwalia? — zapytała Nell. — To chyba strasznie daleko.

— Nie dalej niż Lancashire, Nell. Zresztą dla nas to świetne miejsce. Nikt nie będzie podejrzewał, że tam właśnie pojechałyśmy. Nie znam w tym mieście co prawda nikogo, ale damy sobie jakoś radę. Na szczęście dylizans zaraz wyrusza. Jak na razie wszystko dobrze się składa.

Nell spojrzała z niepokojem na swoją panią. Zastanawiała się, czy nie można by jeszcze wycofać się z tej niesamowitej podróży. Wyjazd do tak dzikiego miejsca jak Kornwalia wydawał się jej szaleństwem, tym bardziej, że żadna z nich nie wiedziała, gdzie zamieszkają ani co tam będą robić. Verity uśmiechnęła się, jak zwykle pewna siebie, rozpraszając nieco wątpliwości pokojówki.

Po pewnym czasie ich bagaże były już ustawione na dachu olbrzymiego dylizansu, a Verity i Nell znajdowały się w obszernym powozie. Tak zaczęła się niezwykła przygoda, pierwsza przygoda w ich życiu!

Verity uśmiechała się przyjaźnie do osób siedzących w dylizansie. Naprzeciwko niej zajął miejsce modnie ubrany młodzieniec o skwaszonej minie oraz atrakcyjna kobieta w fioletowej peli-

się i starszy mężczyzna. Obok Nell zasiadł jakiś otyły jegomość o czerwonej twarzy, który jowialnie wszystkich powitał, życząc miłej podróży. Kiedy nikt mu nie odpowiedział, zamilkł speszony.

Dylichans ruszył chybotliwie i po chwili jechali już ulicami Londynu. Verity cieszyła się, że siedzi przy oknie. Mogła przyglądać się mijanym sklepom, których większość była jeszcze zamknięta, i spokojnie oddać się rozmyślaniom. Miała nadzieję, że wygląda wystarczająco przeciętnie. Ubrana była w zwykłą czarną sukienkę i ciężki płaszcz z szarej wełny. Na głowę założyła prosty beret, którego jedyną ozdobę stanowił kawałek szarej, satynowej wstążki.

Pasażerowie dylichansu jechali jakiś czas w milczeniu, lecz kiedy dotarli na rogatki metropolii, mężczyzna siedzący obok Nell przerwał panującą ciszę.

— Może przedstawimy się sobie? — zaproponował. — Spędzimy razem najbliższe dwa dni, miło byłoby się więc poznać.

Ponury młodzieniec rzucił mu niechętne spojrzenie, wyraźnie niezadowolony, że nie uda mu się dłużej zachować swej anonimowości.

— Nazywam się Martin Prescott — kontynuował zażywny jegomość.

— Miło nam, panie Prescott — odezwała się z uśmiechem dama w fioletowej pelisie. — Ja jestem pani Baldwin, a oto mój mąż i jego syn, Richard.

— Jestem zaszczycony — ukłonił się pan Prescott.

Teraz wszyscy spojrzeli wyczekująco na Verity i Nell.

— Nazywam się Trelawney, a to jest panna Reynolds. — Verity miała nadzieję, że Nell spodoba się nazwisko, jakie jej nadała.

Towarzyski pan Prescott był uszczęśliwiony, iż udało mu się nawiązać rozmowę.

— Z pewnością ta długa podróż wyda mi się bardzo krótka w towarzystwie trzech tak pięknych dam. Nie mogę wprost uwierzyć we własne szczęście!

Kobiety przyjęły komplement z uśmiechem, zaś młody Richard Baldwin spojrział na grubasa z wyrazem najwyższej pogardy.

— Czy jest pani może spokrewniona z Trelawneyami z Newquay? — zapytała pani Baldwin, uśmiechając się do Verity. — Znam pana Thomasa Trelawney.

— Mój zmarły mąż mógł być z nim daleko spokrewniony — odpowiedziała Verity — ale nie znam jego rodziny. Nigdy przedtem nie byłam w Kornwalii, nie miałam więc okazji jej poznać.

— Moje kondolencje z powodu śmierci męża, pani Trelawney — odezwał się pan Prescott.

— Dziękuję — odparła cicho Verity, przyjmując odpowiednio tragiczny wyraz twarzy.

Nell słuchała swej pani z rosnącym podziwem. Jak łatwo przyszło jej mówić o fikcyjnym mężu! Oczywiście Verity była pisarką i miała bujną fantazję.

— Czy jedzie pani do Kornwalii odwiedzić rodzinę zmarłego męża, pani Trelawney? — zapytała pani Baldwin.

— Nie chciałabym im się narzucać. Poza tym oni nie akceptowali naszego małżeństwa.

Ku wielkiemu zadowoleniu Verity jej słowa wzbudziły wyraźne zainteresowanie podróżnych.

— To dlatego, że nigdy pani nie widzieli, pani Trelawney — wtrącił pan Prescott. — Gdyby panią poznali, z radością przyjęliby do rodziny tak wspaniałą młodą damę.

— Jest pan bardzo miły — rzekła z uśmiechem.

— Rodziny potrafią być kłopotliwe — westchnęła pani Baldwin, rzucając znaczące spojrzenie na swego pasierba. — Trudno jest wszystkich zadowolić.

Verity pokiwała głową.

— Ma pani rację, pani Baldwin.

Mimo że podobała jej się rola młodej wdowy, Verity doszła do wniosku, że bezpieczniej będzie jednak skierować konwersację na inne tematy. Zapytała więc panią Baldwin, czy na stałe mieszka w Kornwalii. Następne kilka minut poświęcone było omawianiu zalet tego regionu. Potem przyszła kolej na pana Prescotta, który opowiedział ze szczegółami o prowadzonych przez siebie interesach. Wkrótce pasażerowie wiedzieli o nim prawie wszystko, jak gdyby był jednym z ich najbliższych przyjaciół. Młody Richard Baldwin krzywił się z niesmakiem słuchając jego opowieści, po czym zapadł w sen.

Dyliżans zatrzymał się, aby zmienić konie i pasażerowie mieli okazję odświeżenia się w przydrożnym zajeździe. Miasto, w którym się znaleźli, położone było w ładnej okolicy pełnej soczystej zieleni.

Verity poczuła się jak nowo narodzona. „To było jedyne rozsądne wyjście” — pomyślała. Nareszcie uwolniła się od czekającej ją perspektywy nieudanego małżeństwa z Dorchesterem. Usilnie starała się tylko nie myśleć o rodzicach. Ucieszyła się więc bardzo, kiedy podszedł pan Prescott, aby odprowadzić ją i Nell do dyliżansu.

Hrabia Benbrook został wyrwany ze snu o godzinie dziesiątej, co było dla niego porą bardzo wczesną. Burknął na lokaja, żądając wyjaśnienia, jakież to ważny powód sprawił, że ośmielono się go obudzić. Usłyszawszy odpowiedź służącego, zerwał się na równe nogi.

— Co masz na myśli mówiąc, że lady Verity wyszła?! — krzyknął.

— Zniknęła, lordzie. Nell Dawson też. Szukaliśmy wszędzie. Nikt ich nie widział. Spostrzeżyliśmy, że ich nie ma dopiero rano, kiedy Nell nie pojawiła się w pokoju służby. Jedna ze służących znalazła ten list do waszej lordowskiej mości.

— Dobry Boże! — jęknął hrabia, biorąc kopertę z rąk lokaja.

Benbrook przeczytał uważnie wiadomość pozostawioną przez córkę.

— Czy lady Benbrook już wie, Weeks? — spytał.

Lokaj zaprzeczył.

— Sądziłem, że lepiej będzie poinformować najpierw waszą lordowską mość.

— Słusznie — odparł hrabia, ponownie czytając list. Verity pisała:

„Drodzy Rodzice,

wiem, że będziecie na mnie okropnie źli. Nie mam do was żalu. Niestety nie mogłam znieść wizji małżeństwa z Geraldem. Nie kocham go i jestem pewna, że byłabym z nim bardzo nieszczęśliwa. On też nie znalazłby przy mnie szczęścia. Dlatego odeszłam. Nie mogę napisać wam dokąd jadę, gdyż sama nie jestem jeszcze co do tego zdecydowana. Nell jest ze mną, ale nie wińcie jej o nic. Usiłowała powstrzymać mnie od podjęcia tak drastycznej decyzji. Nie martwcie się o mnie. Dam sobie radę. Mam środki na skromne życie. Napiszę do was za jakiś czas i poinformuję, gdzie jestem. Błagam, nie żywcie do mnie nienawiści.

Wasza nieposłuszna, lecz kochająca córka Verity.”

Wstając z łóżka, hrabia wrzasnął na lokaja, aby przysłał mu czym prędzej kamerdynera. Ubrał się w pośpiechu i wezwał kilku służących, chcąc natychmiast rozpocząć poszukiwania. Zamieszanie to zbudziło hrabinę, która zeszła na dół w peniuarze, by sprawdzić, co się dzieje. Kiedy usłyszała nowinę, wpadła w histerię. Osunęła się na sofę, a jej pokojówka Antoinette popędziła po sole trzeźwiące. Odzyskawszy przytomność wybuchnęła płaczem. Lamentowała, że Verity na pewno coś się stało. Zarzucała mężowi, iż jest potworem, który zmusił córkę do ucieczki z domu. Zachowanie żony nie wpłynęło bynajmniej na poprawę humoru jego lordowskiej mości. Kazał jej zapanować nad sobą i wysłał służących do miasta, aby spróbowali się czegoś dowiedzieć. Nie mogąc usiedzieć na miejscu, polecił zaprzęgać i sam również wybrał się na poszukiwania.

Po wyjściu męża lady Benbrook niespokojnie chodziła po domu. Mimo zapewnień Antoinette, że Verity nie mogła uciec daleko, hrabina była coraz bardziej zrozpaczona. Znała swoją córkę i zdawała sobie sprawę, iż jest ona zdolna do wszystkiego. Jeśli zdecydowała się wyjechać do jakiegoś odległego miejsca, prawdopodobnie znajdowała się już w innej części królestwa. Lady Benbrook nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Czas mijał bardzo wolno. Hrabina była zbyt zdenerwowana, by jeść śniadanie. Wciąż krążyła po pokojach, zamartwiając się o swą upartą latorośl. Kiedy uspokoiła się nieco, zaczęła się zastanawiać, czy aby Verity nie zwierzyła się komuś ze swoich planów. Pomyślała o Karolinie Bil-

lingham i zdecydowała się złożyć jej wizytę. Wkrótce pojawiła się w towarzystwie Antoinette u drzwi rezydencji Billinghamów.

Karolina była nieco zaskoczona przybyciem lady Benbrook o tak wczesnej porze, lecz niezwłocznie zeszła do salonu. Ujrawszy wyraz twarzy hrabiny od razu zorientowała się, że coś nie jest w porządku.

— Co się stało, lady Benbrook? — spytała zaniepokojona.

— Droga Karolino, coś przerażającego. Verity zniknęła!

— Jak to?

— Niestety to prawda. Zostawiła nam list, ale nie mamy pojęcia, dokąd mogła się udać. Tak bardzo się martwię.

— To straszne, lady Benbrook. Dlaczego uciekła z domu?

Hrabina zmarszczyła brwi.

— Och, Karolino, na pewno wiesz, jak bardzo nie chciała poślubić Dorchestera. Z tego powodu nas opuściła. Miałam nadzieję, że może ty będziesz wiedziała, gdzie pojechała. Jesteś przecież jej najlepszą przyjaciółką. Nic do ciebie nie napisała?

Karolina zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie, nie miałam od niej żadnych wiadomości.

Błagam, niech pani usiądzie. Jest pani zdenerwowana. Może herbaty?

— Tak, poproszę.

Panna Billingham zadzwoniła na służbę i po wydaniu dyspozycji usiadła obok hrabiny.

— A jeśli Verity wróci? Może to tylko jakiś dowcip?

— Oberwałabym jej uszy, gdyby tak było — surowo odparła hrabina. — Nie, nie sędzę. Sprawa jest bardzo poważna. Zostawiła wiadomość, że wyjeżdża i ma środki na życie. Nie wiem, skąd je wzięła. Czyżby zabrała ze sobą biżuterię? O Boże, ona chyba nie zamierza sprzedawać swojej biżuterii?!

— Nie mam pojęcia — odparła Karolina.

W pewnym momencie coś się jej przypomniało.

— A może Verity nie wyjechała sama? — zapytała.

— Zabrała ze sobą Nell Dawson.

— Mam na myśli coś innego, lady Benbrook.

— A co mianowicie? — zirytowała się hrabina.

Karolina spurpurowiała.

— Pomyślałam, że mogła uciec z jakimś mężczyzną.

Lady Benbrook otworzyła szeroko oczy.

— Z mężczyzną? To absurd, panno Billingham.

— Przepraszam za moje podejrzenia — tłumaczyła się dziewczyna — ale po balu u księżniczki de la Bretonne brat powtórzył mi plotkę, którą słyszałam na temat Verity. Nie będę już o tym mówić.

— Powiedz mi natychmiast, co to za plotka! — rozkazała lady Benbrook tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Karolina zmarszczyła czoło.

— Ktoś powiedział, że widział Verity z pewnym mężczyzną. Uznałabym to za kompletne brednie, ale poznałam owego dżentelmena na balu i widziałam, jak na nią patrzył. Nie wątpię też, iż moja przyjaciółka jest w nim zakochana.

— Co za bzdury! O kim ty w ogóle mówisz?

Karolina zawahała się.

— O lordzie Ranleyu.

Hrabina zamilkła, jak rażona piorunem.

— Och, proszę się zbytnio nie przejmować. To przecież tylko plotki.

Hrabina podniosła się.

— Otóż właśnie. Teraz muszę już iść, Karolino. I błagam cię, nie mów o tym nikomu.

— Nic nie powiem, lady Benbrook. Jeżeli Verity się odnajdzie, proszę dać mi znać, dobrze?

Hrabina skinęła głową i wyszła. Wsiadła wraz z pokojówką do powozu i szybko odjechała.

Ranley siedział przy biurku w bibliotece i przeglądał swój rękopis. Po chwili odłożył go, na bok. Był z siebie bardzo zadowolony. Ukończył właśnie nową sztukę, którą uważał za znakomitą. W jego komedii, a właściwie farsie, występowała cała czereda zabawnych postaci, a główna bohaterka miała wiele cech wspólnych z lady Verity de Lacy. „A może po prostu wszystko już przypomina mi Verity”, zastanowił się baron.

Wstał z krzesła i podszedł do okna. Tak, zdecydowanie za dużo czasu spędzał na rozmyśleniach o tej dziewczynie. Czyżby zakochał się w takiej dzierlatce? To niemożliwe — tłumaczył sam sobie — nie zachowuję się jak ktoś, kto jest zakochany. Wręcz przeciwnie. Bardzo intensywnie ostatnio pracowałem. Mimo to nie mógł zaprzeczyć, że rzadko kiedy jego myśli nie krążyły wokół Verity.

Rozważania barona przerwało pojawienie się przed jego domem eleganckiego powozu. Ku swemu zdumieniu Ranley rozpoznał wysiadającego z niego lorda Benbrooka. Ponieważ zostawił służbie wyraźne instrukcje, aby nikogo tego dnia nie wpuszczać, baron wyszedł z biblioteki i pośpieszył do holu.

— Przyjmę tego dżentelmena, Huntley. Będę w salonie — poinformował lokaja, który miał właśnie otworzyć drzwi.

— Dobrze, milordzie — odparł Huntley.

— Czy jest lord Ranley? — zapytał hrabia gniewnym głosem. — Nazywam się lord Benbrook.

— Tak, milordzie. Proszę za mną.

Hrabia poczuł się nieswojo, wchodząc do eleganckiego salonu Ranleya.

— Lordzie Benbrook — odezwał się Brutus — gościć pana to wielki dla mnie honor.

— Czyżby? — odburknął hrabia i rozejrzał się po pokoju. — Wydaje mi się, że przyszedłem tu na darmo. Mówiłem żonie, że to absurd.

Ranley uniósł brwi.

— Byłbym wdzięczny, gdyby objaśnił mi pan, lordzie, co jest wspomnianym absurdem — zwrócił się do Benbrooka.

— Nie lubię opowiadać obcym o swoich kłopotach rodzinnych — odparł z zażenowaniem hrabia. — Raczy pan wybaczyć, nie będę zabierał panu więcej czasu.

— Lordzie Benbrook — rzekł baron — bardzo proszę, niech mi pan wytłumaczy, o co chodzi. Nie zamierza pan chyba wyjść, nie mówiąc mi, co pana do mnie sprowadziło.

Hrabia skrzywił się.

— No dobrze, ale muszę mieć pańskie słowo, że zachowa pan to w sekrecie.

— Oczywiście — przyrzekł Ranley.

Zachowanie gościa zaczynało go niepokoić. Czyżby coś się stało Verity?

— Proszę usiąść, lordzie, i powiedzcie mi, co się stało — rzekł po chwili baron, maskując swoją ciekawość oziębłą uprzejmością. — A może napije się pan sherry?

— Bardzo chętnie — zgodził się Benbrook.

Ranley podał mu kieliszek. Hrabia wypił trunek jednym haustem.

— Nie będę siadał — oświadczył. — Muszę zaraz wracać. Wiem, że zna pan moją córkę.

— Tak. Miałem zaszczyt ją poznać.

— Uciekła z domu.

— Uciekła?!

— Tak. Dziś rano. Zostawiła list, w którym napisała, że nie poślubi Dorchestera. Mój Boże! To najlepsza partia w całej Anglii! Nie ma dziewczyny, która by nie chciała być na jej miejscu!

— Ale gdzie ona teraz jest? — przerwał mu Ranley. — Musi się pan chyba domyślać?

Benbrook zaprzeczył ruchem głowy.

— Może pojechała do Lancashire? Wysłałem tam swojego człowieka.

— Drogi lordzie — powiedział baron — byłbym szczęśliwy mogąc jakoś pomóc w poszukiwaniach pańskiej córki. Czy prośba o tę drobną przysługę była celem pana wizyty?

Benbrook uśmiechnął się.

— Niezupełnie. Pojawiłem się w pańskim domu z innego powodu. Widzi pan, moja żona zasłyszała gdzieś w mieście pogłoskę, że pan i moja córka jesteście... No cóż. Ktoś po prostu zasugerował, iż pan z nią uciekł!

— Dobry Boże! — wykrzyknął Ranley. — Co za bzdury! Lady Verity uznałaby to niewątpliwie za oburzające pomówienie. Nie znamy się dobrze. Poza tym pańska córka wyraźnie dała mi do zrozumienia, że nie jest mną w ogóle zainteresowana.

— Przykro mi, iż pana niepokoiłem. Proszę mi wybaczyć. Trwoga o córkę sprawiła, że zrobiłem z siebie głupca. Jeszcze raz przepraszam. — Benbrook skłonił się i wyszedł.

Baron nie mógł ochłonąć z oszołomienia. A więc Verity uciekła! To jest w jej stylu, powiedział do siebie. Była najbardziej upartą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. I pomyśleć, że lord Benbrook podejrzewał go o porwanie córki! Cóż za nedorzecznosc!

Zamknął oczy i wyobraził sobie, iż uprowadza Verity de Lacy do swej posiadłości w Gretna Green. Wizja podróży sam na sam z piękną panną wcale nie wydawała mu się odstręczająca. Oczyma duszy ujrzał już, jak wjeżdżają do jakiegoś zajazdu na uboczu, gdzie prowadzi ją do środka, aby obsypać jej zmysłowe usta tysiędem pocałunków. Widział jej niebieskie oczy, kruczoczarne włosy rozrzucone na poduszce, suknię w nieładzie i ponętne ciało oczekujące rozkoszy.

Z pewną trudnością baron powstrzymał wodze swej wybujałej wyobraźni. Cóż z niego za mężczyzna! Siedzi beczynn timer, oddając się marzeniom, podczas gdy Verity tuła się gdzieś i być może ma poważne kłopoty! Po chwili jednak pocieszył się myślą, że Verity de Lacy da sobie radę w każdych okolicznościach.

ROZDZIAŁ 17

Drugiego dnia podróży pogoda nadal była brzydka. Padał rześisty deszcz. Dyliżans jechał teraz wąskimi, rozmokłymi drogami. Dobry nastrój pasażerów gdzieś prysnął. Jedyne Verity, wciąż podekscytowana przygodą i własną śmiałością, nic sobie nie robiła z ulewy. Dzielnie znosząc ciągle wstrząsy i chybotania powozu, wesoło gaworzyła z panią Baldwin i panem Prescottem.

Nell znacznie mniej entuzjastycznie odnosiła się do całej tej eskapady przez zachodnią Anglię. Będąc rozważną osobą martwiła się cały czas, co poczną, kiedy wreszcie dotrą do Kornwalii. Verity natomiast sprawiała wrażenie, że tak banalne sprawy jak to, gdzie zamieszkają i jak będą dalej żyły zupełnie ją nie obchodzą. Nell zazdrościła jej wiary, że wszystko dobrze się ułoży.

Był wczesny ranek, kiedy dyliżans wjechał do kornwalijskiego miasteczka Truro. Verity wyrzła przez okno, chcąc jak najszybciej ujrzeć choć fragment miejsca ich przeznaczenia. Łało jak z cebra i wybrukowane ulice były opustoszałe. Wszyscy mieszkańcy skryli się przed ulewą. Dziewczyna z zainteresowaniem przyglądała się schludnym domom i sklepom. Truro wydało się jej czarującym, malowniczo położonym miastem, zamieszkanym przez zamożnych ludzi. Wypełniło ją uczucie błogości i spokoju, jakby przyniosła ją tu życzliwa opatrzność.

Dyliżans zajeżdżał przed gospodę „Pod Czarnym Łabędziem” i pasażerowie znacznie się ożywili. Pani Baldwin zarekomendowała ten właśnie zajazd jako przyzwoite miejsce, w którym bez obaw można się zatrzymać. Zaproponowała też Verity i Nell, aby zamieszkały przez jakiś czas u niej, ale dziewczęta nie chciały narzucać się nowej znajomej. Obiecały jej jednak, że w razie gdyby miały jakiegokolwiek kłopoty, natychmiast ją odwiedzą. Państwo Baldwin odprowadzili je do zajazdu, chcąc dopilnować, aby dostały odpowiednie zakwaterowanie. Verity pożegnała się z nimi, dziękując za pomoc i obiecując złożyć im przy najbliższej okazji wizytę. Z przykrością rozstawała się z Baldwinami, choć z drugiej strony cieszyła się, że nie będzie już musiała patrzeć dłużej na niesympatycznego Richarda.

Kiedy znalazły się wreszcie w swoich pokojach, Verity zdjęła kapelusz i rzuciła go na łóżko.

— Jesteśmy na miejscu, Nell. W Kornwalii. Kto by się tego spodziewał?

— Chyba nikt, milady — odparła Nell.

— Zaklinam cię, nie mów do mnie "milady" — jęknęła Verity.

— Przepraszam.

— Kornwalia jest bardzo piękna, prawda? Wiedziałam, że nam się tu spodoba.

— Ale gdzie będziemy mieszkać?

Verity wzruszyła ramionami.

— Och, Nell, nie ma się o co martwić. Zostaniemy tutaj dopóty, dopóki nie znajdziemy jakiegoś małego, miłego domku. Sądzę, że to nie będzie trudne. Pieniądzy starczy nam na długo. A potem napiszę nową sztukę i wyślę ją panu Hawkinsowi. Zobaczysz, będzie nam się dobrze powodzić.

Nell, która lepiej trochę znała życie niż jej pani, nie potrafiła być taką optymistką. Nie powiedziała jednak nic, tylko pokiwała głową.

— Tak, to ładne miasto, pani Trelawney.

— Zgadza się z panią, panno Reynolds — zaśmiała się Verity. — A teraz odpocznijmy trochę, Nell. To była męcząca podróż. Szczególnie wyczerpały mnie niekończące się opowieści pana Prescottta. Wstaniemy za jakiś czas i pójdziemy coś przekąsić. Jestem strasznie głodna.

— Nie będzie już pani niczego potrzebować, pani Trelawney?

— Nie, dziękuję. Napiszę teraz list do rodziców — odparła Verity. — Muszę znaleźć jakiś sposób, by wysłać go z innego miasta. Nie chcę, żeby znaczek pocztowy zdradził miejsce naszego pobytu. To chyba nie będzie trudne. Tylu jest podróżnych udających się do Londynu. Coś wymyślę. A teraz odpocznij, Nell. Wiem, jaka jesteś zmęczona.

Pokojówka skinęła głową i udała się do przyległego pokoju, gdzie położyła się na łóżku i natychmiast zasnęła.

Dwie godziny później dziewczęta zeszły na dół, by zjeść obiad. Zajazd „Pod Czarnym Łabędziem” nie był specjalnie zatłoczony. W obszernej sali siedziała jedynie mała grupka osób, spożywająca skromny, acz obfity posiłek. Karczmarz, poproszony przez Baldwinów o opiekę nad Nell i Verity, okazał się bardzo troskliwy i zaproponował im najlepszy stół — przy kominku. Postawiono przed nimi dymiącą pieczeń wołową, kartofle i piwo. Humor Nell znacznie się poprawił. Obie były bardzo głodne, więc od razu zabrały się do jedzenia.

— Widzisz, Nell, nie jest wcale tak źle — powiedziała Verity, krojąc mięso. — Ten zajazd jest zupełnie miły. Możemy tu zostać, dopóki nie znajdziemy czegoś innego.

— Bardzo mi się tu podoba, pani Trelawney. Nasz zajazd jest o niebo lepszy od tych, w których zatrzymywaliśmy się po drodze do Londynu.

Verity przypomniawszy sobie niewygody, jakie musieli znosić w tamtej podróży. Obie wybuchnęły śmiechem na wspomnienie karaluchów i gburowatej obsługi. Nagle ich rozmowę przerwał czyjś przerażający krzyk:

— Ty nikczemniku! Przeszyję cię na wylot!

Verity i Nell obejrzały się i spostrzegły dwóch mężczyzn, stojących na środku sali. Mieli na sobie dziwne kolorowe kostiumy. Omal nie krzyknęły, kiedy zorientowały się, że obaj byli uzbrojeni w szpady.

— Zbliż się i walcz, ty tchórze! — zawołał jeden z nich, krzepki młodzieniec o rudych włosach i zaczerwienionej twarzy.

— Stanę do walki i niedługo nie będziesz już męczył świata swoją obecnością, mój panie! — ryknął drugi, olbrzymi blondyn o nordyckich rysach, mówiący z wyraźnym niemieckim akcentem.

Po chwili przeciwnicy rzucili się z furją na siebie. Dał się słyszeć metaliczny szczęk broni. Verity nie wiedziała, co robić, Nell natomiast zaczęła głośno krzyczeć. Mężczyźni wciąż walczyli, przepychając się to w przód, to w tył. W pewnym momencie jasnowłosego siłacza wskoczył na stół. Stał w wojowniczej pozycji, rzucając groźne spojrzenie swemu wrogowi. Dramatycznym gestem uniósł miecz i zawołał:

— Śmierć tyranom! Niech żyje książę Odo!

Po tych słowach zeskoczył na ziemię i jednym pchnięciem przeszył ciało krzepkiego młodzieńca.

— Umieram! — jęknął ranny. — Umieram!

Nell krzyknęła przeraźliwie. Zabity młodzieniec leżał na podłodze. Sprawca ohydnych czynów wymachiwał triumfalnie mieczem i krzyczał:

— Tak giną zdrajcy i wszyscy, którzy porzucili swego księcia. Dopełniła się zemsta! Bitwa wygrana!

Ludzie zebrani w zajeździe zaczęli głośno klaskać.

— Nell, ale z ciebie głuptas — zaśmiała się Verity. — Przecież to tylko przedstawienie!

Zamordowany przed chwilą młodzieniec skoczył na równe nogi i skłonił się publiczności. Nell odetchnęła z ulgą.

— Doskonale! Doskonale! — wykrzyknął jakiś jegomość w średnim wieku, podnosząc się z krzesła i podchodząc do młodych mężczyzn.

Poklepał ich po plecach, po czym zwrócił się do wszystkich obecnych:

— Panowie i panie, proszę nie zapominać, że nasz zespół wystawi tę sztukę w waszym pięknym mieście!

Kilka osób pokiwało głowami, a ich zachwycone miny zdawały się gwarantować, że nie ominą tak wspaniałego przedstawienia. Aktorzy uklonili się i skierowali swe kroki ku stołom. Miłując Verity i Nell, najstarszy z nich zatrzymał się na moment.

— Prosimy panie o wybaczenie, gdyż najwyraźniej je przestraszyliśmy — rzekł łagodnie.

Verity uśmiechnęła się.

— Rzeczywiście. Mógł pan uprzedzić, że to będzie przedstawienie — powiedziała.

— To prawda — wtrąciła Nell. — Omal nie umarłam ze strachu.

Jasnowłosy aktor był wyraźnie speszony.

— Błagam o przebaczenie. — Słowa te wypowiedział z taką skruchą, iż Nell nie pozostało nic innego, jak tylko pocieszyć go, że nic się nie stało.

— Obaj jesteście znakomitymi aktorami — powiedziała Verity. — Bardzo mi się podobała wasza gra.

— Jest pani zbyt łaskawa — odezwał się najstarszy z nich. — Panie pozwolą, że się przedstawię. Nazywam się Josiah Mumford, do usług, a oto mój syn — wskazał na krzepkiego młodzieńca — i pan von Hoffman.

Blondyn skłonił się głęboko.

— Wasz uniżony sługa, drogie panie.

— Nazywam się Trelawney — rzekła Verity z uśmiechem. — A to panna Reynolds.

— To wielki zaszczyt spotkać tak czarujące młode damy — powiedział uroczyście Mumford.

— Może panowie usiądą przy naszym stole? — zaproponowała Verity.

Nell spojrzała na swoją panią ze zdziwieniem. Verity zachowywała się tak, jakby zapraszanie obcych mężczyzn do stołu było rzeczą jak najbardziej naturalną.

— To miło z pani strony, pani Trelawney.

Wszyscy trzej aktorzy zajęli miejsca. Von Hoffman usiadł obok Nell i nie spuszczał z niej oka.

Verity z zainteresowaniem słuchała Mumforda. Był to postawny mężczyzna około czterdziestki, o rudych, siwiejących na skroniach włosach i szerokim, przyjacielskim uśmiechu. Z natury gadatliwy nie potrzebował specjalnej zachęty, aby zacząć o sobie opowiadać. Poinformował je, że jest kierownikiem objazdowej trupy aktorskiej, dorównującej, jak twierdził, każdemu zespołowi, jaki kiedykolwiek wystąpił w Covent Garden, Drury Lane czy Teatrze Królewskim. Opowiedział im też o talencie swego syna, Harolda, który już jako dziecko był fenomenem, a obecnie, w wieku lat szesnastu, prezentował wciąż rozwijające się umiejętności aktorskie. Następnie obsypał komplementami von Hoffmana, przedstawiając go jako prawie tak uzdolnionego, jak wspomniały Harold.

— To wielkie szczęście — rzekł Mumford — że niemiłe doświadczenia z armii pruskiej zachęciły mojego przyjaciela do porzucenia kariery wojskowej i przybycia do Anglii. Taki wspomniały aktor to kolosalna zdobycz dla teatru brytyjskiego. Myślę, że zrobi niedługo oszałamiającą karierę.

Von Hoffman pokiwał w milczeniu głową.

— Życzę wielu sukcesów w Kornwalii — zdążyła wtrącić Verity, gdy Mumford przerwał na chwilę swój monolog.

— Dziękujemy, pani Trelawney. Mam nadzieję, iż mimo różnych trudności, jakie nas spotkały, uda się nam usatysfakcjonować publiczność.

— Trudności? — zaciekała się Verity.

— Tak, pani. Otóż dwie osoby z naszego zespołu zbiegły potajemnie jakieś dwa dni temu. Na nieszczęście była to nasza najlepsza aktorka i jeden z głównych aktorów. Mam teraz wielką lukę w zespole.

— Uciekli oczywiście razem — odezwał się po raz pierwszy Harold. — Do tego wszystkiego on jest żonaty! — dodał z niesmakiem.

— Haroldzie — zganił go ojciec — nie powinieneś publicznie opowiadać plotek.

— Ależ to szczerą prawdą, ojciec — usprawiedliwiał się młodzieniec.

— To był dla nas prawdziwy szok, jak może sobie pani wyobrazić — rzekł Mumford, zwracając się do Verity.

— Z pewnością — wtrąciła, z trudem powstrzymując się od śmiechu na widok oburzonej miny Harolda.

— Jak już powiedziałem ojcu — odezwał się młodzieniec — mogę wziąć na siebie wszystkie role pana Willisona. Nie wiem tylko, kto teraz zastąpi panią Carrington.

— Porozmawiamy o tym później — z niechęcią odparł Mumford. — Prosiłbym cię też, żebyś nie wymieniał nazwiska tej pani. Cóż, jakoś damy sobie radę. Panna Pattigrew może przecież z łatwością zagrać role pozostawione przez damę, imienia której nie wymienię ze względu na czystą przyzwoitość.

Verity zauważyła, jak von Hoffman przewrócił oczami, dając w ten sposób do zrozumienia, że wspomniana panna Pattigrew nie jest najlepszym zastępstwem zbiegłej aktorki.

— Kiedy pracuje się w teatrze, drogie panie — ciągnął Mumford — człowiek przyzwyczaja się do podobnych zdarzeń. Pamiętam pewną historię sprzed kilku lat. Odbywaliśmy wtedy tournée na północy kraju. Nasz główny aktor, jakby to powiedzieć, utracił swe zdolności na skutek nadużycia alkoholu i nie mógł występować. Czy wiecie, kto go wtedy zastąpił?

Verity i Nell zaprzeczyły. Mumford uśmiechnął się, spodziewając się, że bardzo je zaskoczy.

— Sławny Brutus Ranley — teraz lord Ranley. Przypuszczam, iż panie o nim słyszały.

— Ależ tak! — wykrzyknęła Nell. Panna Reynolds po wypiciu piwa pozbyła się swej dotychczasowej nieśmiałości. — Pani Trelawney i ja znamy jego lordowską mość.

Verity ostrzegawczo kopnęła ją pod stołem, ale było już za późno.

— A więc panie znają Brutusa? — ucieszył się Mumford. — Wiecie zatem, jaki z niego wspaniały człowiek. Jest dla mnie jak brat.

— Niech pan nas źle nie zrozumie. Nie jesteśmy bliskimi znajomymi barona — powiedziała Verity. — Miałyśmy wprawdzie zaszczyt spotkać go w Londynie, ale jestem pewna, że nas nie pamięta. Jest przecież bardzo sławny i ciągle spotyka mnóstwo ludzi.

Mumford uśmiechnął się.

— Cóż, nie wyobrażam sobie, aby mógł zapomnieć o dwóch tak pięknych kobietach. Ranley ma świetną pamięć. Nigdy nie widziałem człowieka, który z taką łatwością uczyłby się tekstu. Mógł raz tylko przeczytać swą kwestię i już ją pamiętał. — (Tu Mumford rzucił znaczące spojrzenie na von Hoffmana: żeby tak każdy aktor był taki zdolny!). — Cóż, Ranley to wyjątkowy człowiek. Dumny jestem, że mogę nazywać się jego przyjacielem.

Rozmowa o Ranleyu dziwnie zaniepokoiła Verity, która jak najprędzej chciała zmienić temat.

— Jak długo zostajecie w Kornwalii, panie Mumford?

— Trzy tygodnie. Tak przynajmniej planowaliśmy. Jeżeli nasze oczekiwania co do zakwaterowania nie spełnią się, możemy wyjechać wcześniej, tym razem na wschód. Jesteśmy teraz na wielkim turneé. Ale dość o tym. Ja cały czas gadam, a panie nic nam jeszcze o sobie nie powiedziały. Czy panie są tu przejazdem?

— Zatrzymałyśmy się w tym mieście na jakiś czas — odparła Verity. — Właśnie przyjechałyśmy. Tu jest tak ładnie, że może zostaniemy na dłużej.

— Nie odwiedzacie panie żadnych krewnych ani przyjaciół?

— Nie. Nikogo tu nie znamy. Mój zmarły mąż pochodził z Kornwalii. Chciałabym po prostu zobaczyć miejsca, gdzie mój kochany Olivier mieszkał jako dziecko. To blisko Truro.

— Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje, pani Trelawney — rzekł Mumford.

— Dziękuję panu — odparła Verity. — Mamy nadzieję, że uda nam się znaleźć jakiś mały domek, gdzie będziemy mogły wieść skromne życie. Panna Reynolds i ja mamy trochę oszczędności i musimy ostrożnie nimi rozporządzać — westchnęła melodramatycznie.

— Czy nikt wam nie towarzyszy, drogie panie? — troskliwie zapytał Mumford.

Verity westchnęła raz jeszcze.

— Nikt, proszę pana. Nie mamy przyjaciół. Ale proszę nie zrozumieć mnie źle, nie jesteśmy pozbawione środków do życia. Mamy trochę pieniędzy.

Mumford spojrział na Verity i pomyślał, że nie wygląda ona na kobietę przyzwyczajoną do skromnego życia. Obie młode damy intrygowały go coraz bardziej. Pani Trelawney wypowiadała się niczym osoba z wyższych sfer, a jej arystokratyczne maniery wskazywały, iż może być kimś z towarzystwa. Jeśli nawet nie pochodziła z arystokracji, to z pewnością miała talent aktorski. Jej

towarzyszka zaś wydawała się interesującą młodą dzierlatką. Nagle wpadł na pewien pomysł. Zawahał się przez chwilę, po czym powiedział:

— Błagam, wybaczcie mi panie moją śmiałość, ale właśnie przyszło mi coś do głowy. Wydaje mi się, że jesteście w drobnych tarapatach finansowych, czyż nie?

— W pewnym sensie — odparła Verity, patrząc na niego z zaciekawieniem.

— Czy kiedykolwiek myślała pani, pani Trelawney, o występowaniu na scenie? Och, wiem, moja propozycja jest dość zuchwała, ale wydaje mi się, że byłaby pani doskonałą aktorką. I panna Reynolds także.

Nell osłupiała. Ów człowiek proponował lady Verity de Lacy pracę w teatrze! Trudno wprost uwierzyć. Zerknęła na swoją panią, oczekując, że ta wybuchnie śmiechem usłyszawszy tak niedorzeczną ofertę. Ku jej zaskoczeniu Verity była jak najbardziej poważna. Nagle pokojówka poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Domyślała się już odpowiedzi.

— Jak już powiedziałem — ciągnął Mumford nasza gwiazda opuściła zespół w nadmiernym pośpiechu. Może przemyślałyby panie moją propozycję i dały mi odpowiedź jutro rano? Mimo że nie jesteśmy specjalnie bogaci, nasze życie wcale nie jest takie złe. Z pewnością nie będziecie rozczarowane.

— Ale przecież pan zupełnie nie zna naszych umiejętności — rzekła Verity. — Co prawda muszę się przyznać, że grałam trochę jako amatorka...

— A jednak! — krzyknął Mumford. — Wiedziałem! I była pani bez wątpienia wspaniała! A pani, panno Reynolds? Czy pani też występowała?

— Nie, proszę pana — odparła Nell. — I na pewno nic by z tego nie wyszło.

— Ależ to nonsens — wtrąciła Verity. — Myślę, że mogłabyś być świetną aktorką.

W trakcie dalszej rozmowy Nell dręczyły coraz większe obawy. Była wręcz przerażona, że Verity nie odrzuciła natychmiast niedorzecznej propozycji Mumforda, lecz zgodziła się przemyśleć całą sprawę. Kiedy pożegnały się już z nowymi znajomymi, odetchnęła z ulgą.

— Nie zamierzasz chyba zostać aktorką, milady? — zapytała, gdy znalazły się już w swoim pokoju.

Verity usiadła na łóżku.

— Nie bądź taka przestraszona, Nell. To wcale nie jest zły pomysł.

— Ależ milady! Co powiedziałyby lord Benbrook, gdyby się dowiedział, że występujesz na scenie.

— Odplacę ojcu pięknym za nadobne. Jak mógł tak niegodziwie mnie potraktować? Nie obchodzi mnie, co on lub ktokolwiek inny sobie o mnie pomyśla. Dlaczego nie miałabym zostać aktorką? W końcu to nie Verity de Lacy będzie występować przed publicznością, ale biedna pani

Trelawney. Nie sądzisz chyba, że jakiś znajomy mnie tutaj zobaczy. Tak, im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej pomysł ten mi się podoba. Często też myślałam, że ty również masz talent. Pamiętasz, jak pięknie czytałaś kwestie księżniczki Thalii, kiedy pisałam "Wojowniczą księżniczkę"?

Nell zamyśliła się. Wielokrotnie marzyła, by występować na scenie. Jak każda młoda kobieta zakochana w teatrze nieraz wyobrażała sobie, że wiezie wspaniałe i pełne przygód życie, podróżując z trupą aktorów.

— Nie dałabym sobie rady z tremą, milady.

— Bzdury, Nell. Musisz przemyśleć to dziś w nocy.

— Dobrze... pani Trelawney.

Verity uśmiechnęła się.

— Wiesz, lubię pana Mumforda. To taki sympatyczny człowiek.

— A czy pan von Hoffman nie jest najprzystojniejszym mężczyzną na świecie, milady?

— Nell — odparła Verity, udając oburzenie — miałam wrażenie, że to lord Ranley jest dla ciebie najprzystojniejszym mężczyzną na świecie!

— Tak. Tak było — przyznała Nell — ale wtedy nie znałam jeszcze pana von Hoffmana. Jaka szkoda, że jest obcokrajowcem.

— To nie jego wina, że nie urodził się Anglikiem.

— Oczywiście — westchnęła pokojówka ze smutkiem i zabrała się do ścielenia łóżka swojej pani.

ROZDZIAŁ 18

Baron Ranley przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze, podczas gdy kamerdyner oczyszczał mu szczotką surduta. Jego lordowska mość jak zwykle prezentował się świetnie w doskonale skrojonym ubraniu, nankinowych spodniach i błyszczących butach z cholewami. Z zadowoleniem stwierdził, że wygląda wystarczająco elegancko, nie będąc przy tym niewolniczo uzależniony od mody.

— Dziękuję, Tucker, to wszystko.

— Tak jest, milordzie — odparł służący i oddalił się.

Ranley podszedł do okna i pogrążył się w zadumie.

Wszystko układało się wspaniale. Hawkins był zachwycony jego nową sztuką, próby już się rozpoczęły, a on sam — dzięki ponownemu zainteresowaniu się teatrem — pozbył się dręczącej go od jakiegoś czasu melancholii. Przestał pić, porzucił hazard i odnowił znajomości z dawnymi przyjaciółmi. Był pochłonięty pracą, a mimo to czuł się prawie szczęśliwy. Jedyne myślenie o Verity de Lacy wciąż nie dawało mu spokoju. Poczawszy od ich pierwszego spotkania dziewczyna ta zajmowała w jego pamięci większe niżby sobie życzył miejsce. Daremnie usiłował zająć się innymi kobietami, które wciąż zaciekle rywalizowały o jego względy. Obraz Verity ciągle stał mu przed oczyma. Jej raptowne zniknięcie z Londynu bardzo go zaniepokoiło. Od wizyty Benbrooka Ranley spędził wiele czasu zastanawiając się, gdzie się podziewa i czy wróciła. Pewnego dnia usłyszał jednak plotkę, jakoby wyjechała odwiedzić kuzynkę w Kent i zdał sobie sprawę, iż wciąż jej nie odnaleziono. Choć usiłował wmówić sobie, że zniknięcie Verity nie ma dla niego żadnego znaczenia, martwił się coraz bardziej. Stojąc przy oknie w swojej sypialni, zastanawiał się, czy nie powinien odwiedzić Benbrooków. Wiedział jednak dobrze, że hrabia nie ucieszy się specjalnie z jego wizyty, mało tego, uzna ją niewątpliwie za pewnego rodzaju impertynencję. Ranley wahał się przez chwilę, po czym wyszedł z pokoju, kazał zaprzęgać i wieść się do rezydencji Benbrooków.

Kiedy znalazł się już na miejscu, lokaj odebrał od niego bilet wizytowy i skierował się do salonu, gdzie państwo Benbrook omawiali właśnie pewne ważne sprawy.

— Przyjechał Ranley — powiedział hrabia do żony, zerknąwszy na wizytówkę.

— Sądzisz, że mógł dowiedzieć się czegoś o Verity? — zapytała hrabina z nadzieją w głosie.

— Wątpię. Mimo to uważam, iż powinniśmy go przyjąć. Kiedy ostatnio złożyłem mu wizytę, zachowywał się bardzo przyzwoicie.

— Proszę wprowadzić tego pana — poleciła lady Benbrook, zwracając się do lokaja.

Po chwili w salonie pojawił się baron. Złożył głęboki ukłon przed hrabiną i skłonił się lordowi.

— Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale przyszedłem spytać, czy nie macie państwo jakiejś wiadomości od lady Verity. Odkąd mnie pan odwiedził, hrabio, trochę się o nią martwię.

— To miło z pańskiej strony, lordzie Ranley — odparła hrabina z płaczliwą miną. — Proszę usiąść. Jest pan jedną z nielicznych osób, która wie, co się naprawdę stało. Udało nam się wymyślić historyjkę, że Verity pojechała odwiedzić kuzynkę. Dzięki Bogu wszyscy chyba w to uwierzyli.

— Szukamy jej wszędzie — dodał hrabia. — Oczywiście bardzo dyskretnie. Poza tym dostaliśmy od niej list.

— List? — zaciekał się Ranley.

— Tak — odparła hrabina. — Był wysłany z Londynu. Mimo to pewni jesteśmy, że nie ma jej w mieście. Przypuszczam, iż poprosiła kogoś, aby wrzucił go tu do skrzynki. Ona jest wyjątkowo sprytna. Zapewnia nas, że czuje się świetnie i ma sporo pieniędzy. Nie mamy pojęcia, skąd je wzięła. Nie zabrała biżuterii ani żadnych cennych stroi. Bardzo się martwimy, jak się pan zapewne domyśla.

— Kiedy ją zobaczę — powiedział groźnie hrabia — nie ujdzie jej to na sucho.

— Och, nie wolno ci tak mówić! — wykrzyknęła hrabina. — Gdybym tylko znowu mogła zobaczyć moją małą córeczkę, byłabym najszczęśliwszą kobietą w królestwie. Co powiemy jej braciom? Są jeszcze u kuzynki w Kent, ale niedługo mają przyjechać do domu.

— Tak mi przykro — powiedział baron — ale może lady Verity odzyska zdrowy rozsądek i sama wróci.

— Odzyska rozsądek? — parsknął Benbrook. — To mało prawdopodobne.

Hrabina spojrzała na męża z dezaprobatą.

— Mam nadzieję, że tak się stanie — zwróciła się do barona.

— Ja również — rzekł Ranley. — Jeżeli mógłbym w czymkolwiek pomóc, jestem do usług.

— To miło z pańskiej strony — odezwał się lord — ale nie sądzę, żeby mógł pan coś zrobić. Gdyby dostał pan od niej jakąkolwiek informację, zaklinam pana, niech nas pan o tym niezwłocznie powiadomi.

— Ależ oczywiście, choć nie sądzę, żeby lady Verity chciała się ze mną skontaktować. Cóż, pójdę już.

Ranley pożegnał się i wyszedł. Nie chcąc wracać prosto do domu, kazał zawieść się do klubu, gdzie miło spędził jakiś czas.

Wróciwszy do swej rezydencji, udał się do biblioteki i zaczął przeglądać poranną pocztę. Na jednej z wielu kopert rozpoznał charakter pisma starego przyjaciela.

— Tak, to od Mumforda, tego hultaja! — ucieszył się niezmiernie.

Jego lordowska mość znał Josiaha Mumforda od dawna. Po raz pierwszy zetknął się z nim we wczesnych latach swej aktorskiej kariery. Przeżyli razem wiele przygód, podróżując z pewną trupą aktorów, która nie cieszyła się niestety najlepszą reputacją. Baron jednak zawsze z rozrzewnieniem wspominał tamte czasy, mimo że nie zapomniał, jak często doskwierała mu wtedy bieda.

W swym liście Mumford zapewniał barona, że powodzi mu się bardzo dobrze, gdyż zebrał najlepszy zespół teatralny, jaki kiedykolwiek występował w Anglii. Ranley z uśmiechem na ustach czytał o uzdolnieniach poszczególnych członków trupy. Nagle uwagę jego przykuł następujący fragment:

„Najbardziej jednak, drogi Brutusie, cieszę się z nowej aktorki, która ostatnio dołączyła do naszego zespołu. To było istne zrzędzenie losu, że spotkaliśmy ją w miejscowym zajeździe. Jest młodą wdową. Nazywa się Trelawney. Muszę wyznać ci, przyjacielu, iż ta kobieta łączy w sobie piękność Heleny z mądrością Ateny. Ma kruczoczarne włosy i piękne niebieskie oczy. A jaka z niej wspaniała aktorka! Nie znajdziesz podobnej w całej Anglii! Poza tym nie znam nikogo, kto tak szybko uczyłby się tekstu! Strzeż się, Brutusie!

Jej towarzyszka — panna Reynolds — to urocze jasnowłose stworzenie. Ona także nieźle sobie radzi. Panie te twierdzą, że spotkały cię kiedyś w Londynie. Wątpią jednak, żebyś je pamiętał”.

Ranley przeczytał ten fragment listu dwa razy. Pani Trelawney i panna Reynolds, powtarzał w myślach.

— Czarne włosy i piękne niebieskie oczy — powiedział do siebie szeptem. — Piękność Heleny i mądrość Ateny? Na Boga, to może być Verity de Lacy i jej wierna Nell!

Baron w pośpiechu przeczytał końcową część listu, dotyczącą planów Mumforda i jego zespołu. Przyjaciel informował go, iż będą w Truro jeszcze tydzień.

A zatem Verity jest w Kornwalii! Oczywiście jeśli pani Trelawney to rzeczywiście lady de Lacy. W istocie nie była przecież jedyną utalentowaną aktorsko brunetką w całej Anglii.

Ranley zmarszczył czoło i podniósł się z krzesła. Przez jakiś czas krążył po bibliotece, po czym zatrzymał się i rozważał w skupieniu całą sprawę. Mógł wrócić do rezydencji Benbrooków i podzielić się z nimi swoimi podejrzeniami. Odrzucił jednak tę możliwość. Hrabia byłby wściekły dowiedziawszy się, że jego córka występuje na scenie. A jeżeli owa kobieta okaże się kimś innym, tylko niepotrzebnie ich zdenerwuje. Mimo to Ranley miał przecucie, że się nie myli. Przyłączenie się do wędrownej trupy aktorów było jak najbardziej w stylu samowolnej lady de Lacy.

Ranley widział tylko jedno wyjście z sytuacji. Sam pojedzie do Kornwalii i znajdzie Verity. Spróbuje przemówić jej do rozsądku i sprowadzić ją do Londynu.

Wiele lat minęło od czasu, kiedy baron po raz ostatni był w Kornwalii, a doświadczenia — jakie stamtąd wyniósł — nie zachęcały go specjalnie do powrotu w to niesympatyczne miejsce. Jednakże podświadomie czuł, że powinien tam się udać. Zdecydowawszy się na wyjazd, zadzwonił na służącego i kazał mu przygotować powóz do dalekiej podróży.

ROZDZIAŁ 19

Ranley siedział w powozie, bezmyślnie patrząc na wrzosowiska rozciągające się za oknem. Niebo zachmurzyło się, a cała okolica wyglądała dość posepnie. Kiedy pojazd podskoczył na jednym z licznych wybojów, baron zaklął cicho i zaczął zastanawiać się, dlaczego zdecydował się na tak uciążliwą podróż. Jechali już dwa dni i baron miał za sobą dwie noce spędzone w zajazdach. Mimo że widział już gorsze warunki, zatęsknił nagle za swym wygodnym łóżkiem, doskonałą kuchnią i służącymi, którzy spełniali każde jego życzenie. „Zrobiłem się ostatnio bardzo delikatny”, pomyślał z niezadowoleniem.

Podróż wydawała się nie mieć końca. Ranley nudził się okropnie, nie mając z kim porozmawiać. Na domiar złego krajobraz był tak nieciekawym, że nie chciało mu się nawet wyglądać przez okno. Oddał się więc rozmyślaniom. Myśli Brutusa nie krążyły jednak wokół nowej sztuki. Wspominał lady Verity de Lacy.

Wtem marzenia barona zostały gwałtownie przerwane. Najpierw dał się słyszeć jakiś chrzęst, a po chwili nagły wstrząs rzucił go na przeciwległe siedzenie. Pojazd zatrzymał się.

— Co się tam, na Boga, stało, Burke? — zawołał baron, otwierając drzwi powozu.

— Przykro mi, panie — odparł stangret, pośpiesznie opuszczając stopnie, aby Ranley mógł wysiąść — ale pękło koło.

— A niech to diabli! — wykrzyknął Ranley. — Pękło? Akurat tutaj, w tym odludnym miejscu?

— Na to wygląda, panie — powiedział lokajczyk, który wcześniej obejrzał uszkodzenie pojazdu. — Dziś już daleko nie zajedziemy, ale w pobliżu jest chyba jakaś wioska.

— Gdzie? — zdziwił się baron, rozglądając się. Mimo pogarszającej widoczność mgły Ranley dostrzegł jednak w oddali jakieś światło.

— Dzięki Bogu — mruknął. — Może uda się sprowadzić pomoc.

— Mam nadzieję, panie — rzekł stangret.

Służącym udało się zepchnąć zepsuty pojazd na pobocze. Po wyprzęgnięciu koni Ranley zdecydował, że wraz ze stangretem pojedą wierzchem do wsi, a lokajczyk pozostanie pilnować powozu.

Gdy dotarli do małej wioski, baron przypomniał stangretowi, aby zwracał się do niego tytułując go panem Thompsonem. W podróży często używał tego lub innego, równie banalnego, nazwiska. Będąc człowiekiem bardzo sławnym, nie miał zazwyczaj spokoju, kiedy ludzie dowiadawali się, że przybył sam Brutus Ranley.

Mieszkańcy osady okazali się dość mili. Dowiedziawszy się o wypadku poinformowali ich, że we wsi mieszka świetny kołodziej. Niestety człowiek ów wyjechał właśnie z wizytą do siostry w Truro. Wróci po południu lub następnego dnia rano.

Ranley przyjął ich słowa z zadziwiającym spokojem.

— Jak daleko stąd do Truro? — zapytał.

— Sześć, może siedem mil — odparł jeden z mieszkańców.

— Tak blisko? — zdziwił się baron i zastanowił się przez chwilę. — Burke! — zawołał na stangreta. — Muszę dotrzeć dziś do Truro. Ty i Edward zostaniecie tutaj i naprawicie powóz. Ja wyruszę naprzód. Spotkamy się w mieście, kiedy pojazd będzie już zreperowany. Chciałbym wynająć konia — zwrócił się do stojącego obok wieśniaka.

— Przykro mi, ale żadnego konia do wynajęcia pan u nas nie znajdzie. Nie ma też nikogo, kto by tam pana zawiózł. Ale w taką ładną pogodę to może być zupełnie miły spacer.

Ranley nie był pewien, czy człowiek ten przypadkiem sobie z niego nie żartuje. Ciemne niebo zapowiadało porządną ulewę.

— Pójdę więc pieszo. Chyba dotrę późnym popołudniem.

— Czy chce pan, panie Thompson, aby Edward panu towarzyszył? — zapytał stangret.

— Nie, Burke. Pójdę sam. W Truro wynajmę gdzieś pokój. — Tu Ranley ponownie zwrócił się do wieśniaka: — Czy w tym mieście jest jakiś dobry zajazd lub hotel?

— Tak, panie. Zajazd „Pod Czarnym Łabędziem”. To niezłe miejsce. Ma podobno dobrą reputację.

— Tam mnie więc szukajcie, Burke.

Ranley wydał jeszcze kilka instrukcji służącemu i ruszył w drogę. Mimo mżawki spacer zapowiadał się dość przyjemnie. Baron ucieszył się nawet, iż nie siedzi już w powozie i że może nareszcie rozprostować nogi. Po półtoragodzinnym marszu jego lordowska mość zaczął jednak z czułością myśleć o pluszowych siedzeniach swojej karety. Nogi zaczynały go boleć, a mżawka przerodziła się w kroplisty deszcz. Nigdzie nie widać było żywego ducha. Mgła sprawiała, że krajobraz

wydawał się wypłowiasty i nieciekawym. Droga skręcała przy kępie drzew. Ranley dotarł do zakrętu i nagle stanął jak wryty. Przed nim pojawił się jakiś człowiek.

— Dzień dobry — odezwał się nieznajomy.

— Witam — odparł zdumiony Ranley, bacznie mu się przyglądając.

Był to mężczyzna wysoki, szeroki w ramionach, ubrany w płaszcz i biały kapelusz z szerokim rondem. Miał bardzo wyraźną szramę na policzku. Kiedy się uśmiechnął, baron dostrzegł, że brakowało mu jednego z przednich zębów.

— Niewielu ludzi spotyka się na tej drodze — powiedział nieznajomy. — Idzie pan do Truro, nieprawdaż?

Baron przytaknął.

— Czy to jeszcze daleko? — zapytał.

— Nie, jakieś dwie mile.

— To dobrze — ucieszył się Brutus.

Skinął głową mężczyźnie i chciał już odejść, kiedy ten zagroził mu drogę.

— Zanim pan pójdzie dalej, byłbym wdzięczny, gdyby oddał mi pan swoje pieniądze.

Baron popatrzył na niego oszołomiony.

— Odsuń się! — rzekł ostro.

Mężczyzna uśmiechnął się. Wyjął zza pazuchy pistolet i wymierzył go w barona.

— Pieniądze albo życie! Wybór należy do pana.

— Ty przeklęty bandyto! — wrzasnął Ranley. — Nie sądzisz chyba, że ujdzie ci to na sucho!

— Tak właśnie sędzę — odrzekł ze śmiechem rozbójnik. — A teraz niechże pan będzie tak miły i wręczy mi swoją forszę albo przestrzele na wylot pański śliczny płaszcz.

Przez sekundę baron zastanawiał się, czy nie wszcząć walki. Możliwość tę jednak rozsądnie odrzucił.

— Dobrze, ty łotrze — powiedział, wręczając mu swoją sakiewkę.

Bandzior ważył skórzany worek w dłoni.

— Świetnie. Zdaje się, że trafiła mi się tłusta przepióreczka! A teraz pański zegarek!

Ranley rzucił mu groźne spojrzenie, ale posłusznie wypełnił jego polecenie.

— Pańskie nakrycie głowy i płaszcz!

— Posuwasz się za daleko! — wrzasnął baron.

— Cicho, bo wezmę też twoje buty!

Ranley chciał już rzucić się na łotra, ale powstrzymał się. Zdjął swoją bobrową czapkę i cisnął ją złodziejowi. Ten zaś natychmiast zdjął kapelusz i założył ją sobie na głowę.

— Świetnie pasuje, nie sądzi pan? A teraz poproszę o płaszcz.

Ranley z wściekłością zdjął swoje doskonale uszyte okrycie.

— To wspaniałe ubranie — ucieszył się bandyta. — Abyś nie myślał, że jestem zły, oddam ci moje nakrycie głowy! — oświadczył i rzucił swój podniszczony kapelusz baronowi pod nogi.

— Teraz może pan już iść. Bardzo dziękuję.

— Ty zuchwały łajdaku! — wykrzyknął Ranley, zaciskając pięści. — Jeszcze zobaczę, jak wisisz!

— Wątpię, proszę pana — zaśmiał się szelmowsko zbir. — Życzę miłego dnia! — dodał i zniknął w zaroślach.

Ranley zaklął wściekle, choć wiedział, że nic już nie wskóra. Ponieważ wciąż mżyło, podniósł z ziemi zniszczony kapelusz bandyty i ociągając się nieco założył go na głowę. Westchnął i ruszył w dalszą drogę.

Gdy dotarł wreszcie do miasta, drobny deszczyk przemienił się w rześistą ulewę. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie spostrzegł w Truro, był szyld zajazdu „Pod Czarnym Łabędziem”. Szybko wszedł do środka, by schronić się przed deszczem.

— Leje tak, że psa by na dwór nie wypędził, prawda, proszę pana? — zagadnął go właściciel, przyglądając się mu z zainteresowaniem.

Ranley skinął potakująco głową.

— Gdzie mogę znaleźć konstabla? — zapytał. — Zostałem obrabowany!

— Naprawdę? Zabrano panu płaszcz, czyż nie?

Barona wyjątkowo zirytowało to pytanie.

— W rzeczy samej. Także sakiewkę, zegarek i bobrową czapkę, za którą piekielnie dużo zapłaciłem niecałe trzy tygodnie temu.

— To przerażające — westchnął karczmarz. — Niechże pan siada koło kominka. Wyślę chłopaka po konstabla, a pan niech się czegoś napije. Od razu poczuje się pan lepiej.

Ranley usadowił się wygodnie przy kominku, z kuflem piwa w dłoni. Właściciel zajazdu, uczynny i gościnny człowiek, szybko wysłał kogoś po oficera policji. Konstabl wkrótce przybył i z zainteresowaniem wysłuchał opowieści barona. Usłyszawszy opis wyglądu bandyty, uznał ten nieszczęsny wypadek za jeszcze jeden z serii napadów dokonanych przez niejakiego Boba Tully. Policjant zapewnił Ranleya, że niedługo łotr ów zostanie oddany w ręce prawa. Baron nie był o tym do końca przekonany, ale doceniał zainteresowanie okazane mu przez konstabla i gościnność właściciela zajazdu. Kiedy odeszli, Brutus odchylił się na krześle i zapatrzył w ogień.

"Cóż, jestem już w Truro, pomyślał, i prawdopodobnie znajdę tu Verity de Lacy. Ale może się też okazać, że przyjechałem na próżno". Myśl ta zaniepokoiła go i zdecydował się natychmiast

odszukać Josiaha Mumforda oraz jego trupe. Nim zdążył jednak podnieść się z miejsca, spostrzegł młodą kobietę przemykającą się między stołami. Natychmiast ją rozpoznał. To była Nell Dawson! Ranley zerwał się na równe nogi i pobiegł za nią. Dogonił pokojówkę, kiedy zatrzymała się przed drzwiami swego pokoju.

— Panno Dawson! — zawołał.

Nell drgnęła przerażona na dźwięk własnego nazwiska. Widząc przed sobą barona, otworzyła ze zdumienia usta.

— Lord Ranley!

— Czy jest z tobą tutaj lady Verity? — bez wstępu zapytał Brutus.

Nell zaprzeczyła ruchem głowy.

— To gdzie jest?

Pokojówka zawahała się.

— Możesz mi powiedzieć — uspokoił ją. — Wiem wszystko o pani Trelawney i pannie Reynolds oraz o waszej niefortunnej karierze aktorskiej!

— Ale od kogo? — wyjąkała oszołomiona Nell.

— To nie ma znaczenia, panno Reynolds. A teraz proszę mi powiedzieć, gdzie ona jest.

— Na próbie, milordzie. Powiedz, jak nas odnalazłeś, panie? Czy lord Benbrook coś wie?

— Nie, ale dowie się niebawem. A teraz zaprowadź mnie do twojej pani.

Nell ociągała się.

— Muszę jeszcze wziąć jej płaszcz.

Ranley skinął głową.

— Pośpiesz się w takim razie.

Pokojówka zabrała okrycie Verity i poprowadziła barona zalanymi deszczem uliczkami Truro. Droga do budynku, gdzie odbywały się próby, nie była długa. Weszli tylnym wejściem i zbliżyli się do sceny.

Trwała właśnie próba kostiumowa. Ranley nie znał sztuki, którą przedstawiano. Było w niej dużo wrzawy i zamieszania, a niewiele sensownego dialogu. W pewnym momencie na scenie pojawił się barczysty blondyn, ubrany w coś, co przypominało strój pirata. Mężczyzna wypowiadał swą kwestię podniesionym głosem. Mówił z tak wyraźnym niemieckim akcentem, że Ranley z trudem powstrzymał się od śmiechu. W chwilę później u boku aktora stanęła Verity. Miała na sobie suknię średniowiecznej księżniczki i błyszczący diadem we włosach. Wyglądała przepięknie. Brutus nie mógł oderwać od niej oczu. Zaczęła mówić łagodnym głosem:

— Mój wierny przyjacielu, cóż to za szczęście widzieć cię tutaj. Książę Odo został uwięziony przez zdradzieckich wrogów. Okrutny los spotkał mego pana. Pograżona jestem w rozpacz!

— Szubrawcy i łotry! — ryknął blondyn. — Księżę pojmany! Ale nie obawiaj się, piękna księżniczko. Przysięgam na moje silne ramię, że zostanie uwolniony!

Tym razem baron nie był w stanie powstrzymać wybuchu śmiechu. Nell spojrzała na niego z dezaprobatą.

— Proszę być cicho, milordzie — szepnęła.

— Przepraszam — odparł baron. — I nie mów do mnie "milordzie". Obecnie nazywam się Thompson.

Nell skrzywiła się. A więc teraz lord Ranley był panem Thompsonem, tak jak lady Verity panią Trelawney! I jak tu się nie pomylić!

Sztuka trwała nadal, a baron starał się zachować powagę. Dramat ten wydał mu się śmieszny przez swą absurdalność, choć w założeniu miał być jak najbardziej poważny. Zauważył, że Verity jest rzeczywiście jedyną aktorką w całym zespole. Więcej, grała wprost doskonale!

Ranley popatrzył w stronę holu wypełnionego ławkami. Siedział tam jego stary przyjaciel Mumford. Oglądał próbę z niezadowoloną miną. Baron uśmiechnął się na widok swego dawnego towarzysza, który zmienił się i trochę przytył.

Nagle Verity spojrzała w bok i spostrzegła Brutusa. Zaskoczenie nieznacznie tylko odbiło się na jej twarzy. Niczym zawodowa aktorka ciągnęła swą kwestię, starając się nie rozpraszać. Po skończeniu namiętnej przemowy wyszła za kulisy, pozostawiając na scenie von Hoffmana z jego okazałym monologiem. Zszedłszy na dół, podbiegła do Ranleya.

— Co pan tutaj robi? — szepnęła.

— Droga pani Trelawney — odparł Brutus skłoniwszy się nisko — jak miło znowu panią widzieć.

— Co pan tutaj robi? — powtórzyła.

— Przyjechałem panią odnaleźć!

— Odnaleźć mnie? Skąd się pan dowiedział, gdzie jestem? Czy ktoś jeszcze o tym wie?

— Nikt. Dostałem list od Mumforda. Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Pani Trelawney i pana Reynolds wydały mi się dziwnie znajome.

Verity odetchnęła z ulgą.

— A więc ojciec nie wie, gdzie jestem? Dzięki Bogu!

— Mimo że panią — jak widzę — nic to nie obchodzi, muszę powiedzieć, że pani rodzice bardzo się martwią.

— Ależ jak może mnie pan o coś takiego podejrzewać! — oburzyła się Verity. — Napisałam do nich, że czuję się świetnie. A poza tym to nie jest pańska sprawa, lordzie Ranley!

— To jest pan Thompson — wtrąciła Nell. — Jego lordowska mość życzy sobie, aby tak się do niego zwracać.

— Naprawdę? — zdziwiła się Verity. — A więc jest pan tu incognito?

— Myślę, że tak będzie lepiej.

— To zapewne ze względu na pańską wielką sławę, czyż nie? — zapytała kaśliwie.

— Istotnie — odparł baron nieco zirytowany jej słowami.

— Nie mam teraz czasu na rozmowę, panie Thompson. Muszę już iść. Mam następną scenę — rzekła Verity i pośpiesznie odeszła.

Ostatni akt sztuki Ranley uznał za najgorszy. Bez udziału Verity byłby on niewątpliwie wielką klęską. Po odegraniu końcowej sceny aktorzy ustawili się przed Mumfordem, oczekując na jego werdykt.

— Tak już musi pozostać — powiedział kierownik trupy. — No cóż. Nie mamy czasu na zmiany. Idźcie wszyscy do domu. Musicie odpocząć przed wieczorem.

Verity ponownie podeszła do barona i Nell.

— Czy pan też uważa, że sztuka jest okropna?

Baron wzruszył ramionami.

— Pani była znakomita, pani Trelawney. Niestety nie mogę powiedzieć tego samego o pani kolegach. Na przykład ten Niemiec. Dobry Boże!

— Pan von Hoffman to wspaniały człowiek — odezwała się ze złością Nell.

— Tak. Jest uroczym mężczyzną — dodała Verity.

— Nie wątpię, że ma najlepszy charakter, jaki tylko można sobie wyobrazić, ale jego umiejętności aktorskie są nie do przyjęcia.

— Radziłabym panu, panie Thompson — ostro odezwała się Verity — aby zachował pan swoje uwagi dla siebie. Niedługo dowiemy się, jak publiczność oceni nasze przedstawienie.

— Tego właśnie się obawiam — odparł baron. — Zbyt dobrze znane mi są reakcje prowincjonalnego motłochu. W swoim czasie wielokrotnie obrzucono mnie zgniłymi jajkami.

— Naprawdę? — spytała z niedowierzaniem Verity.

— To było dawno temu — zaśmiał się Ranley. — A teraz muszę iść przywitać się z Mumfordem, choć o wiele więcej mam do powiedzenia pani, droga pani Trelawney.

Verity skrzywiła się, słysząc jego słowa, ale nic nie odpowiedziała.

Kierownik trupy siedział na ławce w pustej sali. Wyglądał na przygnębionego. Zgarbił się i ukrył twarz w dłoniach. Ranley wszedł po cichu na scenę.

— Konia! Konia! Moje królestwo za konia! — zawołał donośnym głosem.

Mumford zerwał się na równe nogi, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— Drogi Brutusie, czy to możliwe, żebyś to był ty?!

Ranley zeskoczył ze sceny i podszedł uściskać Mumforda, który rozpląkał się z radości.

— Stary druhu — rzekł baron, wysuwając się z uścisku przyjaciela — jak miło znowu cię widzieć.

— Nie do wiary! Brutus Ranley tutaj! W Kornwalii! To nie może być prawda!

— To jest prawda. Mój drogi, wolałbym jednak, żeby nikt nie wiedział, kim jestem.

— Szkoda — zmartwił się kierownik trupy. — Gdyby ludzie dowiedzieli się, że przybyłeś obejrzeć nasze przedstawienie, sprzedałbym dużo więcej biletów.

— Proszę cię, Mumford, oszczędź mi tego.

— Dobrze, Brutusie. Rozumiem.

— Tutaj nazywam się Thompson — powiedział baron.

— Thompson? — powtórzył Mumford. Nagle spostrzegł, że Brutus jest dziwnie lekko ubrany. — Czy coś się stało, drogi przyjacielu? Gdzie podział się ten szyk, jaki zawsze cię cechował?

Ranley zaśmiał się.

— Zostałem obrabowany. Jakiś bandzior zabrał mi płaszcz i kapelusz.

— Do licha! — krzyknął Mumford.

— Zabrał panu kapelusz? — wtrąciła Verity, która wraz z Nell właśnie do nich podeszła.

— Tak. I całkiem pokaźną sumę pieniędzy. To nie wszystko! Wcześniej pękło koło u mego powozu. Nie byłem więc w najlepszym humorze, kiedy dotarłem do Truro.

— Nie martw się. Znajdziemy ci zaraz jakiś płaszcz — pocieszył go kierownik trupy. — Mój syn Harold ma jeden, który powinien na ciebie pasować. Drogi Brutusie, nie uwierzysz, jak Harold urósł.

— Domyślam się. Widziałem go po raz ostatni, kiedy miał siedem lat.

— To było tak dawno. Cóż, wciąż nie wierzę, że tu jesteś.

— Po przeczytaniu twojego listu odczułem dziwną potrzebę ujżenia twojego zespołu. — Ranley spojrzał znacząco na Verity. — Tak interesująco pisałeś o pani Trelawney.

— Tak. Nasza nowa gwiazda jest wspaniała — powiedział Mumford. — A więc przypomniałeś sobie te panie?

— W rzeczy samej. Trudno je zapomnieć.

— Jestem zaskoczona, że jego lordowska mość nas zapamiętał — rzekła Verity ironicznym tonem. — Nigdy bym się tego nie spodziewała.

— Moja pamięć jest niezawodna, pani Trelawney.

— Wiem co nieco o pańskiej pamięci — powiedziała kąśliwie.

— Brutusie, obiecaj mi, że zostaniesz w Truro przez jakiś czas — wtrącił Mumford.

— Tak, zostanę.

— To świetnie. Ciekaw jestem, czy spodoba ci się nasze dzisiejsze przedstawienie. Widziałeś „Zemstę księcia Odo”? Co sądzisz o tej sztuce?

— Widziałem zaledwie fragment — wykręcał się Ranley. — Wolę nie wydawać opinii o czymś, czego nie obejrzałem w całości. Chcę tylko powiedzieć, że pani Trelawney była bardzo dobra w swojej roli.

— Tak, tak — przytaknął Mumford. — Jest cudowna. Panna Reynolds również. Zobacysz ją jako nianię w „Romeo i Julii”. Mamy na dzisiejszy wieczór dość dobry program. Będzie błyskotliwa komedia zatytułowana „Rozczarowanie księcia”, potem „Zemsta księcia Odo”, a na koniec „Romeo i Julia”. Panna Pettigrew zaprezentuje między przedstawieniami kilka skocznych tańców.

— Brzmi to znakomicie — powiedział Ranley.

— Tak, rzeczywiście. Teraz jednak chodźmy wszyscy na herbatę do zajazdu „Pod Czarnym Łabędziem”. Zaraz zdobędę dla ciebie jakiś płaszcz, drogi Brutusie, to jest panie Thompson.

Verity i Nell udały się do zatłoczonej garderoby.

— Myślałam, że zemdleję, kiedy zobaczyłam pana Thompsona — powiedziała Nell, ostrożnie zdejmując diadem z głowy Verity. — Przykro mi, że został obrabowany przez jakiegoś bandytę.

— Sądzę, iż też powinnam mu współczuć — rzekła Verity z udaną obojętnością. — Cóż, mógł przecież zostać zabity. Wciąż tylko nie rozumiem, dlaczego tu przyjechał. To bardzo dziwne.

— Tak, pani — odparła zamyślona pokojówka.

Dla Nell przyjazd barona nie był niczym niezwykłym. Jako wnikliwa obserwatorka bez trudu odgadła, że Ranley jest w Verity po prostu zakochany. Wołała jednak dyskretnie przemilczeć całą sprawę.

— Będzie nas dzisiaj oglądał na scenie — jęknęła Verity. — I bez tego się denerwuję, nie potrzebuję samego Brutusa Ranleya na widowni, aby patrzył na każdy mój ruch. Jest prawdopodobnie ostrym krytykiem.

— Tego się właśnie obawiam, pani. O panu von Hoffmanie mówił przecież okropne rzeczy — szepnęła Nell.

— To prawda. Ale nie wolno nam się zbyt przejmować. Musimy udawać, że pana Thompsona w ogóle tu nie ma! — powiedziała Verity, choć zdawała sobie sprawę, jak niedorzecznie zabrzmiały jej słowa.

W karczmie „Pod Czarnym Łabędziem” zebrała się większość członków zespołu. Aktorzy mieli występować w Truro przez dwa tygodnie. Ten wieczór był jednak szczególny — rozpoczął

ich tournée. Ciężko pracowali, aby nadać owemu przedstawieniu rozgłos i. mieli powody sądzić, że dość dużo osób przybędzie do teatru.

Ranley — ubrany w źle leżący na nim brązowy płaszcz Harolda — dobrze się bawił, rozmawiając z członkami zespołu Mumforda, z których żaden nie wiedział, kim baron był naprawdę. Kierownik trupy przedstawił go jako swego starego przyjaciela, byłego aktora. Dowiedziawszy się, że pan Thompson jest kimś po fachu, wszyscy byli dla niego mili i gościnni.

Verity obserwowała Brutusa z zainteresowaniem. Nie spodziewała się, iż uda mu się brylować w podobnym towarzystwie. On jednak przyzwyczajony był do obcowania z tego rodzaju ludźmi i czuł się wśród nich bardzo swobodnie. Słuchając ich rozmów Verity uświadomiła sobie, że nigdy w życiu nie czuła się tak dobrze jak teraz, w Kornwalii. Przyłączenie się do wędrownej trupy aktorów okazało się najbardziej emocjonującą rzeczą, jaka się jej kiedykolwiek przydarzyła. Zawsze lgnęła do teatru. Teraz przekonała się, iż jest znakomita jako aktorka. Lubiła wszystkich członków zespołu, a oni odwzajemniali jej sympatię. Nawet panna Pattigrew — której rolę przejęła Verity — bardzo się z nią zaprzyjaźniła. Lady de Lacy była zachwycona swym obecnym życiem i miała nadzieję, że to szczęście potrwa jeszcze jakiś czas.

Harold Mumford siedział obok ojca wyraźnie czymś zasmucony. Nie odzywał się wcale i sprawiał wrażenie, jakby staczał wielką walkę sam ze sobą.

— Ojcie — powiedział wreszcie, ciągnąc Mumforda za rękaw. — Czy mogę z tobą porozmawiać?

— O co chodzi, chłopcze?

Harold mówił ściszym głosem. Zebrani przy stole nie słuchali go, zajęci pogawędką. Verity siedziała naprzeciwko Ranleya, ale dotychczas nie zamieniła z nim ani słowa. Po jednej jego stronie znajdowała się panna Pattigrew, a po drugiej Mumford. Obydwoje byli ludźmi gadatliwymi i wciąż zajmowali uwagę barona. Verity pozostała więc rola obserwatora. Siedział co prawda obok niej von Hoffman, ale on bardziej interesował się Nell, która łowiła każde jego słowo.

— Nie mówisz chyba poważnie, Harry! — rzekł

Mumford. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

— Ależ tak, ojcie. Nie mogę. Byłem szalony myśląc, że dam sobie radę. Z pewnością mnie wyśmieją.

Ostatnie zdanie Harold wypowiedział podniesionym głosem i wszyscy zwrócili się w jego stronę.

— Przyjaciele! — zwrócił się do aktorów kierownik trupy. — Harold właśnie mi oznajmił, że nie chce grać Romea!

— Co?! — wykrzyknęła panna Pattigrew. — Musisz to zrobić, Haroldzie!

— Oczywiście — dodał von Hoffman. — Nie ma przecież nikogo, kto mógłby cię zastąpić.

— Nie mogę! — krzyknął zrozpaczony Harold.

— Wiecie dobrze, że nie mogę. Nie mam doświadczenia. Och, dlaczego pan Willison uciekł? Ja nie potrafię zagrać Romea!

— Haroldzie! — powiedział ostrym tonem Mumford.

— Do przedstawienia zostały dwie godziny. Nikt nie zna tej roli — oprócz mnie, oczywiście.

— To może ty wystąpisz, ojcze? — spytał błagalnie młodzieniec.

— Ja? Byłbym po prostu śmieszny! Nie. Zagrasz tę rolę chłopcze albo pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś!

Harold ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął spazmatycznym płaczem.

— Dobry Boże! — jęknął Mumford. — Weź się w garść, mój synu!

— Panie Mumford — powiedziała Verity, pełna współczucia dla zrozpaczonego młodzieńca. — Harold ma prawo być zdenerwowany. To dla niego trudna rola.

— Tak, wiem — przyznał kierownik trupy. — Będzie jednak musiał dać sobie radę. Nie ma innego wyjścia.

Verity zmarszczyła brwi. Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

— Ależ panie Mumford, jest wyjście! Pan Thompson może zagrać Romea!

— Co?! — wrzasnął Ranley, patrząc na nią ze zgrozą.

— Oczywiście — ciągnęła Verity. — On zna tę rolę, a sam pan wie, że całkiem niezły z niego aktor, czyż nie?

Mumford uśmiechnął się.

— Ależ tak! Co ty na to Brutu... to jest panie Thompson? No, zgódź się!

— Nie! — zdecydowanie odrzekł Ranley. — Nic mnie do tego nie zmusi. Nie jestem już aktorem.

— Kto raz był aktorem, jest nim przez całe życie — odparł Mumford. — Błagam, miej trochę litości dla mojego biednego syna. Ty i pani Trelawney będziecie cudowną parą. No, powiedz, że się zgadzasz. Będę ci wdzięczny do końca życia.

— Dobrze, zgadzam się — rzekł Ranley po dłuższej chwili, rzucając groźne spojrzenie Verity.

Harold uniósł głowę i odetchnął z ulgą, a jego ojciec chwycił dłoń barona i uściśnął ją mocno.

ROZDZIAŁ 20

W sali, gdzie miało odbyć się przedstawienie, zebrało się wiele osób. Plakaty zostały rozwieszane w całym mieście i okolicznych wioskach, mało kto więc nie wiedział, że znakomici aktorzy Mumforda zaprezentują tego wieczoru nowy program. Jak donosiły afisze, Truro miało okazję zobaczyć nigdy dotąd nie wystawianą sztukę pod tytułem "Zemsta księcia Odo".

Mumford był bardzo podekscytowany, widząc na widowni większe niż się spodziewał tłumy. Za możliwość obejrzenia wieczornych występów każdy musiał zapłacić dwa szylingi, co zapowiadało niezły zarobek. Kierownik trupy miał dodatkowy powód do radości. Wśród jego aktorów znajdował się osławiony Brutus Ranley. Jakiegokolwiek by miał wątpliwości co do umiejętności poszczególnych członków swojego zespołu, wydały mu się one nieistotne w obliczu faktu, że baron brał udział w przedstawieniu. Mimo że przyszło mu to z trudnością, Mumford zgodził się w końcu na anonimowość przyjaciela. Rozumiał świetnie, że teraz — kiedy był członkiem Izby Lordów — Brutus nie mógł pojawiać się na scenie. Gdyby dowiedziano się o tym w Londynie, wybuchłby niewątpliwie wielki skandal. Kierownik trupy musiał więc zachować milczenie, choć nie był człowiekiem przyzwyczajonym do utrzymywania czegoś w sekrecie.

Ranley żałował swojej pochopnej zgody, ale nie mógł już się wycofać. Obiecał, że wystąpi — musiał więc to uczynić. Nie wątpił bynajmniej w swe aktorskie umiejętności. Grał Romea tyle razy, że wciąż rola owa wydawała się mu jego drugim wcieleniem. Czuł się jednak nieswojo, powracając na scenę.

Treść sztuki została przez Mumforda znacznie skrócona. Przeglądając okrojone dzieło Szekspira, Ranley zastanawiał się, czy ktokolwiek coś z tego zrozumie. Mumford zapewnił go jednak, że wszystko będzie w porządku. Baron nie podzielał optymizmu przyjaciela.

Siedząc w zaśmieconej garderobie w otoczeniu innych aktorów, Brutus poczuł ogarniającą go nostalgię. Tyle lat minęło, odkąd ostatni raz robił sobie sceniczny makijaż i zakładał kostium. Obok niego przygotowywał się Karl von Hoffman. Nakładał właśnie ciemną farbę na swe wyblakłe brwi.

— Podobno grałeś już kiedyś, Thompson? — zapytał.

— Tak, mam trochę doświadczenia — odparł Ranley.

— Mam nadzieję, że nie sprawisz nam zawodu — rzekł Niemiec. — W grę wchodzi reputacja całego zespołu.

Baron niewątpliwie wściekłby się, słysząc podobną uwagę w innych okolicznościach, teraz jednak rozśmieszyła go ona do łez.

— Postaram się, kolego, ale nie możesz oczekiwać, że będę tak dobry jak ty.

— Pewnie masz rację — odparł poważnie Niemiec, najwyraźniej nie wyczuwając ironii w głosie barona. — Muszę już iść. Czas zaczynać.

Ranley obserwował go, jak wstaje i wychodzi z garderoby. Ubrany był w ciężką opończę, wysokie buty z cholewami zachodzącymi na kolana, ułożoną perukę i korsarski kapelusz z piórami. Prezentował się co najmniej śmiesznie. "Bez względu na to, co na siebie założy, człowiek ten zawsze wygląda jak pirat" — pomyślał, uśmiechając się w duchu. Potem sam nałożył swój kostium i wyszedł z przebieralni. Udał się od razu za kulisy, skąd miał zamiar oglądać przedstawienie. Mumford zaplanował „Romeo i Julię” jako ostatnią sztukę, baron miał więc sporo czasu przed wyjściem na scenę.

Zajmując miejsce na uboczu, słyszał wrzawę dochodzącą z sali. Wyjrzał zza kurtyny i zobaczył ławki pełne ludzi. Wszyscy głośno rozmawiali, nawołując się wzajemnie. Brutus dokładnie przyjrzał się tłumowi, szukając chuliganów i pijaków, ale nikogo takiego nie dostrzegł i odetchnął z ulgą. Publiczność wydawała się być sympatyczna. To dobry znak, stwierdził z ulgą.

— O czym pan tak myśli? Podoba się panu publiczność?

Baron odwrócił się i ujrzał stojącą za nim Verity, mającą już na sobie kostium i przygotowaną do wyjścia na scenę.

— Pani Trelawney! Jakże pięknie pani wygląda!

— Dziękuję — powiedziała zmieszana.

Ubrana była w stylową, siedemnastowieczną suknię w kolorze czerwonego wina, z szeroką spódnicą i dużym dekoltem. Na głowie miała rudą perukę i wielki kapelusz z piórami.

— Mam nadzieję, iż pani kwestie są ważne i że będzie pani długo przebywać na scenie, pani Trelawney. Widownia nie zdoła oderwać od pani oczu i w ten sposób nie zauważy pana von Hoffmana.

Verity czuła się zażenowana jego komplementami, odparła jednak nonszalancko:

— Jest pan zbyt surowy dla von Hoffmana.

— Doprawdy? Cóż, ów człowiek miał czelność poinformować mnie, że obawia się, abym nie zepsuł przedstawienia.

— Jakie to śmieszne! — parsknęła Verity, kryjąc twarz za wachlarzem. — Proszę nie zwracać uwagi na jego słowa. On jest bardzo zdenerwowany.

— A pani?

— Ja jestem wprost przerażona. Nie grałam nigdy przed publicznością. Niechybnie zrobię z siebie pośmiewisko.

— Nonsens rzekł baron. — Zagra pani znakomicie. To ja mogę z siebie zrobić pośmiewisko.

— Pan jest zawsze wspaniały. Na scenie, oczywiście.

Ranley zaśmiał się.

— Przypuszczam, że miał to być komplement — powiedział.

— Tak — przyznała. Czuła, że coraz trudniej będzie jej się oprzeć urokowi barona. — Och, niedługo się zacznie!

Mała orkiestra schowana pod sceną zagrała głośnie fanfary i Verity pobiegła zająć swoje miejsce.

„Rozczarowanie księcia” było farsą opartą na komedii pomyłek. Podobne sztuki, pełne nie-dorzecznych przypadków i niezliczonej ilości kalamburów, zawsze bardzo podobały się publiczności. Mumford i Verity bezbłędnie zagrali swoje role, ale reszta zespołu była dość kiepska, co nie uszło uwadze publiczności. Von Hoffman w roli drugiego adoratora Verity okazał się fatalny. Nikt z widowni nie obdarzył go sympatią. Za każdym razem, kiedy wypowiadał swoją kwestię, dawało się słyszeć kpiące komentarze. Aktor odpowiadał na nie groźnymi spojrzeniami i wypowiedzanymi po cichu niemieckimi przekleństwami, co tylko zachęcało jego przeciwników do dalszych naigrywań. Ranley obserwował całą sytuację zza kulis. Przyglądając się wcześniej publiczności, nie zauważył grupki krzykliwych młodzieńców, którzy byli ewidentnie pijani. Jak dotąd ich nieodpowiednie zachowanie ograniczało się jedynie do ostrych słów. Baron obawiał się jednak, że to wystarczy, aby ochłodzić entuzjazm Verity. Na szczęście śliczna pani Trelawney za każdym razem, kiedy pojawiała się na scenie, witana była oklaskami. Mimo to „Rozczarowanie księcia” nie wzbudziło zbytniego zachwytu na widowni.

Po zakończeniu przedstawienia panna Pattigrew miała niewdzięczne zadanie wystąpienia przed wrogo nastawioną publicznością. Jednakże kiedy orkiestra zaczęła grać skoczną melodię, nastrój widzów znacznie się poprawił. Choć dziewczyna nie okazała się najbardziej utalentowaną tancerką, jej wysiłki zostały nagrodzone gromkimi oklaskami. Zakończywszy swój taniec, odśpiewała "Serce dębu" — bardzo popularną piosenkę — i wszyscy byli zachwyceni.

Ta ewidentna zmiana nastroju publiczności podniosła na duchu Mumforda, który ze smutkiem obserwował niechętnie przyjęcie ich pierwszej propozycji.

— Nic nie rozumiem — powiedział, stając przed Ranleyem. — Najwyraźniej przyszli tu dla rozróby. Czuję to, Brutusie. Mam jedynie nadzieję, że "Książę Odo" zrobi na nich wrażenie.

— Oby tak się stało — powiedział baron, zmuszając się do uśmiechu.

Nadzieje Mumforda nie spełniły się. Już na samym wstępie przedstawienia okazało się, że publiczność nastawiona jest wrogo. Grupa młodzieży wciąż wrzeszczała niezadowolona, z wyjątkiem chwil, gdy ze sceny padały kwestie Verity, które najwyraźniej się podobały. Wysiłki von Hoffmana wywołały jedynie śmiech tłumu, natomiast biedny Harold Mumford zmieszał się bardzo,

wypowiadając swój nader zawiły, acz krótki tekst. W trakcie drugiego aktu na sali powstało takie zamieszanie, że na scenie musiał pojawić się Mumford, by prosić o przyzwoite zachowanie. Został natychmiast obrzucony skórkami od pomarańczy i zmuszony do ucieczki za kulisy.

— Co mam robić!?! — zawołał zrozpaczony. — Kontynuować przedstawienie?

— Obawiam się, że to mogłoby doprowadzić do prawdziwej rewolucji — odparł baron. — Może panna Pattigrew zatańczy jeszcze raz. Zdaje się, iż ma łagodzący wpływ na publiczność.

— Masz rację, Brutusie — zgodził się Mumford.

Panna Pattigrew nie była specjalnie zachwycona propozycją ponownego występu, ale po prośbach Mumforda bohatersko pojawiła się na scenie. Ku jej wielkiej uldze tłum uciszył się. Orkiestra zaczęła grać, a ona rozpoczęła z wdziękiem kolejny skoczny taniec.

Verity udało się wreszcie odszukać kierownika zespołu.

— Nie podobał im się "Książę Odo". Co teraz zrobimy? — spytała zmartwiona. — A co pan o tym sądzi, panie Thompson? — zwróciła się do barona.

Jego lordowska mość wzruszył ramionami.

— Proponuję zakończenie przedstawienia, ale ostrzegam, że publiczność prawdopodobnie zażąda zwrotu pieniędzy za bilety.

— Nie możemy do tego dopuścić. To by mnie zrujnowało — jęknął Mumford.

— Dlaczego więc nie zagramy teraz „Romea i Julii”? — zaproponowała Verity.

— Co o tym myślisz, Brutusie? — zapytał niepewnie kierownik trupy.

Ranley popatrzył na Verity i zawołał:

— Niech będzie przeklęty ten, kto pierwszy się podda!

Uradowany Mumford poprosił Verity, aby poinformowała resztę zespołu o zmianie programu i zmieniła kostium.

Przez cały ten czas panna Pattigrew tańczyła na scenie i publiczność zaczynała się już nieco niepokoić. Wreszcie ukryty za kulisami Mumford dał jej znak, żeby już kończyła. Tancerka skłoniła się i szybko wybiegła.

Kierownik trupy zignorował gwizdy młodzieży i zapowiedział następne przedstawienie. Sztuka została skrócona, co pozwoliło na natychmiastowe pojawienie się Romea. Rozwydrzona widownia uspokoiła się. Mężczyźni zawahali się przed obrzuceniem sceny zgniłymi warzywami, a kobiety z podziwem patrzyły na jego urodę. Ranley postąpił kilka kroków naprzód. Za nim dreptał rozemocjonowany Harold Mumford, występujący w roli Benwolia.

Już pierwsze słowa Brutusa zelektryzowały publiczność. Jego melodyjny głos wypełnił całą salę. Baron natychmiast zdał sobie sprawę, jakie wrażenie wywarł na widowni i poczuł niesamowity przypływ sił. Kiedy wygłaszał swoją kwestię, wiedział już, że ma ich w ręku. Nawet pojawienie

się von Hoffmana w roli Merkucja nie było w stanie niczego zepsuć. Publiczność wydawała się chętnie znosić jego niemiecki akcent w oczekiwaniu na słowa Ranleya.

Verity nigdy czegoś podobnego nie widziała. Przestała się więc denerwować i spokojnie wyszła przed widownię. Już pierwsze słowa dialogu między Romeem a Julią pozwoliły nawiązać przyjazną więź z publicznością. Widząc jak Ranley złożył na ustach Verity pocałunek, widzowie bili brawo. Przy scenie gdy Julia budzi się, aby znaleźć martwego kochanka, wszyscy ocierali łzy z oczu. Kiedy zaś zadała sobie cios sztyletem, dało się słyszeć westchnienia i wyraźny płacz kilku osób. Nawet najnieznośniejsi młodzi widzowie milczeli głęboko przejęci.

Przedstawienie dobiegło końca. Ranley i Verity podnieśli się i złożyli ukłony. Buchnęły oklaski. Baron spojrzął na swoją partnerkę i ujął jej dłoń. Poprowadził ją na środek sceny, gdzie ponownie się skłonili. Verity — zaróżowiona z radości i podniecenia — uśmiechała się, z wdzięcznością spoglądając na swego Romea.

TLR

ROZDZIAŁ 21

Po przedstawieniu Mumford zaprosił cały zespół do zajazdu „Pod Czarnym Łabędziem”. Minęło trochę czasu, zanim aktorzy zdołali przebrać się i dotrzeć na miejsce. Ranley i Verity spóźnili się jeszcze bardziej, zatrzymywani przez wielbicieli składających im gratulacje. Byli między nimi państwo Baldwin, których Verity poznała w dylizansie. Choć pani Baldwin była nieco zaszokowana faktem, iż pani Trelawney występuje na scenie, niezmiernie podobało się jej przedstawienie. Zarówno ona jak i jej mąż obrzucali Verity komplementami, przepowiadając młodej aktorce wspaniałą karierę.

Barona także obiegli sympatycy. Pewna dama, która przybyła za kulisy w towarzystwie swego srogiego męża, wyznała mu, że dwa razy miała okazję oglądać na scenie sławnego Brutusa Ranleya. Pan Thompson wydał jej się jednak znacznie lepszym aktorem i zdecydowanie przystojniejszym mężczyzną. Baron przyjmował te komplementy szczerze ubawiony.

Kiedy wyszli już wszyscy widzowie, Ranley opuścił teatr. Na ulicy spotkał Verity, Nell i von Hoffmana.

— Nareszcie! — ucieszyła się Verity. — Myślałam już, że pańscy wielbiciele nigdy pana nie puszczą. Czekamy na pana. Taki bohater musi mieć odpowiednią eskortę.

— Oczywiście, że tak! — wtrąciła Nell. — Był pan cudowny!

Von Hoffman skrzywił się lekko, po czym rzekł:

— Jesteś wielkim aktorem, Thompson. Podziwiam cię. Będę się od ciebie uczył. Witamy w zespole!

Słyszając to Verity rzuciła baronowi rozbawione spojrzenie.

— Dziękuję za miłe słowa — odparł Ranley. — Obawiam się jednak, że nie będę mógł się do was przyłączyć. Zrobiłem to tylko dla Harolda i Mumforda. Niedługo wracam do Londynu.

— Wielka szkoda — rzekł Niemiec odetchnąwszy z ulgą, że utalentowany pan Thompson nie będzie dodatkową atrakcją zespołu.

— Ma pan z pewnością wiele spraw do załatwienia w Londynie i dlatego musi pan szybko wracać, prawda? — kąśliwie zapytała Verity.

— Najpierw chcę załatwić swoje sprawy tutaj, pani Trelawney — odpowiedział Ranley. — Kiedy mi się to uda, z przyjemnością wrócę do Londynu.

Popatrzyli sobie głęboko w oczy.

— Sądzę, że powinniśmy już iść — powiedziała Verity. — Wszyscy będą się zastanawiać, co się z nami stało.

Cała czwórka udała się więc do zajazdu, gdzie zostali radośnie powitani przez kolegów z zespołu. Mumford podniósł się od stołu i wzniosłszy kieliszek zaproponował toast:

— Za panią Trelawney i pana Thompsona! To dzięki nim odnieśliśmy dziś sukces!

Jego przemowie towarzyszyły entuzjastyczne okrzyki członków trupy. Verity uśmiechnęła się, podziękowała wszystkim i usiadła przy stole. Ranley zajął miejsce obok niej. W zajeździe panowała atmosfera ogólnej radości. Szczególnie szczęśliwy był Mumford, gdyż tego wieczoru znacznie się wzbogacił. Poza tym widok tak niesfornej publiczności zupełnie podbitej przez jego przyjaciela i uroczą panią Trelawney sprawił mu wielką przyjemność. Kierownik trupy nie wątpił, że gdyby udało mu się uprosić Ranleya, aby z nim przez jakiś czas pozostał, zarobiliby krocie. Cieszył się też, mając w zespole tak utalentowaną aktorkę jak pani Trelawney. Gdy tylko zdobędzie reputację gwiazdy, publiczność specjalnie dla niej zacznie przychodzić do teatru.

Podano kolejne kufle piwa i Mumford ponownie wzniosł toast za pomyślną przyszłość zespołu. Potem, ku wielkiemu zadowoleniu wygłodzonych aktorów, na stole pojawiły się tace z jedzeniem. W miarę jak przybywało opróżnianych kufli piwa, wszyscy stawali się coraz weselsi.

Verity miała uczucie, iż wszystko to nie dzieje się naprawdę. Czy rzeczywiście występowała na scenie u boku Ranleya? Czy on istotnie siedział tu obok niej w tym zajeździe w Kornwalii? To wszystko było jak sen. Co też pomyśleliby jej rodzice i przyjaciele, gdyby mogli ją teraz zobaczyć? Spojrzała na barona. Jakże był piękny! Czowała się zażenowana, siedząc obok niego. Wciąż wspominała namiętne pocałunki, jakimi obdarzył ją jako Romeo.

Ranley skończył rozmowę z panną Pattigrew i zwrócił się do Verity.

— Cóż, mam nadzieję, że cieszy się pani z naszego sukcesu?

— Bawię się bardzo dobrze, a pan?

Baron uśmiechnął się.

— Nigdy nie byłem szczęśliwszy. Na zawsze zapamiętam ten wieczór, Julio.

Jego słowa wywarły na Verity wielkie wrażenie. Na szczęście w tym właśnie momencie podszedł do nich właściciel zajazdu.

— Ktoś to dla pana zostawił, panie Thompson — powiedział i wręczył Ranleyowi skórzany miśzek.

— Na Boga! — zawołał baron, rozpoznając swoją skradzioną sakiewkę. — Skąd to masz?

— W środku jest list.

Ranley rozwiązał miśzek, znalazł małą kartkę i zaczął czytać na głos:

„Drogi Panie,

obejrzałem sztukę, w której występował pan z pewną młodą i ładną aktorką. Przyznaję, iż nigdy nie widziałem nic lepszego. Jestem miłośnikiem teatru i bardzo żałuję, że zabrałem panu sakiewkę. Postanowiłem ją zwrócić. Zatrzymałem dla siebie trochę pieniędzy, a także płaszcz, kapelusz i zegarek. Tak bardzo mi się podobają, iż nie mogę się z nimi rozstać.

Pański wierny sługa, Robert Tully"

List ten wzbudził głośny śmiech aktorów. Baron nazwał Boba Tully łajdakiem, ale śmiał się razem ze wszystkimi.

— Teraz, kiedy znowu jestem bogaty — powiedział — mogę zapłacić za dzisiejszą kolację. Tylko nie protestuj, Mumford.

Kierownik trupy podziękował przyjacielowi, a następnie kazał podać więcej jedzenia i picia. Po jakimś czasie poprosił wszystkich o uwagę.

— Drodzy przyjaciele! Przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł! Za kilka dni mieliśmy wyjechać do Devon, ale zmieniłem zdanie. Uważam, że lepiej byłoby pojechać do Londynu.

Wiadomość ta poruszyła aktorów.

— Ale gdzie się zatrzymamy, ojcze? — zapytał Harold.

— Pan Thompson pomoże nam znaleźć jakieś miejsce. Ma wiele wpływów. Co ty na to, drogi przyjacielu? Nie sądzisz, że pani Trelawney zachwyci publiczność w Londynie?

— Ależ z pewnością — odparł Ranley, odwracając się z uśmiechem do Verity. — Gwarantuję, że osoba pani Trelawney ściągnie do teatru tłumy. Zrobię wszystko, co w mej mocy, żeby wam pomóc.

Verity usiłowała zachować spokój. Wiedziała, że wizja jej występów w Londynie była zupełnie nierealna.

— To miło z pańskiej strony, panie Thompson, ale jestem jeszcze zbyt niedoświadczoną aktorką, żeby od razu jechać do tak wielkiego miasta. Muszę nauczyć się grać na prowincji. Tak chciałam pojechać do Devon. Zresztą jestem pewna, że wszyscy mieli ochotę tam się udać. — Verity z nadzieją spojrzała na kolegów. Oczywiście dla nich Londyn był bardziej pociągający.

Ranley uśmiechnął się, widząc jej zdezorientowanie.

— Tak. Londyn to odpowiednie miejsce dla pani Trelawney.

— Ależ oczywiście — poparł go Mumford. — Pomówimy o tym jutro, a teraz bawmy się, przyjaciele!

Uczta trwała nadal. Co prawda Harold zasnął na stole chrapiąc głośno, a panna Pattigrew stawała się coraz bardziej senna, lecz mimo to wszyscy bawili się znakomicie. Żartowali, przekomarzali się i co chwila wybuchali salwami śmiechu.

Było już dość późno w nocy, gdy w zajeździe pojawiło się paru pijanych i hałaśliwych młodzieńców. Ranley rozpoznał w nich natychmiast chuliganów z teatru, ale pochłonięty zabawą zlekceważył ten fakt. Słuchał von Hoffmana, który ośmielony ilością wypitego alkoholu i zachętami kolegów zaczął śpiewać jakąś pruską pieśń. Baron przyglądał się mu z pobłażaniem. Niemiec był znacznie lepszym śpiewakiem niż aktorem. Reszta zespołu przyłączyła się do niego, chociaż nikt nie znał ani słowa po niemiecku. Zabawny wieczór, pomyślał Ranley, widząc szczęśliwe twarze członków trupy. Spojrzawszy na Verity, śpiewającą jakieś nonsensowne sylaby, uśmiechnął się w duchu. Jest niesamowita. A do tego tak diabelnie piękna, szczególnie teraz, w tym świetle świec, z kosmykami czarnych włosów opadającymi na czoło. Jakże chciałbym wziąć ją w ramiona, rozmarzył się. Na szczęście, mimo zmaconego stanu umysłu, Brutus powstrzymał się w ostatniej chwili.

— Pani Trelawney! Czy mogę przypomnieć pani swoją osobę? — rozległ się jakiś męski głos.

Verity i baron obejrżeli się. Za ich plecami stał młody, elegancko ubrany człowiek w otoczeniu swych czterech przyjaciół. Był to ów ponury młodzieniec, którego dziewczęta poznały w drodze do Kornwalii.

— Dobry wieczór, panie Baldwin — rzekła uprzejmie Verity.

— Widzieliście? Mówiłem wam, że mnie pozna! — zawołał uradowany Richard.

Verity spojrzała na niego z niechęcią. Przypomniała sobie, jak w dyliżansie gapił się na nią bez słowa przez całą drogę.

— Moi przyjaciele i ja chcieliśmy powiedzieć, że pani występ był cudowny. Bylibyśmy więc zaszczytzeni, gdyby zechciała pani przyjąć zaproszenie do naszego stolika i wypić z nami kieliszek wina.

— Dziękuję bardzo, panie Baldwin, ale zostałam już zaproszona przez kogoś innego.

Słyszając to jeden z przyjaciół Richarda trącił go w łokieć.

— Pewien jestem, że mogłaby pani znaleźć dla nas chwilkę czasu, szczególnie dla tak miłych dżentelmenów — nalegał młodzieniec, z dumą spoglądając na swoich przyjaciół.

— Naprawdę dziękuję — rzekła stanowczym tonem Verity.

Von Hoffman, zirytowany zachowaniem Baldwina, włączył się do rozmowy.

— Ta pani już udzieliła wam odpowiedzi. Dajcie jej spokój.

— Byłbym wdzięczny, gdyby się pan nie wtrącał — burknął Richard. — Rozmawiam z panią Trelawney, a nie z jakimś cholernym cudzoziemcem!

Twarz von Hoffmana spurpurowiała. Zaczął podnosić się zza stołu.

— Dobrze, już dobrze — usiłował uspokoić go Mumford. — Daj spokój, Karl. — Uśmiechnął się do Richarda.

— Sądzę, że lepiej byłoby, gdyby panowie już sobie poszli.

— A ja myślę, że lepiej byłoby, gdybyś uważał na to co mówisz, grubasie!

Mumford, słysząc tak grubiańską odpowiedź, po prostu oniemiał.

— Źle wychowany szczeniak! — mruknął pod nosem.

Baron przez cały czas usiłował zachować zimną krew, ale przychodziło mu to coraz trudniej. Choć nie był człowiekiem gwałtownym, zachowanie młodzieńca doprowadzało go do szału.

— Proszę usiąść z nami, pani Trelawney. Zasługuje pani na lepsze towarzystwo — ciągnął Baldwin.

— Nie widzę tu lepszego towarzystwa — oświadczyła Verity, rzucając młodzieńcowi lodowate spojrzenie.

Richard głośno się zaśmiał.

— Od tych aktorów i włóczęgów! Pani chyba żartuje!

Cierpliwość Ranleya wyczerpała się. Wstał zza stołu i groźnie spojrzał na Baldwina.

— Radzę panu niezwłocznie zabrać stąd swoich przyjaciół i wyjść!

— Czy ty w ogóle wiesz, z kim masz do czynienia, aktorzyno? — nastroszył się Richard.

— Tego już za wiele — wycedził przez zęby baron, chwyciwszy młodzieńca za ramię. — A teraz precz!

— Ręce przy sobie! — krzyknął Baldwin, wrywając się z uścisku.

Nagle, ku wielkiemu zaskoczeniu Ranleya, chłopak obrócił się i zadał mu cios w brzuch.

Kompani Richarda zaczęli zagrzewać swego przyjaciela do walki, a dwóch z nich nawet przyszło mu z pomocą. Widząc to aktorzy nie pozostali bierni i po chwili rozgorzała prawdziwa bijatyka. Włączyła się do niej także obecna w zajazdzie grupa pijanej młodzieży, skorej do wybitki. Powstało wielkie zamieszanie. Kobiety krzyczały ze strachu, a mężczyźni zagzewając się nawzajem do boju. Von Hoffman rzucił się w wir walki z rykiem godnym pragermańskiego wojownika. Był znakomitym bokserem i już po chwili jego przeciwnicy uciekali brocząc krwią. Po skończonej awanturze główna sala zajazdu „Pod Czarnym Łabędziem” wyglądała tak, jak gdyby stoczono tam bitwę. Stoły i krzesła były powywracane, wszędzie wałały się szklanki i resztki jedzenia. Właściciel zajazdu stał pośród zniszczeń załamując ręce i żądając, aby ktoś mu za nie zapłacił. Verity podbiegła do Ranleya, który chwiał się na nogach i delikatnie dotykał siniaka na twarzy.

— Nic się panu nie stało? — zapytała, biorąc go pod ramię. — Niech pan usiądzie.

— Chyba za stary już jestem na podobne bijatyki. Zresztą nigdy nie byłem w tym dobry.

— Tak. Rzeczywiście nie najlepiej pan sobie radził — rzekła otwarcie Verity. — Ale przyznaję, że Richard Baldwin przyplątał się tu z mojej winy.

— Cieszę się, że pani to mówi.

— Ależ pan krwawi, Thompson! — przestraszyła się Verity.

Ranley z lubością oddał się jej opiece. Ona zaś usiadła przy nim i wyjąwszy chusteczkę chciała wytrzeć krew z jego policzka.

— Nie powinnam panu pomagać. Zachęcał pan przecież Mumforda do wyjazdu do Londynu.

— Uważam, że tam właśnie jest pani miejsce. Proszę nie mieć do mnie o to pretensji.

Widząc szczerzy wyraz jego twarzy, Verity uśmiechnęła się.

— Może ma pan rację.

Otarła krew z jego policzka.

— To nic groźnego — powiedziała.

— Może powinna pani pocałować to miejsce — zaproponował Brutus. — Moja matka zawsze tak robiła.

— Ale ja nie jestem pańską matką — odparła Verity, tłumiąc śmiech.

— Tak. Jestem tego w pełni świadom — odpowiedział Ranley i nie mówiąc ani słowa więcej pochylił się i mocno pocałował ją w usta.

Verity była zaskoczona, ale oddała mu pocałunek z wielką namiętnością. Po chwili otrząsnęła się i spojrzała na niego z wyrzutem.

— Nie sędzę, aby pańskie usta były zranione.

— Dzięki Bogu nie są — powiedział baron, próbując wziąć ją znów w ramiona.

Verity zdołała mu umknąć.

— Pan się najwyraźniej zapomina.

— Też tak sędzę. To na pewno z powodu zadanych mi ciosów w głowę — rzekł Ranley i rzucił jej ogniste spojrzenie.

— Jest pan niepoprawny! — powiedziała ze śmiechem Verity. — Nigdy nie zapomnę tego wieczoru, ale teraz już idę się położyć.

— Wieczór ten byłby dla mnie jeszcze miłszy, gdybym mógł towarzyszyć pani — rzekł Ranley, patrząc na nią jednoznacznie.

— Panie Thompson! Chyba rzeczywiście pomieszało się panu w głowie! Dobranoc!

— Dobranoc, słodka Julio!

ROZDZIAŁ 22

Mimo że poprzedni wieczór był bardzo wyczerpujący, Verity obudziła się dosyć wcześnie. Wstała z łóżka i założywszy peniuar podeszła do okna. Stała przez moment bez ruchu, patrząc na ulicę Truro. Przypomniła sobie swój występ u boku Ranleya. Westchnęła cicho i odwróciła się od okna. Nie mogła już dłużej się oszukiwać. Była w nim zakochana. Co ja mam teraz zrobić? — zastanawiała się.

Verity nie mogła znaleźć sobie miejsca. W końcu zdecydowała się pójść na spacer. Nie chcąc budzić Nell, ubrała się cicho i wymknęła z sypialni. Na dole zastała kilku służących, porządkujących ślady po niedawnej bijatyce. To było takie śmieszne — pomyślała, przypominając sobie walczącego Ranleya.

Na dworze powitało ją świecące jaskrawo słońce.

Verity ruszyła zwawo naprzód. Znalazła jakąś wąską i zarośniętą dróżkę, prowadzącą w stronę pól. Szła głęboko zamyślona, nie zauważając ani pięknej pogody, ani sielankowego krajobrazu. Po jakimś czasie dróżka przeszła w ledwo widoczną ścieżynę, pnącą się stromo pod górę. Verity weszła na wzniesienie i ujrzała rozciągającą się w dole zatokę. Stanęła zauroczona, napawając się przejrzystością niebieskozielonej wody.

— Witaj, piękna Julio! — usłyszała tuż za sobą.

Verity odwróciła się.

— Lordzie Ranley! Co pan tutaj robi? — wykrzyknęła zdumiona.

— Szukałem cię, moja pani — rzekł, podchodząc do niej. — Właściciel zajazdu powiedział mi, że wyszłaś. Podążyłem twoim śladem i muszę przyznać, że bardzo trudno cię dogonić, milady.

— Nie spodziewałabym się nigdy, że pan tak wcześnie wstanie. Szczególnie po wczorajszej biesiadzie. Przypuszczałam, iż będzie pan spał co najmniej do południa.

Baron uśmiechnął się.

— Jeśli myśli pani, że byłem wczoraj pijany, moja droga lady Verity, to jest pani w błędzie. Wstałem raniutko jak przysłowiowy skowronek. I nie mogłem się doczekać, kiedy panią zobaczę.

— Niechże pan będzie poważny — surowo powiedziała Verity.

— Ależ ja jestem jak najbardziej poważny. — Ranley spojrział w dół na zatokę. — Pięknie tutaj. Tym bardziej, że jest ze mną moja śliczna Julia!

Po chwili, widząc ostrzegawcze spojrzenie Verity, uśmiechnął się i dodał:

— Chciałbym z panią pomówić. Dziś powinien zjawić się w Truro mój powóz. Pragnąłbym, aby wróciła pani ze mną do Londynu. Nie może pani tu zostać.

Verity słuchała jego słów w milczeniu. Baron ciągnął dalej:

— Jest pani doskonałą aktorką. Nigdy w życiu nie widziałem lepszej. I nie jest to z mojej strony żaden czczy komplement. Nie sądzi jednak pani, że to może trwać dłużej.

— A to niby dlaczego?

— Ponieważ nazywa się pani Verity de Lacy. Nie może więc pani jeździć po całym kraju z wędrowną trupą aktorów! Proszę pomyśleć o rodzicach, którzy odchodzą wprost od zmysłów po pani ucieczce. Lord Benbrook był ostatnio bardzo zmartwiony.

— Widział się pan z moim ojcem?

Ranley skinął głową.

— Tak. Dwukrotnie. Za pierwszym razem hrabia złożył mi wizytę.

— Mój ojciec złożył panu wizytę? — Verity nie posiadała się ze zdziwienia.

Baron zaśmiał się.

— Biedak myślał, że pani uciekła właśnie ze mną.

— Co? — oburzyła się Verity.

— W mieście pojawiła się plotka, że ja i pani... cóż, że jesteśmy w bliższych stosunkach...

— O, nie!

Brutus znowu się zaśmiał.

— Pani przerażenie nie jest bynajmniej dla mnie komplementem.

Verity nie mogła powstrzymać śmiechu.

— To dlatego, że pomysł ów jest tak niedorzeczny...

— Zgadza się — rzekł baron. — Ludzie jednak lubią wierzyć w podobne historie. Jeśli chce pani ukrócić plotki, musi pani wrócić do domu!

Verity zamyśliła się.

— Nie mogę tego uczynić. Nie poślubię Dorchestera — zresztą wątpię, żeby wciąż jeszcze chciał mnie za żonę. I nie zamierzam też wychodzić za jakiegoś innego głupca, którego podsunie mi mój ojciec.

— Nie rozumiem, dlaczego jest pani tak przeciwna małżeństwu.

Verity uniosła brwi.

— I to pan, zagorzały kawaler, mówi mi takie rzeczy?

— Cóż, ja nie jestem przeciwny małżeństwu jako takiemu. Uważam, że może ono mieć swoje dobre strony, jeżeli poślubia się kobietę, którą się kocha. Ja taką znalazłem. Kocham cię, Verity!

— Och, lordzie Ranley, proszę nie mówić czegoś, czego nie jest pan pewien.

— Julio — powiedział czule baron, biorąc ją w ramiona — ja jestem tego pewien. Pokochałem cię od pierwszego wejrzenia. Po cóż pędziłbym tu za tobą jak wariat? Jeżeli nie widzisz, że jestem w tobie szaleńczo zakochany, to znaczy, iż nic nie rozumiesz. Jesteś najbardziej upartą kobietą na świecie!

— Ja też cię kocham z całego serca — szepnęła Verity.

Nie potrzebując dalszej zachęty, baron przygarnął ją do piersi i ucałował namiętnie jej usta.

Verity i Ranley pozostali na wzgórzu przez dłuższy czas. Nie spieszo im było do domu. Postanowili niezwłocznie powiadomić Mumforda o planowanym wyjeździe do Londynu. Mimo zapewnień barona, że jego przyjaciel jakoś pogodzi się z tym faktem, Verity czuła się przygnębiona. Musiała opuścić człowieka, który wiele jej pomógł w potrzebie.

Wkrótce po przybyciu do zajazdu dowiedzieli się o powrocie kłótlivej panny Carrington. Niesforna dziewczyna posprzeczała się z kochankiem i pożałowała swej wcześniejszej decyzji. Wróciła, aby ubłagać Mumforda o ponowne przyjęcie do zespołu. Kierownik trupy z przyjemnością oznajmiłby, iż ma już dużo lepszą aktorkę na jej miejsce, lecz usłyszawszy o wyjeździe Verity przyjął dawną gwiazdę z otwartymi ramionami. Bardzo też przeżywał konieczność porzucenia swych ambitnych planów wyjazdu na tournée z utalentowaną panią Trelawney. Niestety nie mógł nic na to poradzić. Cieszył się więc szczęściem przyjaciela.

Wszyscy członkowie zespołu, choć nieco rozczarowani, gratulowali im szczerze, uznając pana Thompsona za prawdziwego szczęściarza. Najbardziej ze wszystkich cieszyła się Nell. Jej pani zamierzała poślubić mężczyznę, którego kochała, a ona mogła powrócić wreszcie do swej dawnej pracy. Mimo wszystko wolała być pokojówką niż prowincjonalną aktorką.

Następnego dnia Brutus, Verity i Nell zmierzali już w kierunku Londynu. Podróż upłynęła im szybko. Kiedy tylko dotarli do miasta, udali się wprost do rezydencji Benbrooków. Verity, nieco zdenerwowana, zapytała zaskoczonego lokaja o rodziców.

— Państwo są w salonie, panienko — odparł radośnie Weeks.

— Idziemy! — powiedziała Verity, biorąc Ranleya pod ramię. — Boję się jednak, że tata rzuci nas na powitanie ze schodów.

— Obawiam się — rzekł baron z uśmiechem — iż może się tak stać.

Złe przeczucia Verity na szczęście się nie sprawdziły. Lady Benbrook rzuciła się córce na szyję, by ją powitać.

— Wróciłaś, nareszcie wróciłaś! — powtarzała łkając.

— Och, mamó — szepnęła Verity. — Tak mi przykro.

Lord Benbrook podejrzliwie spojrzał na Ranleya.

— A więc przyszedł pan tu z moją córką? — zapytał.

— W rzeczy samej, hrabio.

— Tato! — zawołała Verity, wydostawszy się z objęć matki. — Czy możesz mi wybaczyć?! Hrabia Benbrook usiłował zachować srogi wyraz twarzy.

— Do diabła! — zaśmiał się w końcu. — Chyba tak. Zawsze przecież ci wybaczam. Ucieszona Verity padła mu w objęcia.

— Gdzie byłaś? Dokąd pojechałaś? — dopytywała się hrabina.

— Och, przeżyłam wielką przygodę. Będziecie bardzo źli, kiedy się dowiecie. Hrabia zmarszczył czoło.

— Z pewnością — oświadczył. — Nie było cię przeszło trzy tygodnie. Pisałaś do nas co prawda, ale nie wyjaśniłaś, gdzie jesteś ani jak dajesz sobie radę.

— Błagam cię, tato, tylko się nie denerwuj. Nie dostań ataku apopleksji, kiedy się o wszystkim dowiesz.

— Nie uspokoję się, dopóki nie powiesz mi, co robiłaś przez cały ten czas. Chcę znać prawdę!

Verity skinęła głową.

— Pojechałyśmy z Nell do Kornwalii. Miałam ze sobą trochę pieniędzy, które otrzymałam sprzedawszy moją sztukę.

— Jaką znowu sztukę?! — krzyknęła lady Benbrook.

— „Mężną damę” — wtrącił Ranley. — Wszyscy myślą, że to moje dzieło. Naprawdę jednak napisała ją lady Verity.

— Ależ to doskonały dramat! — powiedziała zdumiona hrabina. — Jesteś bardzo zdolna, Verity.

— Dziękuję, mam, ale błagam, dajcie mi dokończyć. A więc pojechałyśmy do Kornwalii. Ja i Nell. Dylizansem. Myślałam, że zamieszkamy tam przez jakiś czas. Planowałam napisać następną sztukę. Wkrótce jednak spotkałyśmy pana Mumforda, który zaproponował mi pracę w objazdowym teatrze.

— O Boże! — jęknęła lady Benbrook, chwytając się za serce.

— Moja córka zwykłą aktorką! — ryknął Benbrook.

— Raczej niezwykłą — wtrącił baron. — Była znakomita.

— To mnie nie dziwi — rzekł hrabia. — A co pan ma z tym wszystkim wspólnego, lordzie Ranley? — zwrócił się nagle do Brutusa.

— Mumford jest moim starym znajomym. Przesłał mi list, w którym opisał swoją nową gwiazdę. Uznałem, że może to być lady Verity. Nie byłem jednak pewien, więc osobiście pojechałem do Kornwalii.

— To miło z pana strony, lordzie — rzekła hrabina.

— Czyżby? — wtrącił hrabia. — A co było później?

— Później — odezwała się Verity — lord Ranley przekonał mnie, żebym wróciła do Londynu i wyszła za mąż.

— Naprawdę? — zdziwił się Benbrook, patrząc uważnie na barona. — W takim razie mam wobec pana dług wdzięczności. Obawiam się jednak — tu zwrócił się do córki — że się nieco spóźniłaś. Dorchester nie ożeni się z tobą. Biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności, nie można mu się dziwić. Zaręczyny zostały zerwane!

— Jaka szkoda! — zaśmiała się ironicznie Verity. — Ale mam już kolejną propozycję — rzekła, rzucając znaczące spojrzenie na Ranleya. — Mój narzeczony co prawda nie jest tak wspałały jak Gerald, ale ma na tyle źle w głowie, że chce zostać moim mężem. Drodzy rodzice, lord Ranley poprosił o moją rękę!

— Pan? — zdziwił się hrabia. — Cóż, muszę się nad tym zastanowić.

— Wiem, że ma pan powody, aby nie cieszyć się zbytnio mając mnie za zięcia, lordzie Benbrook — rzekł baron. — Mimo to moja propozycja wcale nie jest taka zła. Kocham pańską córkę i gotów jestem zrobić wszystko, aby była szczęśliwa.

— Ja też go kocham — wtrąciła Verity.

— Sam nie wiem — westchnął hrabia. — Nie mogę powiedzieć, żebym pana nie lubił, lordzie Ranley, ale był pan przecież aktorem...

— Och, mój drogi — odezwała się hrabina. — To było dawno temu. Verity mogła trafić dużo gorzej.

Hrabia powoli pokiwał głową.

— Odważny z pana człowiek — rzekł, wyciągając do niego rękę.

Verity podbiegła i uradowana przytuliła się do ojca.

Kiedy udało im się wreszcie znaleźć chwilę dla siebie, udali się do ogrodu. Verity wzięła Ranleya pod ramię.

— Nie mogę w to uwierzyć. Mamy błogosławieństwo moich rodziców!

Baron uśmiechnął się.

— Podejrzewam, że twój ojciec nie jest do końca przekonany o słuszności swojej decyzji.

— Za jakiś czas na pewno podbijesz jego serce i pokocha cię jak syna. I mama też. Zakochać się w tobie to żadna sztuka!

— Czyżby? — zapytał Brutus. — Dawniej chyba tak nie uważałaś. Przez jakiś czas wydawało mi się, że mnie nie znosisz.

Verity uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy.

— To dlatego, mój panie, że jestem świetną aktorką.

Baron zaśmiał się i wzięwszy ją w ramiona obsypał pocałunkami.



TLR